

KAROL MAY

SKARB MAHARADZY

SZALONY HRABIA

Fallum, znane kąpielisko morskie, leży nad piękną zatoką. Ta otoczona jest z prawej strony urwistymi skałami, z lewej zaś cyplem wystającym daleko w morze. Jest niczym zakrzywiony róg, aż po sam wierzchołek pokryty gęstym dębowo-bukowym lasem. Przez las prowadzą tylko nieliczne wąskie ścieżki, po których kuracjusze wydostają się z gwarnej miejscowości i zaszywają w ciszę natury.

Cypel powstrzymuje wysokie fale, a las wiatry wiejące od strony zatoki. Przyczynia się to do wzmożonego napływu turystów do Fallum i nawet ci, co na co dzień unikają natury, tutaj oddają się kąpeli w niebezpiecznych zazwyczaj falach lub pływają na łódkach.

Trzy kobiety wędrowały w pewien piękny lipcowy dzień jedną ze wspomnianych ścieżek. Tworzyły niezwykłą grupę. Wszystkie miały na głowie letnie, żółte kapelusze. Jedna z nich była ubrana na niebiesko, druga na zielono, a trzecia w kolorze purpury. Niebieska, bardzo wysoka i szczupła, niosła cypryjskiego kotka w trzech kolorach. Zielona, niska i szczupła, świnkę morską, a Purpurowa, niska i gruba, wiewiórkę na ramieniu, która była przymocowana naszyjnikiem i złotym łańcuszkiem do karku swej pani. I nikt by się nie domyślił, że tak różnie przez naturę obdarzone spacerowiczki były siostrami.

— Tak moja dobra Wanko, — wzdychała Niebieska — nasz brat Emil jest bardziej taktowny względem obcych kobiet i nawet względem swoich obrzydliwych psów, niż względem nas. Ci mężczyźni są i pozostaną barbarzyńcami, których nawet nasza największa uległość nie odmieni!

— Nigdy nie zrozumieją, droga Frejo, że my jesteśmy nieskończenie delikatniejsze niż oni. — wtrąciła Zielona — I dlatego nie można mieć za złe żadnej dziewczynie, jeśli ta nie może się zdecydować na dożywotni związek z tym rodzajem wandali.

— Tak, — powiedziała Purpurowa słodkim głosem — wybrałyśmy lepszą część i nie powinnyśmy jej stracić, chociaż zwłaszcza mnie przysłoby z łatwością zawarcie wspaniałego małżeństwa.

— Zwłaszcza tobie? — spytała uszczypliwie właścicielka kotka. — Słyszysz, Wanko, to „zwłaszcza” brzmi jak zniewaga dla nas obu. Nasza siostra Zilla uważa, gdyż jest najmłodsza z nas, że ma możliwość wcześniejszego niż my zamążpójścia. Ale damy nie starzeją się przecież nigdy. Moje trzydzieści cztery wiosny...

— Wybacz, Frejo — sprzeciwiła się Gruba, — w listopadzie skończyłaś trzydzieści dziewięć lat!

— Trzydzieści dziewięć? Och, chyba bardziej interesujesz się wiekiem innych, niż własnym.

— O nie, ale łatwo mi zapamiętać twój wiek, ponieważ jest między nami dokładnie dziesięć lat różnicy — ty masz trzydzieści dziewięć, a ja dwadzieścia dziewięć lat.

— Niech tam. Nie sprzecajmy się o takie błahostki! Najważniejszą rzeczą w związku małżeńskim oprócz walorów duchowych jest wygląd zewnętrzny, a w tym względzie, musicie przyznać, że przewyższam was i jestem w stanie spodobać się każdemu mężczyźnie.

— Jest dość mężczyzn, którzy bardziej cenią powabną postać, niż wysoki wzrost — chępiła się Wanka.

— Podobnie jak ja doświadczyłam, że większość panów niedużą tuszę uważa za rzecz uroczą. — dodała Zilla — To mi powiedział nawet porucznik von Wolff, którego jak wiecie, mogę zaliczyć do moich najnowszych zdobyczy.

— Ty? — zawołała Wysoka. — Dopiero przedwczoraj wyznał, że śnił o mnie.

— A ja. — wtrąciła Mała — rozegrałam z nim partyjkę sześćdziesiąt sześć, którą przegrał, gdyż, jak się usprawiedliwiał, moja uroczą osobą wprawia go w zakłopotanie. On jest bardzo sympatyczny, ten pan porucznik von Wolff.

— Tak, bardzo! — przytaknęła Wysoka z pewnym szyderstwem. — Tylko uważam, że... ej, popatrzcie na ten przemiły obrazek!

— Ale gdzie?

— Tu nad wodą. Ależ o Boże! To przecież nasza Magdalenka.

— To prawda, nasze dziecko! — przyznały dwie pozostałe i pobiegły szybko naprzód.

Droga, którą szły, kończyła się małą zatoczką, otoczoną z trzech stron gęstymi zaroślami. Stała tam zacumowana łódka, a maszt był opuszczony. Z tyłu siedział chłopiec w ubraniu z szarego lnu. Na głowie miał kapelusz marynarski z nieprzemakalnego materiału z szerokim rondem, spod którego wystawały gęste, jasne loki. Mógł mieć mniej więcej czternaście lat, a jego uwagę przyciągała dziesięcioletnia dziewczynka, siedząca na przedniej ławce i łowiąca wędką ryby. Dziewczynka była najmilszym, uroczym stworzeniem. Ale ożywienie, z jakim wykonywała to zajęcie, nie sprzyjało dobremu połowowi.

— Jak się nazywasz? — spytała Mała.

— Gerd.

— Gerdzie, podobasz mi się. Jesteś silny i bystry, jak mój tatuś.

— A kto jest twoim tatusiem?

— Moim papą? To major Helbig, który niedawno zdobył cały Süderland. Teraz mi chyba wierzysz, że on musi być bardzo silny.

- Tak, ale czy on potrafi także kierować łodzią?
- Oczywiście. Wprawdzie tego jeszcze nie widziałam, ale on potrafi wszystko.
- A żeglować?
- Z pewnością. Ale najlepiej potrafią to robić moje ciocie!
- Twoje ciocie? Czy u was, także ciotki muszą się uczyć żeglowania?
- Oczywiście, ponieważ papa często mówi, gdy one idą na spacer: „Bogu niech będą dzięki, pożeglowały”. No więc muszą się znać na żeglowaniu. Obserwowałeś je już kiedyś?
- Nie wiem, ponieważ ich nie znam.
- Och, bardzo łatwo je rozpoznać. Jedna jest wysoka i nosi kotka, druga jest niska i szczupła i nosi świnkę morską, a trzecia jest gruba i nosi wiewiórkę.
- Ach, to są więc twoje ciotki! Wszyscy je tu znają. Czy też nazywają się Helbig, jak twój papa?
- Oczywiście, są przecież jego siostrami. No i mają swoje imiona: Freja, Wanka i Zilla, ale Kunz przezywa je Schreia — Krzykaczka, Zanka — Klótnica i Brüella — Wrzaskliwa.
- Co to za jeden, ten Kunz?
- To nasz ordynans, którego bardzo kocham i papa też. Ale ciocie stale się z nim kłóca, wtedy on wpada w gniew, rzuca się na nie i... ucieka.
- No, to chyba nie ma dość odwagi.
- Odwagi? Z pewnością ma jej tyle, co sam papa, no ale przecież nie wolno mu podnosić ręki na siostry swojego pana. Tylko dlatego zmyka. Czy ty też masz papę, trzy siostry i ordynansa?
- Mam mamę i ojczyma, no i cztery siostry. I sam sobie jestem służącym.
- Ty? Dlaczego?
- Gdyż sam wszystko muszę robić. A mimo to dostaję bardzo dużo batów i mniej jedzenia od innych.
- Baty? Ty? — spytała dziewczynka na wpół zdziwiona, na wpół z pogardą.
- Tak. Muszę zakładać sieci i wozić łódką gości, jak złapię za mało ryb lub za mało zarobię, to wtedy dostaję baty.
- Biedaku! Ile?
- Nie wiem, bo ich nie liczę — odpowiedział dumnie. — Gdy wracam do domu, to ojciec jest zawsze pijany. Mógłbym się bronić, mógłbym też uciec, ale moja mama płakałaby wtedy, a nie powinna. Właściwie zasługuję na bicie, ponieważ nie oddaję ojcu wszystkiego, co zarobię, lecz daję trochę pieniędzy mamie, inaczej musiałyby głodować
- Mój Boże, droga Wanko, czy ty to słyszysz? Czyż to nie jest wyrodny ojciec?

Wołanie to rozległo się za najbliższymi krzakami, gdzie trzy siostry podsłuchiwały ostatnią część dziecięcej rozmowy.

— Jak, prawdziwy, wyrodny ojciec, moja dobra Frejo — potwierdziła zapytana.

— Nie. — wtrąciła Purpurowa — to nie tylko wyrodny ojciec, to wyrodny ojczym!

— Moja słodka Magdalenko, a skąd się ty tu wzięłaś?

— Gerd mnie tu przywiózł, ciociu.

— Przez całą zatokę?

— Tak, będziemy łowić ryby.

— Ależ, dziecko. Przecież może się zdarzyć nieszczęście! Możesz przemoknąć, możesz się przeziębnić, możesz wypaść z łódki, możesz się utopić!

— O nie, ciociu, nic takiego nie przydarzy się. Przecież Gerd prowadzi łódkę. Obiecał mi, że nic mi się nie stanie.

— Więc on ma na imię Gerd?

Trzy siostry popatrzyły z zadowoleniem na jego silną sylwetkę i szczerą, ogorzałą twarz.

— Naprawdę umiesz bezpiecznie prowadzić łódkę? — wypytywała Niebieska.

— Proszę się nie obawiać, szanowna pani. Chce pani spróbować? Miejsca jest dosyć.

— Tak, z przyjemnością, gdyż ja również chętnie pływam łódką. Ale moje siostry się boją, a mój kotek nie znosi w ody. Jeszcze nabawi się choroby morskiej!

— Kotek? Ależ nigdy, proszę pani — uśmiechnął się chłopak, a w tym momencie odezwała się Zilla.

— My się boimy? Wiesz, Frejo, że to jest oszczerstwo? Przyjęłam przecież zaproszenie porucznika von Wolffa na przejażdżkę żaglówką.

— Ja też! — wyjaśniła Wanka.

I ja też! — potwierdziła Freja. — No to wsiadamy.

Wsiadanie łączyło się wprawdzie z pewnymi trudnościami, ale dzięki Gerdowi wszystko poszło gładko. Chłopak wykazywał pewność, która wzbudzała zaufanie u dam.

— Dokąd płyniemy? — spytał, gdy łódź ruszyła. — W stronę miasta, czy w siną dal?

— W siną dal, ale tylko niedaleko — zdecydowała Freja.

— No to możemy podnieść żagiel.

Gerd postawił maszt i napiął płótno. Powiała lekka bryza. Łódka, trochę pochylona na bok, spokojnie płynęła po zatoce. Trzy siostry obawiały się trochę wody. Obawy ich jednak ustąpiły, gdyż łódka była dobrze prowadzona i szła pewnie do przodu. Między nimi a chłopcem wywiązała się rozmowa, która wzbudziła w nich pełne uznanie dla małego żeglarza, tak

otwarcie i szczerze spoglądającego na świat i umiejącego tak rozsądnie i grzecznie odpowiadać na pytania.

Piękna pogoda zwabiła liczne łodzie. Na połyskujących falach panował ożywiony ruch. Jedna z łodzi zwracała ogólną uwagę swym dziwnym zachowaniem. Załogę stanowili dwaj panowie, którzy naprzykrzali się innym żeglarzom, ile się tylko da.

— Czyja to łódź? — spytała Wanka.

— Jednego z kuracjuszy — odparł Gerd. — Nie wiem, jak się nazywa, ale musi być to ktoś ważny, gdyż stale rozrabia, a policja nie interweniuje. Ilekroć znajduje się na wodzie, zawsze się tak zachowuje. Wiosłuje pod prąd, żeby przestraszyć innych. Jeżeli są to kobiety, opryskuje je wodą. Rzuca za nimi zgniłymi owocami. Zdarzyło się nawet, że poprzewracał mniejsze łódki. Nienawidzę go!

Jego młodzieńcza twarz nabrała w trakcie tych słów ostrego wyrazu.

— Dokuczył ci?

— Tak. Schodziłem z mamą z plaży, kiedy on nas spotkał. Nieśliśmy duży, ciężki kubel z rybami. Chciał, żeby mu zejść z drogi, chociaż zmieściłoby się tam ze dwadzieścia osób. Ciężko nam było, więc niezbyt szybko uskoczyliśmy w bok, wtedy uderzył moją mamę dwa razy swoją laską. Chciałem go złapać, ale mama powstrzymała mnie. Jeżeli jeszcze raz zrobi coś podobnego, to nic mnie nie powstrzyma, aby go sprać.

Zmienili kurs szerokim lukiem i w ten sposób wypłynęli na środek zatoki. Wspomniana łódź również zatoczyła luk i podążała w ich kierunku. Freja, która ręką przysłaniała oczy przed słońcem, krzyknęła:

— Wiem, kto to jest!

— Kto? — spytała Wanka.

— Hrabia von Hohenegg.

— Czy to możliwe?

— Szalony hrabia? Płynie prosto na nas! Mały, zejź mu z drogi! Inaczej splata nam figła.

— On paniom nic nie zrobi! — zaprzeczył chłopiec.

— A jednak! Uważaj chłopcze! Wiosłują w naszą stronę. Mają zamiar wyrządzić nam krzywdę.

Rzeczywiście hrabia podpłynął w sposób, który uzasadniał to podejrzenie. Gdy rozpoznał kobiety, rozległ się okropny śmiech i wołanie:

— Halo, któż to taki? To trzy papugi, hahahaha!

Potem szepnął kilka słów swojemu towarzyszowi, po czym skierowali łódź w stronę Gerda. Widać było, że chcą spowodować zderzenie. Damy głośno wołały o pomoc.

— Proszę się mocno trzymać! — zawołał Gerd. — Nie mogę im zejść z drogi, jeśli na nas celują, ale mogę spowodować, że uderzenie będzie lekkie.

Jego ciemne oczy ciskały błyskawice w stronę przeciwników.

— Odbijcie na prawo! — rozkazał im.

— To ty się usuń na lewo, głupi chłopcze! — zaśmiał się hrabia.

Po chwili jego łódź trafiła w środek łodzi Gerda. Chłopak gwałtownie zmienił kurs, poluzował linę, tak że żagiel opadł. Łódź okazała się posłuszna; zatrzymała się, wspięła się z przodu w górę i skręciła dziób. Dlatego też łódź hrabiego uderzyła pod bardzo ostrym kątem w przednią część łodzi, nie zaś pod kątem prostym. Dla nie przywykłych do jeziora kobiet był to mimo wszystko znaczny wstrząs. Najbardziej dotknęło to Magdę, ponieważ siedziała z przodu na końcu dzioba. Nadaremnie starała się trzymać, straciła równowagę i wyleciała za burtę.

— Hola, kurczątka pływa. Wyciągnijcie je! — zawołał hrabia i śmiejąc się powiosłował dalej.

Trzy siostry siedziały sparaliżowane ze strachu. Obserwowano to zajście z innych łódek i wiosłowano na pomoc z wielkim pośpiechem. Na szczęście nie było to już konieczne. Gerd natychmiast wskoczył za dziewczynką. Pochwycił ją prawą ręką, lewą zaś brzeg łodzi, do której wsunął dziewczynkę. W jednej chwili zostali otoczeni przez wszystkie łodzie, a dokoła słychać było wyrazy ubolewania i najgłębszego oburzenia.

Tylko Gerd zachował spokój.

— Sąsiedzie Klassen, macie dużo miejsca — zawołał. — Zabierzcie panie do waszej łodzi i zawieźcie je do domu!

Liczenie wyciągnięte ręce zaofiarowały pomoc i mimo trwogi dam umieszczono je szczęśliwie w innej łodzi. Gerd wziął wówczas znowu wiatr w żagiel i chwycił za ster.

— Hola, chyba nie będziesz, chłopcze?

— Tak, tak, będę, sąsiedzie Klassen!

— Dzielny chłopak! Tylko trzymaj się!

Łódka hrabiego zdążyła w kierunku ujścia z zatoki. Gerd uczynił to samo. Obserwował żagiel, kontrolował tłumione przez cypel uderzenie fal i ostrym spojrzeniem spoglądał w stronę przeciwnika. Dzielny chłopak miał teraz sprzyjający wiatr. Znał swoją łódź i wiedział, że uda mu się ukarać wroga. Że ten jest hrabią, a on biednym synem rybaka, nie stanowiło dla niego problemu.

Hrabia był zbyt mało obyty z wodą, żeby od razu zmiarkować zamiar chłopca. Stopniowo jednak zaczął sobie zdawać sprawę z grożącego mu niebezpieczeństwa. Ale nie robił nic, aby temu zapobiec. Wydawało mu się rzeczą wręcz niemożliwą, aby chłopiec miał na tyle odwagi,

by zrealizować swój plan. Zdążyli teraz, płynąc równo obok siebie, w stronę skalistego wybrzeża, otaczającego zatokę z prawej strony. Było tu szereg głębin i ław, o których hrabia nie miał pojęcia, a które Gerd znał dokładnie.

— Halo, uważajcie! — krzyknął chłopiec i gwałtownie obrócił dziób swej łodzi.

— Halo, durniu, zatrzymaj się! — usłyszał w odpowiedzi.

— Nie mogę, inaczej wpadnę na rafy.

— Do pioruna, opuść żagiel!

— To niemożliwe. Wtedy nie odbiję się od skał podwodnych.

Sprytny chłopiec znalazł się faktycznie w sytuacji uniemożliwiającej mu zatrzymanie się lub zmianę kursu. Jego łódź była większa i płynęła pod żaglem, zaś łódka hrabiego lżejsza i znajdowali się w niej dwaj dorośli wiosłarze. Był to więc pojazd, który powinien ustąpić. Hrabia usiłował to w końcu zrobić, ale było już za późno, łódź Gerda uderzyła jak krogulec, z całą mocą żagla.

— Hej, odbijajcie na bok! — zawołał Gerd.

Postąpił tak z pełnym wyrachowaniem. Zobaczył już, że obydwaj chcieli odbić na prawą burzę; zastosowanie się do jego wołania spowodowało, że łódka przeciwnika na całej swej szerokości znalazła się przed dziobem łódki Gerda.

— Hej, za mało, o wiele za mało! Zatrzymajcie się, chłopcy!

Jeszcze wydał ten ostatni okrzyk, opuścił żagiel, aby przy pełnym wietrze nie rozbić swej łodzi lub wyrzucić jej do góry dnem. To obecne zderzenie było zupełnie inne od poprzedniego. Nastąpiło z nieodpartą siłą w środek hrabiowskiej łodzi. Jej burty potrzaskały, przewróciła się kilem do góry. Przednia część łodzi rybackiej płynęła przez kilka chwil na łodzi Gerda, po chwili ześlizgnęła się do wody.

Hrabia i jego towarzysz wydali okrzyk i obaj zostali wyrzuceni daleko na wodę. Ponieważ byli miernymi pływakami, utrzymywali się po prostu na wodzie. Zauważyli w pobliżu rafy, więc popłynęli w ich kierunku, gdyż przewrócona łódź nie mogła być im pomocna.

Także Gerd został wrzucony do wody i krzyczał, ale tylko dla zachowania pozorów. Uważny obserwator mógł zauważyć, że jego krzyk jest okrzykiem radości, a jego skok w nurty był całkowicie dobrowolny. Mimo młodego wieku był na tyle bystry, aby wszystko dokładnie przemyśleć. Na wypadek, gdyby hrabia chciał go zaskarżyć, musiał umieć się bronić. Dlatego w wodzie wymachiwał tak długo rękami, jak to tylko było możliwe i dopiero wtedy wdrapał się na łódź, gdy tamci stali na rafie, aż do bioder omywani przez fale.

— Stój, chłopcze, zabierz nas stąd! — rozkazał hrabia ostrym tonem.

— Niemożliwe, człowieku! Moja łódź idzie za głęboko. Nie dostanę się tam pod górę. Gdybyście się odsunęli, nie byłibyście teraz w tarapatach.

— To sprowadź chociaż moją łódkę!

— Nie ma sensu. Burty są potrzaskane. Poza tym nie dałbym rady sam jej odwrócić, a widzicie przecież, że tonie. O, już jest na dnie!

Rzeczywiście, pod łódką powstał lejkowaty wir, który wciągnął ją pod wodę. Gerd wyłowił swój kapelusz i chwycił za ster.

— Stój, poczekaj! — rozkazał Hohenegg. — Podpłyniemy do ciebie.

— To też niemożliwe — zaśmiał się chłopak. — Moja łódź przecieka z przodu; szybko napelnia się wodą i nie zaryzykuję zabrania jeszcze dwóch osób. Ale tym tam z tyłu, na plaży — powiem, żeby was przyholowali. Może znajdzie się ktoś i zaoferuje swoją łódkę człowiekowi, który uważa się za eleganckiego, a przewraca łódki, opryskuje wodą kobiety i dzieci wrzuca do wody. Na takie żarty nie pozwoli tu sobie żaden chłopak, gdyż nauczyciel spuściłby mu lanie. Przyjemnej kąpieli!

Chłopiec odpłynął i z radością zauważył, że wszystkie łódki, aby nie zepsuć mu zabawy, skupiły się wokół plaży. Gdy tam dotarł, wezwał obecnych do niesienia pomocy hrabiemu.

— Ani nam w głowie, chłopcze! — odparł stary wilk morski, który pocziwie wyciągnął w jego stronę prawicę. — Jesteś dzielnym chłopcem i zadbamy o to, aby ci się nic nie stało, gdyby cię ten tam miał złapać. Ale holować go, nie! Właśnie zaczyna się przyptyw; będzie się szybko podnosić, a on niech skosztuje trochę wody, zanim się go weźmie na linkę. A nie stanie się to zbyt delikatnie. Nie naszym obowiązkiem jest zabranianie mu kąpieli. Łódź wartownicza jest daleko poza zasięgiem widzenia, a wszyscy ratownicy wypłynęli na połów. Nie ma co robić alarmu, pogoda jest dobra. Niech sobie poczeka!

Na jednej z najpiękniejszych ulic kąpieliska stała urocza willa, a wokół niej zadbane drzewa i pachnące kwietniki. W lecie wynajmowano ją kuracjom. Teraz zamieszkiwał tu norlandzki major Emil Helbig i jego rodzina.

Helbig był bardzo zasłużonym oficerem. Cieszył się pełnymi łaskami u swojego księcia i stąd jego znaczne wpływy na dworze. Pomimo to pojawiał się tam niezbyt chętnie. Z natury prosty, czuł się niepewnie w owych kręgach, w których przestrzeganie norm towarzyskich było traktowane z przesadą. Najlepiej czuł się między równymi sobie i dbał również o to, żeby jego najbliższe otoczenie składało się z jemu podobnych ludzi. Jego służbę stanowili tylko żołnierze z długim stażem. Jego ordynans Kunz, lubiący się trochę przechwalać, nie mógł żyć bez swojego pana, podobnie, jak pan bez niego. Poznali się na polu walki dawnymi czasy i pozostali sobie wierni do dzisiejszego dnia. Kunz znał doskonale wszystkie cechy charakteru

swojego pana. Nauczył się umiejętnie dopasowywać do nich, dzięki czemu był małym odzwierciedleniem swojego oficera, u którego właśnie z tego względu mógł sobie na więcej, niż inni pozwolić.

Major siedział w swoim pokoju, wypełnionym dymem tytoniowym. W niszy, na otomanie i pustych krzesłach leżało jedenaście psów różnej rasy i wielkości. Sprawiały wrażenie, że dobrze czują się w tym dymie. Przed majorem leżało dzieło generała Clausewitza, które z zapalem studiował. Wtem otworzyły się drzwi i dziarskim krokiem wszedł mężczyzna, którego łatwo było wziąć za majora. Obydwaj nosili takie samo, po wojskowemu skrojone ubranie, tylko to majora było z lepszego materiału. Obaj byli w tym samym wieku i tego samego wzrostu, mieli równie krótko przystrzyżone włosy, podobne wąsy, ale przybyły miał tylko prawe oko; lewe stracił na skutek strzału z pistoletu. Głośno strzelił obcasami, wyprostował się, położył środkowe palce na szwach spodni i czekał.

— Czego chcesz, Kunz?

— Pan major rozkazał, aby się teraz spytać, czy pójdziemy na spacer; zrozumiano?

— Ach tak! Siedzę właśnie nad bardzo interesującą książką. Znasz ją?

— Co to jest, panie majorze?

— Clausewitz.

— Jest wspaniały, ale go nie czytałem.

— Skąd wiesz zatem, że jest taki wspaniały?

— Bo inaczej by go pan major nie czytał, zrozumiano?

— No dobrze! Gdzie Magda?

— Zbiera informacje.

— Co przez to rozumiesz?

— Chciała zobaczyć, co się tam, w lesie, po drugiej stronie dzieje. Zrozumiano?

— Nakazałem ci przecież, abyś jej nigdy nie puszczał samej w takie miejsca, Kunz!

— Za pozwoleniem, panie majorze, musimy małą panienkę tak wychowywać, żeby nie odczuwała lęku. Tutaj w lesie nie ma tygrysów ani grzechotników. Zrozumiano?

— Hm, a gdzie są moje siostry?

— Chyba opuściły główną kwaterę, aby polować na kawalerów.

— Pst, Kunz, ciebie to nic nie obchodzi!

— Za pozwoleniem, panie majorze, trochę to mnie jednak obchodzi. Krzykaczka mówi, że nigdy nie wyjdzie za mąż, Kłótnica zaś, że nie lubi żadnego mężczyzny, a Wrzaskliwa powtarza, że umrze, jako stara panna. Jednak stale poszukują wąsaczy, a jak nic nie znajdą, wracają do domu, przybierają szturmowe miny i krzyczą, kłócą się, wrzeszczą na każdego, a

przede wszystkim na mnie. Mnie się pierwszemu obrywa i dlatego trochę mnie to obchodzi, gdy udają się na poszukiwania. Zrozumiano?

Helbig zaśmiał się. Sam wycierpiał niemało z powodu charakteru swoich sióstr i dlatego było mu czasem miło, że miał w Kunzu dzielnego sprzymierzeńca.

— Gdzie jest Hektor? — pytał dalej — Jest tutaj tylko jednaście psów.

— Panie majorze, to jest znowu żart czerwono–zielono–niebieskiej trójcy! Zauważyłem, że nie ma Hektora i szukałem go. Kiedy przechodziłem obok pokojów pań, usłyszałem rozlegający się wewnątrz straszny kaszel, sapanie, skomlenie i kichanie. Zawołałem psa i wtedy hałas się wzmógł. To był Hektor, ale drzwi były zamknięte na klucz. Zmusiłem pokojówkę, aby je otworzyła i co zobaczyłem?

— No?

— Pies znajdował się w koszu podróżnym. Bibi, Lili i Mimi chciały się z nim bawić, ale on lubi tylko wiewiórkę, a pozostałych dwóch stworzeń nie znosi. No to uszczypnął lekko Bibi i Liii, a szanowne panie w rewanżu przywiązały mu do nosa torebkę z tabaką i zamknęły w koszu.

— Do diabła, wypraszam sobie tego typu żarty!

— Ja też, panie majorze! Czy mam paniom również tabakę przywiązać? Muszą przecież zobaczyć, jak się takie zwierzę czuje.

— Gdzie jest pies?

— Gdy go wyciągnąłem z kosza i uwolniłem od tabaki, uciekł.

Na pewno chce odpocząć na świeżym powietrzu, zrozumiano?

— Sam wróci. Za godzinę idziemy na przechadzkę. Bądź gotów! W tył zwrot!

Kunz zrobił w tył zwrot i przytupując wyszedł. Przystanął na krótko za drzwiami, a po chwili zbiegł do ogrodu po schodach. Ogrodnik był zajęty przy grządkach.

— Henryku, masz czas?

— W jakim celu?

— Potrzebuję żaby i ropuchy.

— Żaby i ropuchy? — wypytywał zdumiony ogrodnik. — Do czego?

— Dla naszych pań, zrozumiano?

— Ach, dobrze, wspaniale! Już biegnę!

— Długo to potrwa?

— Za kwadrans będę miał pełny worek. Ten gatunek mięsa można tu szybko nałapać. Czy mam przynieść też trochę krabów i pajaków morskich?

— Ile tylko nałapiesz.

— Dobrze. Biegnę.

Ogromnie zadowolony Kunz wrócił do domu i pilnował, aby nic nie zakłóciło jego planu. Ogrodnik przyniósł mnóstwo zamówionych zwierząt. Obydwaj zakradli się do pokoju, w którym uprzednio był uwięziony Hektor, wysypali cały worek do kosza podróżnego i oddalili się niepostrzeżenie. Ani jeden ani drugi nie uchylał się od zrobienia siostrom psikusa.

Major siedział tymczasem nad dziełem Clausewitza. Nagle rozległy się za drzwiami szybkie kroki. Otworzyły się drzwi i do pokoju wpadła wysoka Freja, ze swoim nieodłącznym kotkiem na ramieniu i twarzą pełną podniecenia.

— Emilu! Bracie!

— Do diabła, co się dzieje?

— Co się dzieje? Kto inny, jak nie ten diabeł, ten... ten szalony hrabia!

— Ach, ten! Znowu?

— Znowu! Mój Boże, co to za człowiek! Gdybym była oficerem, kawalerem, to wyzwalałabym go i...

Mówiąc to podniosła zaciśniętą pięść i na znak uroczystego zapewnienia uderzyła nią w sofę, na której usiadła. Na nieszczęście jednak trafiła kotka, który leżał obok niej. Ten zaś nie przywykły do takiego traktowania, zerwał się z przeraźliwym piskiem, przeskoczył przez pokój i wyleciał przez otwarte okno. Freja zerwała się i podbiegła do okna.

— Uciekł! Bracie! Mój Boże, czy nie widzisz, że Bibi, także nie żyje? Tylko z powodu tego okropnego hrabiego!

— Także nie żyje? A kto jeszcze nie żyje?

— Mój Boże, więc nic jeszcze nie wiesz? On wrzucił ją do wody i wtedy...

Ponownie otworzyły się gwałtownie drzwi i ukazała się niska Wanka.

— A więc jesteś już, Frejo! Tak, twoje nogi są dłuższe od moich. Och, umieram! Zrób mi miejsce!

Opadła na sofę i zamknęła oczy. Major zatrwożył się.

— No mówcie w końcu! Kto umarł?

— Nie umarł. — zawołała Wanka — lecz tylko wpadł do wody.

— O tak, nie żyje, na pewno nie żyje, moja słodka Bibi! — krzyczała Freja. — Przy takim upadku to przecież niemożliwe, żeby wylądowała żywa!

— Do diabła! — strofował major — Kogo wrzucono do wody? Chciałbym się wreszcie dowiedzieć! No mówcie!

W tym momencie jęknęło coś za drzwiami, jakby jakiś olbrzym nadbiegi sapiąc i drzwi otwarły się po raz trzeci. Weszła gruba Zilla. Nie mogła złapać oddechu, a jej twarz była przeraźliwie czerwona.

— Ach... ich... uch... uuuch! Och, ooch!

Podczas tych przeraźliwych wykrzykników spływały jej z czoła na policzki dwie ciężkie krople. Chciała je usunąć, ale w dziwny sposób pomyliła się w swoim zdenerwowaniu; chusteczkę przyciskała do swojego łaknącego powietrza biustu, a swoją wiewiórką Minii ścierała pot z czoła. Zwierzątko broniło się z całych sił i to przywróciło jej pani utracony oddech.

— Emilu, wiesz już o tym?

— Ja? Ani słowa! Co się właściwie stało?

— Oto i ona.

Rzeczywiście teraz weszła Magda. Podbiegła do ojca i uściskała go.

— Prawda, tatusiu, że nie gniewasz się na mnie?

— A o co miałbym się na ciebie gniewać?

— No... ponieważ, szalony hrabia, wrzucił mnie do wody.

— Ciebie? Czy to możliwe? Chyba niechcący!

— Nie, umyślnie. Ale nie możesz się na mnie gniewać, ponieważ przybiegłam do domu jeszcze przed ciociami i zaraz się przebrałam. Nic mi to nie zaszkodziło.

— Co za szczęście! Opowiadajcie!

Cztery głosy posłuchały równocześnie tej prośby. Siostry dały upust swojej elokwencji, która doprowadzała majora do rozpaczy. Ale bardzo dobrze wiedział, że nie może przerwać szumiącego potoku ich wypowiedzi i cierpliwie czekał, aż skończą.

— Co się stało z hrabią? — spytał.

— Nie wiemy. Powiosłował dalej.

— W stronę lądu?

— Nie.

— A więc jeszcze nie ma go w domu? A jak się nazywał ten dzielny chłopiec?

— Gerd. On ma ojczyma, — odparła Freja.

— Raczej wyrodnego ojczyma, który codziennie go bije i źle traktuje. — dodała Zilla — Gdyby się tak sprytnie nie zachował, to byśmy wszyscy utonęli.

— To prawda — potwierdziła Wanka. — Musimy okazać mu naszą wdzięczność.

— Natychmiast to załatwię. — zdecydował major — Możecie iść.

Panie oddaliły się do swoich pokoi. Od razu wpadł im w oczy podróżny kosz.

— Ach, zapomnieliśmy zupełnie o psie! — przypomniała sobie Freja. — Otworzemy?

— Tak, został wystarczająco ukarany, a Emil mógłby odczuwać jego brak.

Podniosły wieko i w tej samej chwili rozległ się potrójny krzyk przerażenia. Ich wzrok padł na pełzającą i skaczącą zawartość. Chciały uciekać, ale niebieska sukienka Frei zaczepiła się o kosz; ten przewrócił się i opróżnił swój zbiór żab, ropuch i płazów z pobliskiego stawu. Były w nim również pająki morskie, kraby, duże, długonogie żuki i wszelkiego rodzaju niemile stworzenia, jakie są wyrzucane przez przyływ codziennie na ląd, a dzieci łapią je, żeby sprzedać przyjeźdźnym. Trzepotało to i czołgało się po pokoju, tak że nie można było pewnie postawić nogi na podłodze. Niebieska rzuciła się na sofę, Zielona wskoczyła na stół, na którym próbowała ratować swoje nogi.

Podczas tego zdarzenia przechodzili koniarzem major i Magda. Najpierw chcieli odnaleźć chłopca-żeglarza. Za nimi szedł, jak zwykle podczas spacerów Helbiga, Kunz, ordynans. Ci pierwsi nic sobie nie robili z hałasu dobiegającego z damskich pokoi, ponieważ uważali go za dalszy ciąg rozmowy w pokoju majora. Ten ostatni otworzył jednak niepostrzeżenie drzwi i szybko spojrzął na komiczną sytuację. Z miną najgłębszego zadowolenia cichutko przymknął drzwi, przekręcił klucz i schował go u siebie. Po czym podążył szybciotko za panem.

Major udał się najpierw na plażę. Właśnie patrol wodny spostrzegł hrabiego i jego towarzysza. Pospieszono, aby wziąć ich na pokład. Obydwu przemokniętych do suchej nitki zawieziono na ląd. Hrabia nie sprawiał wrażenia bohatera, który dokonał sławetnego czynu. Z widoczną satysfakcją spoglądały na nich oczy wszystkich obecnych.

Pierwszy wyszedł mu naprzeciw major.

— Panie hrabio!

— Panie majorze!

— Bawił się pan, atakując łódkę moich sióstr?

— Ba! Chłopak źle nią sterował.

— Ten chłopiec zna się lepiej na sterowaniu, niż niejeden mężczyzna. Twierdzi pan może, że zderzenie nie było przez niego zamierzone?

— Nie było!

— Nikczemnik!

— Za to stwierdzenie wyzwę pana na pojedynek.

— Ani mi w głowie! Honorowy oficer nie splami swej szpady przez kontakt z człowiekiem, któremu brak kultury i który dał się poznać, jako łotr.

— Człowieku! — grzmiał hrabia.

— Ba! Czy może pan zaprzeczyć, że dostał pan pięścią od kapitana von Falkenau, gdyż napadł pan na pewną czcigodną damę, czego niezatarte ślady jeszcze dziś widać na pańskim obliczu? Człowiek honoru nie może się bić z panem, gdyż okryłby się hańbą. Ale jednak zażądam od pana satysfakcji, ale nie bronią, tylko przed obliczem sądu. To, co pan zrobił, jest przestępstwem, to napad na spokojnych ludzi, którzy łatwo mogli się stać ofiarą pańskiej brutalności. Będzie można i hrabiemu pokazać, pod jakie surowe przepisy kodeksu karnego podlegają tego typu wykroczenia.

Hrabia chciał mu przerwać, ale nie zdążył. Teraz przybrał groźną minę i odpowiadał:

— Człowieku, albo pan cierpi na uwiad starczy, albo pan zwariował! Wiem, jak pana zmusić do pojedynku. A co się tyczy pana przepisów, to akurat ja mam prawo do skorzystania z ich pomocy. I trzymaj pan te swoje panie i ich przewoźnika mocno, bo mógłbym wpaść na pomysł, żeby ich kazać zamknąć!

Odszedł i tylko mroczne spojrzenia towarzyszyły mu. Wtedy jeden z żeglarzy podszedł do Helbiga, z zakłopotaniem obracając kapelusz w dłoniach. Był to Klassen.

— Pan jest majorem, a ta mała, śliczna dziewczynka to pańska córeczka?

— Tak. Czym mogę służyć?

— Proszę o tego dzielnego chłopca, tego Gerda!

— Ach, Gerda?

— Tak. On pomógł szanownej paniencie wydostać się z wody, więc mógłby mu pan też zrobić grzeczność.

— Jaką?

— Hm! On już dawno żywił urazę do hrabiego, ponieważ on obraził jego matkę, dzisiejsze zajście, to wyrównanie rachunków. Hrabia chciał mianowicie przejechać pańskie damy, co mu się jednak nie udało, gdyż Gerd wybornie zna swoje rzemiosło. Potem jednak chłopiec zapolował na hrabiego i zatopił mu jego łódkę: tak że pasażerowie musieli stać w wodzie i czekać, dopóki ich nie wyłowiono. Teraz na pewno złoży na chłopca doniesienie, sam pan przecież słyszał, więc byłoby dobrze, gdyby Gerd miał kogoś wysoko postawionego, kto by się trochę za nim wstawił. Zasłużył sobie na to, każdy to potwierdzi.

— Naprawdę? Gdzie mieszkają jego rodzice?

— Tam w przedostatniej chałupie. Kobieta może uchodzić za wzór, ale jej mąż jest graczem i pijakiem, co nigdy palcem nie ruszy. Chłopak musi zarobić na wszystko i całą rodzinę wyżywić. W nagrodę dostaje sporo batów, za to za mało do jedzenia. Matka pochodzi z odległych stron i kiedyś musiała być piękną dziewczyną. Była zaręczona z pewnym sternikiem, którego okręt rozbił się podobno na dalekich morzach, gdyż on nigdy nie powrócił. Matka nie

chciała wychodzić za mąż, została zmuszona i wkrótce potem pojawiła się tutaj ze swoim mężem. Może być pan pewien, Gerd jest najlepszy. Zasługuje na to, żeby go chronić przed hrabią. Także my wszyscy zrobimy, co w naszej mocy, jeśli zostanie oskarżony.

Major podał mężczyźnie rękę.

— Chłopak uratował życie mojej córce, więc to oczywiste, że jestem mu za to wdzięczny. Także panu dziękuję. Zachowuje się pan, jak dobry sąsiad. Więc ten Gerd zrewanżował się hrabiemu natychmiast?

— Tak, i to tak sprytnie i wedle litery prawa, że żaden z nas, doświadczonych żeglarzy, lepiej by tego nie zrobił.

— Miło mi to słyszeć o nim!

— Ale nie wolno tego głośno mówić. Przed sądem oczywiście tylko hrabiego obarczy się winą za to zderzenie. Chłopiec tak zręcznie przystąpił do dzieła, że każdy rzeczoznawca udowodni to z łatwością.

— Więc chłopca cechuje nie tylko odwaga i przytomność umysłu, ale również rozwaga i mądrość?

— Tyle, ile jej potrzebuje! Niejeden raz kierował łódką ratunkową, a w każdej wolnej chwili siedzi nad książkami, które sobie wypożycza. To wspaniały chłopak! Wśród nas jest dużo marynarzy, którzy jeździli po świecie i znają się doskonale na żegludze, znają języki obce i dużo innych rzeczy. Gerd pobiera u nich nauki, ale potajemnie, bo byłby ukarany, gdyż jego ojczym tego nie znosi.

— Dobrze, wezmę pana wskazówki pod uwagę! Czy człowiek, który przywiózł moje siostry na brzeg, jest tutaj?

— To ja we własnej osobie.

— Zapomniano panu zapłacić. Oto pana pieniądze!

Sąsiad Klassen podziękował za nagrodę, która mu przypadła w udziale, po czym major i Magda skierowali swoje kroki do mieszkania Gerda.

W mieszkaniu nie mógł dojrzeć nikogo, ale z jego wnętrza dochodził przytłumiony płacz. Wszedł i omal nie cofnął się na widok tego, co zobaczył.

Na ścianie wisiał Gerd. Ręce miał związane rzemieniem i umocowane za pomocą pętli na dużym gwoździu w ten sposób, że chłopiec nie dotykał końcami palców do podłogi. Jego ciało było obnażone do pasa i potraktowano go w tak niemiłosierny sposób, iż widać było surowe, czerwone mięso, a sień była czerwona od krwi. W tej pozycji wisiał jeszcze teraz, nie wydając żadnego dźwięku. Jego oczy były nabrzmiące i czerwone, jego zaciśnięte usta pokrywały bąble piany. Obok leżały kije, którymi wychowywano chłopca.

W najdalszym kącie siedziała z obwiązaną głową jego matka. Liczne ciosy spadły już na jej głowę i wyglądała na ciężko ranną. W pobliżu na posadzce leżało czworo małych dzieci i cicho płakały.

Na starej pryczy siedział mężczyzna, który dokonał tych okrucieństw. Jego koścista postać i surowe rysy twarzy sprawiały odpychające wrażenie. Już na pierwszy rzut oka można było dojrzeć, że znajduje się w stanie upojenia alkoholowego. Na przybyłych nie zwracał uwagi.

Gdy Magda ujrzała chłopca, którego tak szybko polubiła, wydała okrzyk bólu i podbiegła do niego.

— O, Boże, tatusiu, to on! Pomóż mu tatusiu, szybko, szybko!

Major podszedł bliżej i wyciągnął rękę do chłopca. Wtedy pijak podniósł się i chwycił go za ramię.

— Stać! Czego pan tu chcą?

— Najpierw uwolnić chłopca, człowieku!

— To mój dom i chłopak też! Niech się pan wynoszą!

— Tylko powoli! Pójdziemy, tylko spełnimy nasz obowiązek.

— Niech się pan wynoszą! Niech pan tu nie rządzą: nie ścierpię tego!

Chwycił majora za ramię, ale ten go odepchnął od siebie.

— Chłopie, spróbuj jeszcze raz mnie dotknąć, to zobaczysz, co się stanie? Czy to wasz tata? Jedno z dzieci przytaknęło.

— A to wasza mama?

— Tak.

— Kunz, zdejmij tego chłopaka!

— Spróbujcie jeszcze raz! — zagroził marynarz, sięgając po kij.

Kunz otrzymał znak, który natychmiast zrozumiał. Szybko wybiegł i wrócił niebawem z policją i innymi marynarzami, z pomocą których związano tego człowieka, choć się gwałtownie opierał. Potem można już było bez przeszkód uwolnić Gerda. Był tak bardzo pobity, że z trudem rozpoznawał otaczających go ludzi. Aby opanować ból i nie krzyczeć, zagryzł wargi i język. Jego matka była również oszołomiona od uderzeń, które spadły na jej głowę i udzielała wyjaśnień tylko krótkimi oderwanymi słowami. Chłopak wrócił do domu bez pieniędzy, a gdy ojciec do tego usłyszał, jak Gerd potraktował hrabiego, nie mógł pohamować swej wściekłości i w najbardziej niehumanoidalny sposób napadł na matkę i syna. Policja wyprowadziła go.

Sąsiedzi opatrzyli rany i założyli opatrunek. Gerd mógł się ubrać.

— Biedny chłopcze! — rzekł major. — Nie chcesz odejść z tego domu?

— Nie. Zostanę z moją mamą.

— Dzielny jesteś! A jak i ona odejdzie?

— To pójdę z nią, szanowny panie. Ale dokąd to mielibyśmy pójść?

— Do mnie. Będę dbał o was. Teraz muszę już iść do domu. Czy mógłbyś mi potowarzyszyć, czy ból jest za duży?

Chłopiec uśmiechnął się, ale wyglądał na zawstydzonego.

— Często tak wyglądałem, a mimo to musiałem zaraz pracować.

— No to chodź!

Gerd położył swojej matce, która przez cały czas siedziała, jak sparaliżowana na swoim miejscu, sakiewkę na kolana i opuścił dom. Magda chwyciła go za rękę.

— Biedny Gerdzie! Jesteś taki odważny, wyciągnąłeś mnie z wody i jeszcze cię za to zbili! Czy jeszcze bardzo boli?

Jego młodzieńcza twarz rozjaśniła się.

— Nie, już nie.

Mała dziewczynka nie przypuszczała, jakie wrażenie może wywołać jedno dobre słowo. Nie puściła chłopca, zanim nie dotarli do mieszkania majora.

Zobaczyli tam coś niezwykłego. Na korytarzu stała cała służba i rozmawiała przez zamknięte drzwi z trzema żeńskimi głosami, które wewnątrz jęczały i biadały.

— Co się tutaj dzieje? — spytał major.

Wszyscy chcieli jednocześnie udzielić odpowiedzi, ale przeraźliwy głos pokojówki wziął górę nad innymi.

— Coś się stało, panie majorze? Nieszczęście, okropne, straszne nieszczęście!

— Otwórzcie!

— Nie możemy. Klucz zginął.

— Poczekajcie! — podszedł do drzwi i zapukał. — Kto jest w pokoju?

— My! — odpowiedziały piszcząc trzy siostry.

— Zamknęłyście się?

— Nie! — zawołały zgodnie.

— A co się stało?

— Otwórzcie i sprowadźcie pomoc! Pokój kłębi się od...

— Potworów — zawołał drugi głos.

— Wężów — zawołał trzeci.

— Płazów i smoków — odezwał się znowu pierwszy.

A potem piszczały wszystkie trzy głosy, jeden przez drugiego:

— Smoki, owsiki, solitery, kameleony; spadnę ze stołu, ja z krzesła, ja z sofy. Ratunku, pomocy, ratunku!

Kunz dał znak ogrodnikowi, który też był tutaj, a ten spojrzął na podłogę.

— Ach, — zauważył — no przecież szukaliście na próżno, a klucz leży tutaj na podłodze!

— Dawać go! — rozkazał major.

Otworzył drzwi i zobaczyli coś, na widok czego wszyscy wybuchnęli śmiechem.

— Coś takiego! Skąd te zwierzęta się tu wzięły? — spytał major.

— Skąd? Z kosza! — relacjonowała Freja.

— Hm! — mruknął major i rzucił na ordynansa ostre spojrzenie. — To Hektor zamienił się w te zwierzęta. Przedziwne! Wynieście to z domu!

Major odszedł.

— Precz z tym, łapcie! — poleciła Freja, a siostry przytaknęły. Ogrodnik kiwał głową z niedowierzaniem.

— Hektor miałby zamienić się w te zwierzęta? Hm, to niebezpieczne! Moja praca czeka na mnie w ogrodzie!

Poszedł. Kunz przybrał także zdziwioną minę.

— Hektor? Hm, on zawsze jest złośliwym bydlęciem, który ma w sobie diabła. Cóż, mam służyć nie damom, lecz majorowi.

On także opuścił pokój. Ani Magda, ani żadna ze służących nie odważyła się dotknąć, któregoś z tych obrzydliwych zwierząt. Teraz pojawił się w drzwiach Gerd. Nie interweniował do tej pory przez skromność. Siostry ujrzały go i wiwatowały.

— No i zjawił się zbawca! Gerdzie, kochany Gerdzie, usuń to robactwo!

Chłopiec zobaczył otwarty kosz i zamknął w nim wszystkie te straszne stworzenia, które chwycił z największym pośpiechem.

— Tak, moje szanowne panie, teraz kosz można wynieść.

Siostry opuściły swoje twierdze, w których tak strasznie były oblężone.

— Dziękujemy ci, chłopcze! — zawołała Zilla. — Nie możesz od nas odejść!

— Nie możesz. Pozostaniesz u nas. — przytaknęła Wanka.

— Oczywiście! — przytaknęła Freja. — On zostanie tutaj, ponieważ musi przede wszystkim poszukać mojego biednego Bibi, który wyskoczył przez okno z powodu tego hrabiego. A potem musi dowiedzieć się, kto nam spletał tego figła, gdyż musimy się zemścić.

DOBRANA TRÓJKA

Maszyna wydała kilka przeszywających gwizdów, koła zgrzytnęły pod naciskiem hamulców i pociąg osobowy wjechał na dworzec. Gdy się zatrzymał, otworzyło się kilka przedziałów.

— Hochberg! Pięć minut postoj! — rozległo się wołanie konduktora.

— Pana postój potrwa chyba trochę dłużej — stwierdził ostrym tonem podróżny, który siedział jeszcze z kimś innym w wagonie trzeciej klasy. Miał na sobie mundur wachmistrza, a z jego zachowania można było wywnioskować, że już długo jest żołnierzem.

— Nikogo to nie obchodzi — odparł ten drugi szorstko. — Już niejednego zakotwiczył tu na dłuższy czas, chociaż przedtem wynosił się ponad innych. Myślę nawet, że i wachmistrzowie tu osiedli. Niech pan to sobie zapamięta!

Mówiący był krępej budowy ciała, a ubrany był w bardzo zniszczoną odzież. Twarz miał umytą, a włosy uczesane, ale ta czystość nie bardzo pasowała do tego człowieka. Sprawiał wrażenie, jakby mu została narzucona. Najbardziej w oczy rzucało się jednak to, że był skuty. Jego ręce były związane w żelaznych kajdankach, które dla większego bezpieczeństwa przymocowano do mocnego rzemienia, otaczającego pas. Ten człowiek był więźniem.

— Już dobrze! Teraz wysiadać! — odpowiedział wachmistrz.

— No, no, wolnego! Wysiadę, jak mi się spodoba!

— Niech i tak będzie. Ale szybko!

Wachmistrz wypchnął go z wagonu. Więzień rozglądając się, zobaczył okalający go ścisk i uwierzył, że może znaleźć w nim ratunek. Szybkim susem znalazł się wśród wysiadających podróżnych i próbował się przepchać.

— Trzymajcie go! — krzyczał wachmistrz.

To wołanie było właściwie zbyteczne. Natychmiast rozpoznano w nim zbiegłego więźnia, otoczono go i zatrzymano.

— Oto on. Niech go pan bierze!

— Dziękuję, panowie. To była niesłychanie głupia próba ucieczki.

Policjant mający służbę na dworcu zbliżył się.

— Pomóc panu przy odstawieniu go, panie wachmistrzu? — spytał.

— Najserdeczniej dziękuję. Już mi nie ucieknie, ale na wszelki wypadek mocniej go zwiążę.

Wyciągnął linkę, obwiązał więźniowi wokół ramienia i poprowadził dalej. Droga wiodła do najwyższej części miasta, gdzie za niezwykle wysokimi murami wznosiły się wieże i budynki

przypominające swą budową zamek. Był to zamek warowny Hochberg, który od wielu lat przechowywał tych, co naruszyli prawo i odpokutowywali to utratą wolności. Hochberg był ciężkim więzieniem dla całej Norlandii.

Ulica kończyła się przed ciemną bramą, okutą żelazem, na której była umocowana potężna kołatka. Wachmistrz chwycił ją i zastukał. Ten dźwięk silnie musiał poruszyć każdego odpokutowującego człowieka, który był zmuszony zerwać z dotychczasowym życiem!

Mała zasuwka otwarła się i ukazała się brodata twarz.

— Kto tam?

— Strażnik, z nowym.

— Wejść.

Brama otwarła się gwałtownie. Obaj przybysze weszli do ciemnego korytarza w kształcie tunelu. Wojskowy wartownik, który otworzył bramę, zamknął ją ponownie i odryglował inne drzwi, prowadzące na małe podwórze.

— Prosto!

Strażnik kiwnął głową. Obeznany był już z pomieszczeniami tego budynku, przynajmniej na tyle, na ile wolno mu było je przekraczać. Poprowadził swojego więźnia przez podwórze do małego pomieszczenia, którego jedyne okienko znajdowało się za mocnymi, żelaznymi kratami. Siedział tutaj nadzorca strażników pełniących dyżur przy bramie. Spoglądał na podwórze i mógł dokładnie obserwować każdy, nawet najmniejszy ruch. Wpisywał do rejestru każdego wchodzącego i wychodzącego.

— Dzień dobry! — odezwał się przybyły.

— Dzień dobry, panie wachmistrzu. Znowu jakiś?

— Jak pan widzi.

Wachmistrz wpisał swoje nazwisko do książki i spytał:

— Pan radca jest?

— Tak, zadzwonię.

Nadzorca pociągnął za dzwonek. Ten rozległ się w oddali i zaraz pojawił się drugi nadzorca.

— Nowy! — zameldował dyżurny.

— Proszę ze mną! — zwrócił się ten drugi do wachmistrza. — Więzień zostaje tutaj.

Poprowadził go przez długi korytarz, aż do drzwi, za którymi zniknął, aby go zameldować. Po chwili ukazał się ponownie.

— Wejść!

Wachmistrz wszedł, zamknął za sobą drzwi, wyprostował się na baczność, nic nie mówiąc. Wiedział, że pierwszy musi się odezwać dyrektor. Ten ostatni był silnie zbudowanym

mężczyzną. Nosił mundur wyższego urzędnika więziennego i długą, cienką szpadę. Gęste wąsy sterczały mu z obu stron, a jego wygląd zewnętrzny świadczył o tym, że z nim nie można żartować. Spojrzał na przybysza, po chwili odłożył pióro i spytał krótko'

— Kto?

— Wachmistrz Haller z Fallum, panie radco.

— Kogo pan przyprowadził?

— Jednego nowego.

— Nazwisko!

— Henryk Hartmann z Fallum.

— Zawód?

— Rybak albo marynarz.

— Akta przekazania!

Wachmistrz wręczył mu akta, które miał już przygotowane.

— Dobrze, osobiste uwagi?

— Hartmann został skazany z powodu niehumanitarnego i ustawicznego maltretowania swojej żony i pasierba. Był pod ścisłym dozorem, ale mimo to próbował uciec, raniąc przy tym strażnika. Jest pijakiem. To złośliwy, bezczuciowy i bezczelny facet, który nawet podczas dzisiejszej podróży stawiał opór. Stwierdził między innymi, że również wachmistrzowie bywali w ciężkim więzieniu, próbował uciec na dworcu, ale został natychmiast złapany przez tłum.

— Potraktuję go odpowiednio. Dostanie trzecią klasę dyscyplinarną i dwadzieścia dni głodówki na powitanie. Panie wachmistrzu, oto potwierdzenie przyjęcia. Miłego dnia!

Podczas, gdy dyrektor zapoznawał się z aktami przekazania nowego więźnia, wachmistrz wrócił do dyżurki, aby zabrać pozostawione tam nakrycie głowy. Więzień siedział na pryczy i patrzył markotnie przed siebie.

— Hartmann, — odezwał się wachmistrz sposobiąc się do wyjścia — chce pan coś przekazać swojej żonie i dzieciom? To jest ostatnia sposobność, aby pan to zrobił w ten sposób.

— Wynoś się pan! — usłyszał w odpowiedzi.

Wachmistrz odszedł. Więzień przestał być w tym momencie osobą, a stał się przedmiotem; nie mógł nic o sobie stanowić, musiał działać pod przymusem. Nadzorca pojawił się po chwili.

— Chodź! — powiedział, rzucając ostre spojrzenie na Hartmanna.

— O, tu mówią na ty?

Strażnik przy bramie, który do tej chwili siedział milcząco, zwrócił się do swego kolegi:

— Bardzo bezczelny drań! Trzeba go trzymać krótko!

— Odczuje to. Naprzód!

Chwycił więźnia i wypchnął za drzwi. Szli tym samym korytarzem, którym przedtem kroczył wachmistrz, potem na prawo, aż do żelaznych drzwi. Gdy zdjęto trzy duże kłódki i odsunięto trzy potężne zasuwy, ukazał się za tymi drzwiami wąski, krótki korytarz bez okien, który oświetlała jedna lampa. Po obu stronach znajdowało się osiem podobnie zamkniętych żelaznych drzwi, z których każde zamykały pomieszczenie wysokie na siedem stóp, szerokie na cztery i głębokie na pięć stóp. Nie było w nim nic widać, jak tylko rurę ogrzewniczą na zimę, dzbanek na wodę, niski taboret do siedzenia i żelazny, wychodzący z muru łańcuch. Kwadratowe okienko o wymiarze półtovej stopy posiadało od wewnątrz podziurkowaną żelazną płytę, a z zewnątrz podwójną kratę. Nawet lew nie mógłby stąd wyjść.

Były to cele dla przychodzących i odchodzących z więzienia Hochberg, najgorsze ze wszystkich. Uważano za konieczne, pokazanie nowo przybyłemu przestępcy natychmiast jego położenie w najokropniejszej postaci i również temu, który odbył karę, aby go przestrzec przed recydywą. Każdy więzień przeżywał w jednej z tych strasznych cel swój pierwszy i ostatni dzień pozbawienia wolności.

Strażnik otworzył jedną z nich.

— Wejść!

— Co, tutaj? Nie ma lepszych?

— Nie:

— Nawet w Fallum były ładniejsze!

— W Hotelu de Saxe są jeszcze ładniejsze, ale kosztują od dziesięciu do dwudziestu marek za dobę. Pokaż kieszenie!

— Cholera, wypraszam sobie mówienie przez ty!

— Jakoś to przeżyjesz. Pokaż kieszenie! — zabrzmiało teraz bardziej opryskliwie, niż poprzednio.

— Nic w nich nie mam!

— Sam się chcę o tym przekonać. No, mam pomoc? Kajdanki zabrał ze sobą wachmistrz, więc więzień mógł znowu poruszać rękami. Nastraszony ostrym tonem strażnika wyrzucił wszystkie kieszenie. Urzędnik przeszukał go jeszcze od stóp do głów.

— Jak się nazywałeś?

— Hartmann.

— Zawód?

— Marynarz.

— Co przeskrobałeś?

— Musi pan to wiedzieć?

— Sam to sobie potem przeczytam, nie musisz mi więc tego mówić. Jednak chcę ci po dobroci zwrócić na to uwagę, że lepiej będzie dla ciebie, jeśli będziesz uprzejmy w stosunku do przełożonych. Nie przebywasz tu ani pół godziny, a już dostałeś karę dwudziestu dni głodówki.

— Ja? Chciał bym wiedzieć, za co!

— Bo byłeś ordynarny względem wachmistrza. Tu w więzieniu najmniejszy błąd jest surowo karany. Jesteście u nas, aby odbyć karę i poprawić się. Kto jest chętny i pracowity, nie może się uskarżać. Ale kto się sprzeciwia, temu nie wiedzie się dobrze. Zapamiętaj to sobie! A więc jaką długą masz karę?

— Dziesięć lat.

— Za co?

— Podobno pobitem żonę i mojego pasierba, a przy próbie ucieczki pchnąłem nożem strażnika.

— Podobno? Powiedz od razu: pobitem i dźgnąłem, gdyż to zrobiłeś. Umiesz czytać?

— Trochę, jeżeli druk jest duży.

— Tutaj na tej kartce na drzwiach jest napisane, jak się macie zachowywać. Dość światła wchodzi przez okno. Wszystko przeczytaj dokładnie, dopóki nie wrócę i zastosuj się do tego!

Opuścił celę. Zamki zadźwięczały, rygle zabrzęczały, potem zrobiło się cicho. To straszne otoczenie wywarło na więźniu spore wrażenie. Czuł się, jakby go ktoś zdzielił w głowę. Usiadł na starym, drewnianym stołku i ujął twarz w swoje ręce. Siedział tak przez długi czas, aż zamki ponownie zadźwięczały, a rygle zabrzęczały. Strażnik otworzył drzwi po raz drugi.

— Chodź!

Chętnie wyszedł z celi. Szli przez szereg korytarzy aż do wypełnionego parą wodną większego pomieszczenia, podzielonego niskimi, cienkimi drewnianymi ściankami na kilka części. W każdej z nich stała wanna, a koło niej taboret. Na jednym z tych taboretów leżała odzież, obok stał szczupły mężczyzna, trzymając w ręce nożyczki i grzebień. Miał na sobie katanę i spodnie z brązowego sukna, na nogach buty z twardej bydlęcej skóry. Włosy miał krótko przystrzyżone, mimo to widać było po nim, że kiedyś mu się dobrze żyło.

— Numer dwa, idzie nowy! — powiedział nadzorca. — Ubierz go! Ja w międzyczasie załatwię coś innego! Tylko nie robić mi głupstw! Za pół godziny wracam!

Poszedł i zamknął za sobą drzwi. Ci dwaj zostali sami.

— Siedemdziesiąt cztery, siadaj!

— Kto?

— Ty! Nie masz już nazwiska, lecz numer siedemdziesiąt cztery. Tylko tak będziesz tu nazywany.

— Cholera, a to ładne!

— Nie przeklinaj! — szepnął, a potem dodał głośno: — masz usiąść, powiedziałem! Żle słyszysz?

Hartmann usiadł na taborecie. Ten drugi chwycił za nożyczki i grzebień.

— Co to ma być, he? — spytał marynarz.

— Trzeba ostrzyć ci włosy. Potem wykąpiesz się i ubierzesz więzienne ubranie. Twoje ubranie pójdzie do tego worka, który ma twój numer i będzie tam przechowywane do czasu twojego zwolnienia.

— No, niech będzie, jeśli nie można inaczej!

Zaczęło się strzyżenie. Więzień nazywany numer dwa szeptał:

— Nie poruszaj wargami, kiedy mówisz. Jesteśmy obserwowani przez małe dziurki nad wannami. Co robisz?

— Jestem marynarzem.

— Skąd?

— Z Fallum.

— A, z tego kąpieliska morskiego?

— Tak, znasz je?

— Często tam bywałem. Nie wiesz może, czy hrabia Hoheneck był tam tego lata?

— Przed trzema miesiącami był. Od tego czasu siedzę. Znasz go?

— Bardzo dobrze.

— A kim ty jesteś?

— Nieważne. — jednak zwyciężyła próżność, tkwiąca w większości ludzi, więc dodał: — Nie byłem pospolitym człowiekiem. Hrabia to mój przyjaciel.

— Ach! — zdziwił się Hartmann. — Jestem tu właśnie z powodu tego, „Szalonego hrabiego”.

— Jak to?

Hartmann szeptał przez lekko uchylone wargi.

— Płynął łódką i popchnął córkę majora Helbiga do wody. Mój chłopak wrzucił potem hrabiego, a ja go wychłostałem zbyt mocno. Z tego powodu złożono na mnie doniesienie i zamknięto. Chciałem uciec, ale w trakcie ucieczki dziabnąłem nożem strażnika. Dostałem za to dziesięć lat.

— A co z chłopcem?

— Nic. Hrabia musiał nawet koszty pokryć.

— Tak, to są dzisiejsze stosunki. Kiedyś za starego rządu było lepiej. No, skończyłem. Teraz się rozbierz i włącz do wanny! Twoje klamoty muszę zabrać.

— Co ty tu właściwie robisz?

— Jestem kąpielowym.

— Ile ci za to płacą?

— Sześć fenigów dziennie.

— O rany, to dużo!

— Tak, dużo. Ty nie dostaniesz nic przez trzy miesiące, dopiero potem trzy fenigi dziennie, ale tylko wtedy, gdy wykonasz dniówkę.

— Co to znaczy?

— Tyle, ile masz codziennie wykonać. Nie zrobisz tego, ukarzą cię aresztem, głodówką lub nawet batami. A ponieważ masz trzecią klasę dyscyplinarną, więc z trzech fenigów potrąca ci jeden codziennie. Więc dostaniesz tylko dwa.

— Jak to jest z tymi klasami?

— Jak przychodzisz ze złą opinią, albo zostaniesz tu ukarany, dostaniesz trzecią klasę, kto przychodzi z dobrą opinią — drugą, a kto się przez długi okres wyróżnia — pierwszą. Pierwsza klasa nosi błyszczące guziki, druga żółte, a trzecia czarne.

— No to ty masz pierwszą klasę?

— Tak, ale nie dlatego, że dobrze się tutaj przez długi okres prowadziłem, gdyż nie jestem tu długo. Ale dyrektor liczy się ze mną, gdyż byłem kimś ważnym. Funkcja kąpielowego jest też przywilejem. To odpowiedzialne zajęcie, gdyż przecież rozmawiam z każdym więźniem. Mogę się im więc bardzo przydać. Czy chcesz mi się przysłużyć i przekazać innemu więźniowi kilka słów? Mam je już przygotowane na wypadek, gdybym znalazł kogoś, kto będzie gotowy załatwić mi to. Prosto stąd pójdziesz mianowicie do lekarza więziennego. Siedzi przy nim więzień, który jest jego pisarzem. Jemu masz oddać tę kartkę. On zna mój znak, więc patrzy uważnie na każdego. Jak będziesz zdejmować kapotę, to kichniesz i potrzasz sobie lewą ręką prawe oko i prawą lewe oko! On natychmiast do ciebie podejdzie i pomoże ci się rozebrać. W trakcie tego zabierze sobie ten papierek, który przypnę za chwilę do chustki na szyję. On ci się przyda. Kto chce kawę albo coś innego nadzwyczajnego, musi poprosić lekarza. Ten wydaje pisarzowi swoją decyzję i co ten napisze, to obowiązuje. Tak, że może się zdarzyć, że on przyzna coś komuś, o co ten wcale nie prosił. Więc jak coś kiedykolwiek dostaniesz, to powiedz wtedy tylko strażnikowi, że prosiłeś o to lekarza! Tymczasem kąpiel nowicjusza

dobiegła końca, zaczęło się ubieranie. Kąpielowy pomagał mu i okręcił także chustkę wokół szyi.

— Zapomniałeś o liście! — szepnął Hartmann.

— Nie martw się! Jest na swoim miejscu. Byłbym bardzo niezgrabny, gdybyś go zauważył. Wtedy strażnik też by go odkrył.

— Naprawdę nas podsłuchuje?

— Tak. Zobaczysz, że wejdzie, jak tylko skończymy. Ci ludzie uważają się za mądrych, a są głupszy nawet od głupich.

I rzeczywiście. Ledwo Hartmann wsadził ręce w rękawy katany, wszedł strażnik.

— Znowu gadaliście!

— Ani słowa! Czy myśli pan, że ludzie mego pokroju, odczuwają potrzebę zwierzenia się takim?

— Nie sądzę. Do przodu!

Hartmanna poprowadzono do innego budynku, gdzie strażnik popchnął go do pokoju, w którym jakiś cywil siedział za biurkiem. Po drugiej stronie znajdował się mężczyzna w ubraniu więziennym i pisał, nie odrywając wzroku znad papierów. Pierwszy z nich był naczelnym lekarzem więzienia. Zmierzył przybysza surowym wzrokiem, a potem przybrał ton urzędnika:

— Byłeś kiedyś chory’?

— Nie.

— Dolega ci coś teraz?

— Nie, ale stale jestem głodny.

— Ach tak! — zaśmiał się lekarz. — Panowie więźniowie siedzieli w areszcie śledczym na marnym wikcie i chcą się teraz tutaj dożywić. Rozbieraj się!

Pochylił się nad swoją pisaniną. Hartmann długo zdejmował katanę i kichał, potem wytarł sobie oczy w wiadomy sposób. Gruby pisarz podniósł się natychmiast i podszedł do niego.

— No, ani odrobiny sprytu! Jak długo lekarz naczelny ma czekać, co? Zdjąć to!

Rozwiązał mu chustkę, rzucił ją na ziemię i pomagał przy zdejmowaniu pozostałej części garderoby. Gdy skończyli, lekarz podniósł się z krzesła i zbadał Hartmanna dokładnie. Miał czas, gdyż nie przywieziono jeszcze następnego więźnia. Podczas badania zauważył Hartmann, że pisarz czytał za stołem małą karteczkę i szybko napisał kolejną. Gdy badanie lekarskie dobiegło końca, podszedł ponownie do Hartmanna i pomagał mu się ubrać. Zręcznie wetknął mu napisaną przez siebie karteczkę pod chustkę na szyję i szepnął: — U inspektora pracy znowu kichaj!

Hartmanna wypuszczono. Na korytarzu znowu odebrał go strażnik, który zaprowadził go do jego celi i odszedł. Podczas tej przerwy odważył się i rozwinął karteczkę, chociaż wiedział, że może być obserwowany. Tekst był w obcym języku. Jego autor i ten, do którego była ta kartka skierowana, nie mogli być zwykłymi ludźmi. Strażnik pojawił się po kilku godzinach. Przyniósł wodę i chleb.

— Poprosiłeś lekarza o podwójną porcję chleba?

— Tak. Marynarz jest stale głodny.

— Lekarz musiał być dzisiaj w dobrym humorze. Chodź! Obietnica kąpielowego już się spełniła. Gruby pisarz zapisał mu, na własną odpowiedzialność dwa funty chleba.

Droga prowadziła przez kilka podwórców, aż w końcu dotarli do pewnych drzwi.

— Do tego pana, tam w środku, masz się zwracać, panie inspektorze pracy! — zaznaczył strażnik i popchnął więźnia do pokoju.

Urzędnik był człowiekiem młodym o życzliwej twarzy. W mundurze wyglądał dobrze. Jemu też jeden z więźniów świadczył usługi, jako pisarz. Także tutaj strażnik czekał przed drzwiami.

— Zawód? — pytał inspektor.

— Marynarz.

— Marynarz, więc jesteś silny — przeglądał jego papiery. — Tutaj widzę, że lekarz przydzielił ci dwa funty chleba; no to musisz też umieć pracować. Czy zajmowałeś się też rzemiosłem oprócz, zawodu?

— Nie — odpowiedział kichając i wycierając sobie oczy.

— Ale w zimie, jak nie wyjeżdżałeś na ryby, co robiłeś?

— Hm — chrząknął więzień z zakłopotaniem.

— Ach tak, rozumiem! Nic nie robiłeś! Grałeś, co?

— Tylko wieczorami — usprawiedliwiał się Hartmann.

— A za dnia?

— Spałem.

— Wspaniale! To znaczy, że grałeś w nocy, a w dzień spałeś. Masz żonę i dzieci?

— Tak.

— A więc rodzina i takie hulaszcze życie! Niezły z ciebie ptaszek! Dam ci zajęcie, które nie pozwoli ci tak lekko zasypiać. Praca jest ciężka. Jak jej nie wykonasz, dam ci głodówkę.

Inspektor rozgniewał się. Podobnie pisarz. Podniósł się i podszedł bliżej.

— Jesteś również niechlujny — stwierdził, a przy tym dobrze musiał znać swojego przełożonego, aby odważyć się na udział w rozmowie. — Ten guzik jest odpięty, a chustka na

szyi sterczy w tyle. Panowie nadzorcy nie zwracają na to uwagi, a ja muszę to poprawiać, żeby ludzie przed panem inspektorem wyglądali porządnie.

Podczas tego zapiął mu otwartą katanę i pilnie usiłował zawiązać mu chustkę. Następnie cofnął się i usiadł z zadowoloną miną.

— Słusznie — stwierdził inspektor. — damy ci więc jakąś pracę?

— Niech go pan wyznaczy do kuźni i załatwi resztę! Muszę się pospieszyć, żeby zdążyć na pociąg. Ty możesz już odejść!

Hartmann opuścił pokój, strażnik odprowadził go do celi. Niedługo był tam sam, gdyż wkrótce znowu otwarły się drzwi. Wszedł strażnik w towarzystwie kucharza więziennego.

— A więc to ten? — spytał ten ostatni, lustrując więźnia.

— Tak, ten to ma szczęście — odpowiedział strażnik. — Na początek dostaje dwadzieścia dni głodówki, a przydziela mu się podwójną porcję chleba i pracę w kuchni, podczas gdy inni latami starają się o taką pracę i są odrzucani. Ciekaw jestem, jak pan dyrektor pogodzi głodówkę z pracą w kuchni i taką ilością chleba.

— To nie nasza sprawa — stwierdził kucharz. — Zaszła pewnie jakaś pomyłka. Ale muszę się stosować do zaleceń pana inspektora pracy i temu tutaj powiedzieć, że jutro rano ma się stawić w kuchni. Niech mu pan załatwi biały fartuch i czapkę kuchenną!

Tymczasem pisarz inspektora pracy stał przy oknie i spoglądał na podwórze. Był sam, gdyż jego przełożony opuścił więzienie, aby zgodnie ze swoją wcześniejszą wypowiedzią udać się w podróż. Pisarz wyglądał na dręczonego niepokojem i ciągle wyciągał kartkę, którą wydobył spod chustki Hartmanna. Tekst był następujący:

Nareszcie nadszedł czas, jak mnie Natter powiadomił. Czekać na nas w swojej kancelarii!

Wtem jeden z więźniów bez towarzystwa strażnika przeszedł przez podwórze. Był to pisarz naczelnego lekarza. Wszedł. Obaj mężczyźni znali się. Jeden był dyrektorem, a drugi ordynatorem szpitala psychiatrycznego; popełnili tego rodzaju przestępstwo, że odsiadali teraz dożywocie w ciężkim więzieniu.

— Inspektor wyszedł? — spytał były dyrektor szpitala psychiatrycznego Breiding.

— Tak — odpowiedział jego dawny podwładny Schramm. — Skąd wiesz, że chce wyjechać?

— Był przed południem u doktora i powiedział mu to. Jesteś gotów?

— Zaryzykuję życiem, jeśli trzeba. Ale jak?

— Sam jeszcze nie wiem. Natter napisał mi dzisiaj, że mam być o tej porze u ciebie.

— Więc on też przyjdzie?

— Z pewnością.

— Jak dobrze, że należący do pierwszej grupy dyscyplinarnej więźniowie mogą się poruszać w czasie pracy bez nadzoru. Jak mnie tutaj u ciebie zobaczą, to powiemy, że omawiamy jakieś sprawy papierkowe. Popatrz, idzie Natter!

Więzień numer dwa przeszedł przez podwórze i już był w pokoju.

— Dobrze, że panowie są już razem. Otrzymali panowie moją informację?

— Tak. Jakie przygotowania pan poczynił?

— Jeszcze żadnych, ale oczekują nas poza więzieniem.

— Kto?

— O tym nie chciałbym na razie mówić. W gospodzie u najbliższej wsi wynajął mieszkanie pewien woźnica, który trzyma w pogotowiu konia z uprzężą. W minutę po naszym przybyciu na miejsce, będziemy mogli odjechać.

— Ale jak wydostaniemy się z więzienia?

— Przebrani za strażników. Wtedy nas wartownik nie zatrzyma.

— Do diabła, ależ to zuchwały pomysł! W biały dzień, po prostu wyjść sobie na spacer! A ubrania?

— Dostaniemy od wartownika. Nie da ich oczywiście dobrowolnie. Zabierzemy mu je. Każdy strażnik, który przychodzi z domu, musi, jak wiadomo zostawić u wartownika czapkę i płaszcz. Te rzeczy wieszka się w szatni, znajdującej się obok wartowni, a to nam zupełnie wystarczy, ponieważ potrzebujemy tylko płaszczy i czapek, żeby wyglądać, jak strażnicy.

— Ale jesteśmy ogoleni, a wszyscy strażnicy noszą brody.

— Przewidziałem to. W czasie mojej pracy dużo włosów przechodzi przez moje ręce. Zrobiłem z nich brody. O, proszę przymierzyć!

Wyciągnął papierową torbę i otworzył ją. Trzy znajdujące się tam brody pasowały znakomicie.

— Wyborne! — stwierdził były dyrektor. — Ale nie ukryjemy naszych spodni i butów.

— Pod oknem jest ciemno.

— To nie było aż tak trudne, jak mi się początkowo wydawało — odpowiedział. — Jako kąpielowy byłem często w kuchni po gorącą wodę. Rzeźnik, dostarczający tę niewielką ilość mięsa na więzienny obiad, przychodzi co rano o określonej porze. On należy do tych ludzi z zewnątrz, którzy mogą wchodzić bez uprzedniego zgłoszenia. Kiedy ujrzałem go po raz pierwszy, rozpoznałem w nim natychmiast człowieka, z którym prowadziłem interesy. On także mnie poznał, ale pozostał niewzruszony. Z kilku słów, które dla pozorów skierował do

kucharza, zrozumiałem, że chce mnie ponownie zobaczyć, więc tak sobie zorganizowałem, żeby następnego ranka o tej samej godzinie musiał przyjść do kuchni. Upuścił na posadzkę zwinięty papierek, na którym stanąłem nogą, aby go potem podnieść. Pytał mnie w nim, czy może coś dla mnie zrobić. Utrzymywałem z nim stały kontakt i podałem przez niego list do hrabiego Hohenegg.

— Do tego szalonego hrabiego?

— Tak. Ten odpowiedział mi, że w miarę swych możliwości zaopiekuje się mną i przyśle mi zaufaną osobę, która będzie mnie oczekiwać z wozem, przewiezie mnie przez granicę i zaprowadzi do bezpiecznej kryjówki.

— Może pan na nim polegać?

— Jestem go pewien. Panowie pewnie jeszcze nie wiedzą, że księżę wydalil go wtedy z kraju, gdyż nie można mu było udowodnić bezpośredniego udziału w spisku. W wyroku było zastrzeżenie, że może co roku przebywać kilka miesięcy w Norlandii. Gdybym tymczasem zdradził to, co wiem, to musiałby się wystrzegać ponownego przekroczenia granicy. To oznaczałoby koniec jego wolności. On o tym dobrze wie, dlatego mi pomaga.

— Podróż wozem jest niebezpieczna, obydwaj doświadczyliśmy tego. Z kolei też nie możemy skorzystać. Na wiadomość o naszej ucieczce obstawiają przejścia graniczne, tak że żaden wóz nie przejedzie bez kontroli.

— Hm, to prawda! Byłoby chyba korzystniej, gdybyśmy przebyli tę drogę pieszo. Wolałbym się na to zdecydować. Co panowie na to?

— Popieram.

— Dobrze, chodźmy. Ale dzisiaj i jutro nie dotrzemy w góry. Tam jest wieś. Czy z przeciwka nie nadchodzi jakiś człowiek?

— Jakiś spacerowicz.

— Wygląda na to, że tak sobie chodzi, jakby się chciał trochę przespacerować. Trzyma bat w rękę i wygląda naprawdę na naszego człowieka. Takie były ustalone znaki rozpoznawcze i jak najwięcej ma przebywać w pobliżu więzienia. Popatrzcie panowie, zauważył nas i zatrzymał się! To na pewno on!

Podeszli bliżej. Zdjął czapkę i uklonił się grzecznie. Natter podziękował i spytał:

— Proszę powiedzieć, drogi panie, co pan tu robi?

— Czekam.

— Ach tak! Pan jest zamku Himmelstein i pracuje pan u hrabiego?

— Kasztelan we własnej osobie. Którego z panów mam powozić?

— Mnie, nazywam się Natter. Ci panowie są moimi przyjaciółmi, których polecam Waszej Dostojności. Ile czasu potrzebuje pan, aby nas zabrać?

— Niespełna dziesięć minut. Muszę tylko wyprowadzić konie ze stajni i zaprząć je do wozu.

— Niech pan przyjeżdża!

— Do wsi? Nie, panowie! Proszę obejść wieś od prawej strony i dalej drogą! Natychmiast pospieszę za wami, wtedy panowie wsiądą.

— Ma pan wszystko, co potrzeba?

— Ubranie tylko dla pana. Jednakże w takie rzeczy można się — z łatwością zaopatrzyć w każdym sklepie, tylko najpierw musimy opuścić tę okolicę.

— A pieniądze?

— Tyle, że nie uda się ich panu wydać w drodze do zamku Himmelstein. Hrabia dał mi tę sakiewkę i ten portfel, aby panu przekazać.

— Dziękuję! Więc proszę jak najszybciej zaprzęgać, żebyśmy nie musieli na pana czekać!

Mężczyzna podążył do wsi, a trzej zbiedzy drogą wiodącą dookoła, a ponieważ nikogo nie zauważyli, posuwali się wolno naprzód.

Niebawem mieli się przekonać, jaką popełnili nieostrożność. Gdy zbliżyli się do zakrętu drogi, gdzie jej następny odcinek pokryty był krzakami, Natter drgnął z przerażenia.

— Do wszystkich diabłów, żandarm wiejski!

— Rzeczywiście! — zawołał pisarz — Co robimy?

— Uciekamy — powiedział dawny ordynator Schramm. — Tam w bok do krzaków!

— Nie, nie możemy. On nas zobaczył. Naprzód pójdziemy w jego stronę! — zdecydował Natter.

— Ale on ma karabin!

— A my sześć rąk. Boją się panowie?

Żandarm zbliżał się wolno, przez ramię miał przewieszoną strzelbę. Wziął ich za strażników zakładu karnego i już podnosił rękę do czapki w goście powitania, lecz zaskoczony ją opuścił. Coś jednak spostrzegł.

— Dzień dobry, panom? A dokąd to?

— Na spacer — odparł Natter.

— Mają panowie wolne?

— Tak, mieliśmy dyżur w nocy. To teraz mamy wolne.

— Nigdy panów dotychczas nie widziałem, a znam tu przecież wszystkich kolegów. Panowie pewnie nie pracują długo?

— Już od dłuższego czasu, jednak dopiero niedawno zostaliśmy tutaj przeniesieni.

— Wydaje mi się, że nie jesteście kompletnie ubrani? Albo nosiliście na poprzedniej placówce buty i spodnie więźniów?

— Tak jest.

— Także chustkę więzienną zamiast krawata? Ach, mój drogi, niech pan zamknie usta, bo panu wąsy wpadną! Panowie pozwolą ze mną z powrotem do wsi!

— Dlaczego?

— Sprawiacie wrażenie podejrzanych.

— Strażnicy więzienni podejrzani? Ale dowcip!

— Nie aż taki, jak pan przypuszcza. W tył zwrot; proszę ze mną! Ach, co to jest?

Od strony miasta słychać było tępy, z dala rozbrzmiewający huk. Żandarm przystanął nad słuchując. Zdjął karabin z ramienia.

— Strzał armatni? Jeszcze jeden, a teraz trzeci! Hola, trzech więźniów uciekło, to wy nimi jesteście! Naprzód marsz, w tył zwrot!

— Bardzo chętnie, panie wachmistrzu! — odpowiedział Natter.

Zobaczył nadjeżdżający wóz, zaprzężony w dwa wspaniałe kasztanki. Kasztelan siedział na koźle. Zauważył żandarma, który prowadził tych trzech i natychmiast zatrzymał konie. Zeskoczył, otworzył jedne drzwiczki, ponownie wskoczył, trwało to moment. Wiedział, że teraz wszystko zależy od niego.

— Panie wachmistrzu — zawołał, gdy ten zbliżył się ze swoim towarzystwem — słyszał pan strzały? Trzech więźniów zbiegło.

— Właśnie ich złapałem. Oto oni!

— Cholera! Od razu sobie to pomyślałem, gdy pana zobaczyłem. Ale strzeżonego pan Bóg strzeże; otwarłem już; nie chce pan „wziąć mojego wozu” Będą łotry pewniejsze.

— Przyjmuję pana propozycję.

— Gdzie ich wysadzić?

— Przed bramą więzienną. Proszę zawrócić!

— Za chwilę, jak już będą w środku. Nie można takich gagatków za długo pozostawić na drodze.

— Dobrze! Naprzód!

Kasztelan trzymał bal w pogotowiu, poderwał konie cuglami w górę i czekał na decydujący moment. Najpierw wsiedli obaj pisarze, potem Natter. Teraz żandarm oparł rękę o drzwiczki.

— Panie wachmistrzu! — zawołał woźnica.

— Co?

— Ma pan niewłaściwe osoby. Czy to nie są więźniowie, którzy tam biegną przez łąkę?

— Gdzie?

— Tam na prawo, po drugiej stronie!

Powóz stał między żandarmem, a okolicą, którą wskazywał kasztelan. Żandarm zdjął więc rękę z drzwiczek i cofnął się w tył, aby lepiej widzieć. Wtedy bicz uderzył w konie. Wspięły się w górę i ruszyły do przodu.

— Bywaj zdrów, wachmistrzu; to są ci prawdziwi! — rozległ się śmiech z kozła.

Oszukany szybko się opanował. Podniósł karabin w górę i zawołał:

— Stoi albo strzelam!

Nie zważano na rozkaz. Rozległ się strzał i jeszcze jeden kule utkwily w wozie; ten jednak rwał dalej w szalonym tempie. Ptaszki uciekły.

WSPANIAŁA ZAGRYWKA GERDA

Nazajutrz późnym popołudniem jechali po górskiej drodze na szwedzkich kucykach chłopiec i dziewczynka. Chłopiec mógł mieć niewiele ponad czternaście lat, dziewczynka około dziesięciu, lecz jeździła konno dużo lepiej od niego.

— Ty to masz dziwnie — powiedziała dziewczynka. — Masz trzech ojców.

— Jak to?

— No, masz ojca, którego nigdy nie widziałeś, ojca, który jest twoim ojczymem, no i jeszcze trzeciego, który jest również moim papą.

— Tak, muszę mu mówić papo, ale czy on naprawdę tak mnie kocha, jak ojciec kocha swoje dzieci?

— Papa? Bardzo cię kocha, możesz mi wierzyć. Słyszałam, jak rozmawiał z panem Meinhartem o tobie.

— A co wtedy powiedział?

— Nie mogę tego zdradzić, Gerdzie, bo zaczniesz być dumny, a wiesz przecież, że ja tego nigdy nie polubię.

— Obiecuję ci, że nigdy nie będę dumny.

— On powiedział tak: mój drogi panie Meinharcie — mówiąc to ładne dziecko poprawiło się z godnością na swoim koniku, aby naśladować postawę i minę, jaką miał tatuś, gdy mówił te słowa. — Jest pan wychowawcą mojej córki i cieszę się, iż mogę panu oznajmić, że jestem z pana zadowolony. Chcę panu powierzyć również mojego przybranego syna. Jest biednym synem marynarza i pobierał naukę tylko w szkole powszechnej. On jest niezwykle uzdolniony i chętnie się uczy, co mu pomoże pokonać trudności. Ma bardzo dobre serce, jest otwarty i uczciwy. Trzeba mu tylko okazać dobroć i życzyłbym sobie, aby również pan okazywał mu swoją miłość. Ma zostać oficerem marynarki. Niech pan będzie tak dobry i uczy go według tego planu. Tak właśnie powiedział tatuś.

— Cieszę się bardzo. To powinna usłyszeć moja mama, byłaby szczęśliwa. Poleciała mi bowiem zrobić wszystko, aby twój papa był zadowolony.

— Ja już jej to powiedziałam. Ale, Gerdzie, nie powinienes mówić twój papa. To jest również twój papa, więc jestem twoją siostrą. Cieszę się, że mam brata, tak jest dużo lepiej, niż przedtem. Również moje ciocie bardzo cię lubią. A one nie od razu pałają sympatią. A wiesz, dzięki czemu natychmiast zyskałeś ich sympatię?

— No?

— Bo tak dzielnie i mądrze postąpiłeś z hrabią, a szczególnie zaś za to, że usunąłeś wtedy żaby i raki. Także nasz wspaniały Kunz jest dla ciebie dobry. Kiedy on mówi o tobie, nazywa cię nie inaczej, jak tylko nasz chłopiec.

— Tak, mamy teraz u was, jak w niebie, w porównaniu z poprzednią sytuacją. Cieszę się z moją biedną mamą z całego serca. Mama bardzo się teraz martwi, że mój ojczym jest w... w...

— No powiedz to słowo, drogi Gerdzie; ty przecież nie jesteś niczemu winien!

— W więzieniu, chciałem powiedzieć.

— Tam musi być strasznie! Nie można się dziwić, jeśli ktoś próbuje uciec, jak mi wczoraj opowiadał woźnica. Jak to właściwie było?

Byłeś tam.

— No, musiałem papę i Kunza odprowadzić na dworzec, gdy wyjeżdżali. W poczekalni spotkaliśmy jakiegoś pana w mundurze. To był, jak mi papa opowiadał, inspektor pracy, w ciężkim więzieniu. Przyjechał pociągiem, żeby prowadzić rozmowy o interesach z człowiekiem, który zleca pracę w zakładzie karnym. Podczas naszej rozmowy usłyszeliśmy, że kolejarze coś do siebie wołają. Nadeszła właśnie depesza, skierowana do wszystkich stacji w kraju. Zbiegło trzech groźnych więźniów, mianowicie niebezpieczny spiskowiec Natter i dwaj lekarze, z których jeden był dyrektorem, a drugi ordynatorem w zakładzie psychiatrycznym. Możesz sobie wyobrazić, jak się ten inspektor pracy przestraszył. Były ordynator był jego pisarzem w więzieniu; zrezygnował z planowanej rozmowy i powrócił najbliższym pociągiem do więzienia. Tym samym pojechał też papa.

— Chciałabym, żeby ich schwytano i odstawiono do więzienia.

— Złapią ich. Całą policję postawiono na nogi, wszystkie drogi są obstawione, aby ich złapać. Ta pilna depesza informowała, że oni jadą górzystą drogą, wozem zaprzężonym w dwa kasztanki.

— To straszne! A gdybyśmy ich spotkali!

— O, niechby nam tylko coś zrobili! Nie zląkłem się szalonego hrabiego, więc ich się tym bardziej nie boję. Nie mógłbym ich powstrzymać, bo jestem za mały, ale na ciebie nie mogą nawet brzydko popatrzeć; wypraszam to sobie!

— A gdyby tak przyjechali do Helbigsdorf! Papa i Kunz wyjechali, ciocie są z wizytą na drugim brzegu i wrócą dopiero jutro, a nasz pan Meinhart ma urlop.

— To nic! Papa ma w swojej szafie, w której przechowuje broń, mnóstwo szpad i pistoletów. Ja bym ich wszystkich trzech powystrzelał.

— A ja się jednak boję. Spójrz, kto tam siedzi pod drzewem? Boję się. Chodź tu, na tę stronę!

Droga prowadziła przez las. Na jego skraju stała starsza kobieta, oparta o sękaty świerk. Była boso, miała na sobie tylko spódnicę w kolorze jaskrawej czerwieni, na ramionach żółtą i mocno zabrudzoną narzutkę, a na głowie turban, zwinięty z niebieskiej chustki. Miała śniadą cerę. Swymi głęboko osadzonymi, czarnymi oczami uważnie zmierzyła powracające z przejażdżki dzieci. Gdy się zbliżyli, wyciągnęła prawą rękę po prośbie i wyszła spod drzewa.

— Dajcie coś biednej Cygance, dzieci!

Przestraszona Magda chciała dalej pojechać, ale Gerd zatrzymał swojego i jej konia.

— Jesteś Cyganką? Zupełnie inaczej wyobrażałem sobie Cyganę.

Jego szczerą twarz i szlachetne, przyjazne oczy spodobały się starej.

— No to przyjrzyj mi się dokładnie! — uśmiechnęła się.

— Przebyłaś dzisiaj bardzo daleką drogę? — spytała Magda.

— Nie; ale jestem stara i szybciej się męczę, niż za młodu.

— I chyba jesteś głodna i chce ci się pić?

— Trochę.

— No to źle trafiłaś. Gerdzie, zapomniałam wziąć moją sakiewkę. Daj jej proszę coś i w moim imieniu, żeby kupiła sobie coś do jedzenia i picia.

— Tak, — odpowiedział zakłopotany — ale ja też nie mam przy sobie pieniędzy. Co teraz zrobimy?

Dziewczynka spoglądała zastanawiając się na ziemię. Cyganka kiwnęła głową zyczliwie:

— Dobrze z was dzieci. Niech was Bóg błogosławi!

Magda podniosła energicznie główkę.

— Nie, musisz coś od nas dostać! Ale najpierw mi powiedz, czy to prawda, że Cyganie są złymi ludźmi! Ciocie twierdzą, że oni nawet dzieci kradną!

— Nie, to nieprawda. Cyganie są tacy biedni, że są zadowoleni, jeśli w ogóle nie mają dzieci. A jeśli nawet ktoś zrobi coś złego, to co temu są winni ci pozostali.

— Tak, wierzę ci. Wyglądasz na miłą i dobrą osobę, masz takie duże oczy i na pewno umiesz tylko czynić to, co dobre. Chciałabym, żebyś coś dostała do jedzenia i picia i żebyś mogła naprawdę wypocząć. Chcesz pójść z nami?

— Dokąd?

— Do Helbigsdorf. Musimy jeszcze iść piętnaście minut.

— To posiadłość majora Helbiga?

— To nasz papa. Idziesz? Możesz u nas jeść i pić, ile ci się podoba, no i spać w pięknym łóżku.

Stara pokiwała głową i podeszła do nich.

— Tak, pójdę z wami, dobre dzieci.

Gerd przyglądał się jej ruchom z pewnym powątpiewaniem.

— Jesteś bardzo zmęczona i nie dotrzymasz kroku naszym koniom.

— No to jedźcie przodem, ja pójdę trochę wolniej.

— To niemożliwe. Kucyki nie biegną wolno, a nie chcemy cię zostawiać w tyle. Gdybyś mogła wsiąść na mojego kucyka. Chętnie zejść i poprowadzę go tak, abyś nie spadła. Spróbujesz?

— Chętnie, jeśli mi pozwolisz.

— No chodź!

Zeskoczył i chciał jej pomóc. Ale ona z niesamowitą zręcznością wskoczyła na kucyka.

— O, wygląda na to, że już kiedyś jeździłaś konno.

— To prawda, moje dziecko.

Wzięła mu z ręki cugle i szybkim krokiem ruszyli do przodu. Cyganka odezwała się pierwsza:

— A więc jesteście dziećmi majora Helbiga? Myślałam, że on ma tylko córkę.

— Właściwie masz rację. — odpowiedziała ufnie Magda — Gerd dopiero od niedawna jest moim bratem.

— Jak to?

— Byliśmy w miejscowości letniskowej Fallum. Wtedy poznaliśmy go i zabraliśmy do Helbigsdorf, jego i jego mamę. Uratował mi życie, a szalonego hrabiego przewrócił razem z łodzią. Dlatego został moim bratem. Czy to prawda, że Cyganie umieją wróżyć?

— Są wśród nich tacy, którym dany jest ten dar, o którym mówisz.

— O, ty pewnie też go masz?

— Tak — rzekła stara.

— Ach, proszę, powróź mi!

— Jesteś jeszcze za młoda, moje dziecko. Rysy twojej twarzyczki i linie twojej rączki nie są jeszcze dostatecznie rozwinięte i wykształcone. Kiedyś pozwolę ci spojrzeć w przyszłość.

— Nie mogłabyś mi powiedzieć chociaż trochę?

— Może — uśmiechnęła się Cyganka. — Jak nazywa się twój braciszek?

— Gerd.

— No dobrze: Gerd jest teraz twoim bratem, ale kiedyś zostanie twoim mężem.

Magda klasnęła radośnie w dłonie.

— To wspaniale! Nikogo innego nie chciałabym mieć za męża.

— Ale on nie ma chyba tylko samego imienia, lecz musi mieć także jakieś nazwisko! Czy jego ojciec jeszcze żyje?

Magda odpowiedziała zamiast chłopca:

— Tak, teraz mogłabyś pokazać, że wiesz więcej od innych ludzi. Gerd nigdy nie widział swojego ojca. On był sternikiem i wypłynął na swoim statku w daleki świat, ale nigdy nie powrócił. Dlatego jego mama musiała poślubić niedobrego człowieka, ojczyma Gerda, który był zawsze pijany, a teraz siedzi w więzieniu. Jego prawdziwy ojciec nazywał się Schubert.

— Był sternikiem i nazywał się Schubert? — spytała Cyganka z zastanowieniem. — Może Baldwin Schubert?

— Tak. Baldwin! — zawołał szybko Gerd. — O rany, znasz jego nazwisko?

— Co jeszcze wiesz o nim?

— Nic, poza tym, że miał brata Tomasza, który był czeladnikiem w kuźni dworskiej. To mi opowiadała mama.

— Udowodnię wam, że wiem więcej od innych. Opowiem twojej mamie o twoim ojcu, którego znam. Jest teraz starszym sternikiem na sławnym okręcie wojennym „Tygrys”. Mam brata, który na tym samym okręcie jest starszym bosmanem.

— Och, co za szczęście! Ale mama się ucieszy! Jedźmy szybciej!

— Cyganie są naprawdę od nas mądrzejsi — powiedziała zamyślona Magda. — A jak ty się właściwie nazywasz? Chyba musisz mieć jakieś imię.

— Nazywam się Lilga.

— Lilga! — zawołała zdumiona dziewczynka. — Papa opowiadał nam dużo o królowej Cyganów, która tak się nazywa. Ona jest przyjaciółką naszego księcia Maxa. Musi posiadać wielką władzę. Czy ty może jesteś tą Lilgą?

— Tak, to ja.

— Naprawdę? Och, jak dobrze, że zaprosiliśmy ciebie do nas. I jaka szkoda, że papy nie ma w domu! Ale i tak będziesz przyjęta, jakby on tam był.

— Tak, moja mama jest ochmistrzynią na zamku Helbigsdorf, — powiedział przemądrzale Gerd — więc możesz być pewna, że zostaniesz dobrze przyjęta.

Po krótkim czasie dotarli do dużej wsi, na której końcu ukazały się okazałe budynki dworskie. Podczas gdy kroczyli między schludnie wyglądającymi domami, ich mieszkańcy spoglądali na nich ze zdziwieniem. Stara amazonka wydawała im się co najmniej dziwna.

Przy bramie przywitał ich zarządca, aby wziąć im konie. Nieufnie i ze zdziwieniem spojrzął na obcą.

— A cóż to za towarzystwo? Cyganka! Niech tylko pan się dowie!

— Dlaczego? — spytała Magda.

— Ponieważ nie jest to żadne towarzystwo dla wielmożnej panienki.

Mała dziesięcioletnia córka majora spojrzała na niego gniewnie.

— Jakie towarzystwo jest dla mnie odpowiednie, sama wiem, panie zarządcu! Proszę odprowadzić konie do stajni! Chodź, Lilga!

Wzięła cygankę za rękę i zaprowadziła ją do budynku. Gerd poszedł za nimi. Zarządca patrzył za nimi przerażony.

— Lilga? Do diabła, ale palnąłem głupstwo! To jest więc ta sławna *vajdzina* wszystkich Cyganów z Norlandii i Süderlandii! Ale kto mógł przypuszczać! Obraca się w towarzystwie hrabiów i książąt, a tu przychodzi boso i w łachmanach. Jak najszybciej muszę naprawić swój błąd.

W tym samym czasie w innej części wsi pojawił się pewien mężczyzna, który wstąpił do zajazdu i zamówił kufel piwa.

— To prawda, że ta miejscowość to Helpigsdorf? — spytał.

— Tak — odpowiedział gospodarz.

— A właściciel tego zamku na górze to pan major Helpig?

— Tak.

— Nie ma go w domu?

— Nie, wyjechał.

— Ale te jego trzy damy są?

— Też ich nie ma. Są z wizytą w sąsiedztwie.

— Aha. A kogo wobec tego można zastać?

— Zarządcę i nową ochmistrzynię.

— Ochmistrzynię? A co to za madame? Jak się nazywa?

— Hartmann.

— Hartmann? Hm. Pewnie od niedawna jest w Helpigsdorf?

— Krótko. Pan major sprowadził ją z synem z kąpieliska morskiego, gdzie ich poznał.

— Z kąpieliska morskiego? No to zgadza się. Więc dobrze trafiłem.

Zapłacił za piwo i poszedł na zamek.

Słońce zachodziło. Pożłacało szczyty, blanki oraz okna zamku i rzucało już półcień na znajdujący się naprzeciwko skraj lasu. Stało tam trzech mężczyzn i obserwowało okolicę.

— Zgodnie z drogowskazem musi to być Helbigsdorf, posiadłość majora Helbiga. W lesie spać nie będę. Niestety Helbig mnie zna. Musimy jechać dalej, ale jaki kierunek obrać?

Mówiący to wyglądał na osobę narzucającą ton całej trójce. Drugi, bardzo gruby mężczyzna stwierdził:

— Ja też nie mam ochoty nocować w lesie i ewentualnie nabawić się reumatyzmu. I nie mam też ochoty iść dalej. Jestem padnięty.

— Ja też — przytaknął trzeci. — Te leśne drogi są nadzwyczaj wyczerpujące.

— Hm, — odezwał się pierwszy — Helbig często załatwia interesy w Fürstenberg. Dlaczego akurat dzisiaj miałby być w domu? Gdybym wiedział, że go tu nie ma, to zdecydowałbym się na pozostanie w zamku. Gospoda jest dla mnie niezbyt bezpieczna.

— Zaraz się dowiemy. Tam idzie wężozem w górę listonosz. Ci ludzie wiedzą zazwyczaj wszystko. Z pewnością był na zaniku.

— Idzie w naszą stronę. Proszę się cofnąć, aby panów nie zauważył!

Dwaj pozostali schowali się za krzakami, a on wszedł najpierw do lasu, a potem zawrócił. Udało mu się wejść akurat na listonosza, który go uprzejmie pozdrowił.

— Dobry wieczór! — odpowiedział. — Czy to jest zamek Helbigsdorf?

— Tak.

— I należy do majora Helbiga?

— Tak jest.

— Nie wie pan, czy on jest na zamku?

— Wyjechał do stolicy.

— A są tutaj jego siostry?

— Właściwie tak. Ale także wyjechały, wrócą jutro.

— To kogo można tam zastać?

— Zarządcę i ochmistrzynię, jeżeli nie liczyć tej małej dziesięcioletniej panienki.

— Dziękuję panu.

Listonosz poszedł dalej swoją drogą, ciekawski natomiast odszukał swoich towarzyszy.

Ci trzech mężczyźni byli zbiegłymi więźniami, których wygląd jednakże bardzo się zmienił. Byli ubrani jak turyści i każdy miał przewieszone przez ramię pudełko do zbierania roślin.

— No to mamy pewność — stwierdził Natter. — Majora nie ma, jego sióstr również. Z przyjemnością tu przenocuję, a potem napiszę majorowi, że skorzystałem z jego gościnności podczas mojej ucieczki. Ale się będzie złościł! Panowie, idziemy, obejdziemy wieś! Jesteśmy przyrodnikami, którzy zabłądzili w czasie wycieczki. Nie zwrócimy na siebie uwagi, jeśli pójdziemy przez pola.

Poszli na zamek, którego okna były już pogrążone w półmroku. Na zamku ochmistrzyni przyjęła Cygankę bardzo serdecznie. Dzieci od razu musiały podzielić się nowinami

— Moja dobra pani Hartmann, czy pani wie, kogo jej przyprowadziliśmy? — spytała Magda.

— No?

— To jest sławna Lilga, o której papa nam tak dużo opowiadał. Ona umie wróżyć i wie wszystko. Właśnie przepowiedziała mi, że Gerd będzie moim mężem. A teraz najważniejsza wiadomość dla pani: Lilga zna pani narzeczonego i wie, gdzie on przebywa.

— Mojego narzeczonego? Nie mam narzeczonego. Kogo masz na myśli, moje dziecko?

— Ojca Gerda.

— Czy to możliwe? Nie, on nie żyje. Gdyby było inaczej, byłby wrócił.

— Wręcz przeciwnie, on żyje! Prawda, Lilgo?

— Tak, żyje, rozmawiałam z nim.

Ochmistrzyni aż zaniemówiła z radosnego przerażenia.

— Boże, żeby to była prawda! Szybko, proszę mówić!

— Ale najpierw proszę mi powiedzieć wszystko, co pani o nim wie! — poprosiła Cyganka.

— Nazywał się Baldwin Schubert i był sternikiem na statku handlowym, gdy go poznałam. Z krewnych miał tylko brata, Tomasza, o którym mi opowiadał, że uczy się zawodu u dworskiego kowala Brandauera w Fiirstenberg. Potem Baldwin wypłynął w morze i nie dał znaku życia. Albo wrócił i mnie nie odnalazł; przecież zmuszono mnie do poślubienia innego i musiałam opuścić z nim rodzinne strony.

— Nie zwróciła się pani nigdy do jego brata?

— Raz chciałam napisać, chociaż nie byłam pewna, czy uczy się jeszcze u Brandauera, ale mój mąż mnie nakrył i przeczytał list. Potraktował mnie w taki sposób, że nie odważyłam się już nigdy napisać listu. Myślał, że straci Gerda, który nas żywił. A więc Baldwin żyje?

— Tak, jest teraz starszym sternikiem na „Tygrysie”, którym dowodzi obecny dowódca eskadry Artur von Falkenau. Jest bardziej jego przyjacielem, niż dowódcą. Zapewniam panią, że nie ma źle.

— Gdzie pani z nim rozmawiała?

— Tam wysoko w górach, podczas ostatniej wojny. A któż to idzie przez podwórze?

Podeszły do okna i zobaczyły mężczyznę, który zasięgał informacji w gospodzie. Przez twarz Cyganki przebiegł cichy uśmiech. Musiała go poznać. Ochmistrzyni zauważyła to i spytała:

— Co to za jeden?

— Zaraz się pani sama przekona. Ja się tymczasem schowam.

Weszła za komin. Ledwo zdążyła się ukryć, otworzyły się drzwi. Przybysz uklonił się i zwrócił do ochmistrzyni.

— Proszę wypaczyć, droga pani! Czy pani Hartmann?

— Tak.

— No to pani jest tą kopietą, z którą chcę mówić. Jestem karczmarz i mistrz kowalski Schupert z Fürstenperg.

— Schubert? O rety! Co dopiero rozmawialiśmy o panu. Serdecznie witam!

— Cieszę się pardzo! Jak pani co dopiero o mnie rozmawiała, to musi mnie pani trochę znać.

— Och tak, znam pana nazwisko od przeszło piętnastu lat.

— Chypa mojego prata Paldwina?

— Tak. Proszę niech pan siada!

— Doprze, usiądę, po pędziemy mieli zapewne dużo do omówienia.

— Czy mogę spytać, jak pan mnie tutaj odnalazł?

— Przez pana majora Helpiga. Opowiem pani. Kował dworski, Prandauer, mój dawny majster, zrezygnował z pracy i hrapia chce mnie uczynić kowalem dworskim. Opaj czeladnicy, mianowicie Henryk i Kazimierz, pędą u mnie pracować, chociaż im sprzątnąłem sprzed nosa naszą karczmarkę i handlarke ziemniakami, Parparę Seidenmüller, która teraz jest moją żoną. Wszyscy wysoko postawieni panowie, którzy zlecali pracę majstrowi, przychodzą teraz do mnie. Także major Helpig zjawił się wczoraj z księciem Maksem. Rozmawialiśmy o pani i moim pracie. Dowiedziałem się, że stary druh ma syna i natychmiast wyprałem się na poszukiwanie pani i jego. Mogę zopaczyć chłopca?

— To on!

— Ten? Ojej, co za wspaniały chłopak! Chłopcze, jestem twoim stryjem, a ty jesteś moim pratankiem! Chcesz zostać kowalem? Pędziesz u mnie terminował i pędzie ci u mnie pardzo doprze!

— To niemożliwe, stryjku, ponieważ zostanę oficerem marynarki.

— Co? Oficerem marynarki? Chcesz diapelnie wysoko zajść. No, nie mam nic przeciwko temu, chociaż muszę ci powiedzieć, że po oficerze nie ma lepszego zajęcia, jak pyć kowalem. To się dopiero moja Parpara ucieszy, jak się dowie, że ma takiego ładnego pratanka! Chłopcze, musisz ze mną pojechać do stolicy, żepy cię stryjenka zopaczyła.

— Pojadę, mam przecież wakacje, ponieważ nasz nauczyciel wyjechał; prawda, mam?

— Nie wiem, czy pan major pozwoli.

— On? Naturalnie, że pozwoli; to rozumie się samo przez się!

— Tak, papa się zgodzi — potwierdziła Magda. — Jadę z wami.

— Ty? Coś ty za jedna, mała panienko?

— Jestem córką majora.

— Majora? Ho, ho, ale jesteś elegancką panią! No, to połączcie mile Parparę, jak taka księżniczka przyjedzie. Zpierajcie się dzieci; jak się pospieszymy, pojedziemy nocnym pociągiem.

— Nie; nie tak szybko — zaśmiała się ochmistrzyni. — Dzisiaj zostaje pan u nas. Dzieci pobawią się teraz w parku. A pan tymczasem opowie mi coś o bracie.

— O Paldwinie? Nie mogę dużo opowiedzieć, gdyż w ciągu ostatnich lat nie miałem od niego dużo wiadomości.

— Ale teraz wie pan coś na jego temat.

— Oczywiście. Opowiadał mi o pani. Ale nie wie, że ma syna. Bardzo panią kochał i do dziś pani nie zapomniał. Statek handlowy, na którym wtedy pracował, rozpił się na Południowym Pacyfiku. Paldwin łowił potem przez trzy lata wielorypy. Nie mógł więc wrócić. A jak wrócił, dowiedział się, że pani zrezygnowała ze swojej pracy i wyjechała.

— Zmuszono mnie do małżeństwa i opuściłam strony rodzinne.

— Tego mu nie powiedzieli. Natychmiast wyjechał znów w morze i do niedawna przepływał na opczyźnie. Teraz znowu go nie ma, pracuje na sławnym „Tygrysie”, który kiedyś był statkiem pirackim, a teraz jest podopno najlepszym okrętem na wszystkich morzach.

— Kiedy wraca?

— Tego nie wiem, gdyż jeszcze nic nie pisał. Ale jak przyjdzie od niego list, pędę wiedzieć, na jaki adres kierować do niego pocztę. Opiecał odwiedzić mnie natychmiast po powrocie. Przyjedzie ze swoim przyjacielem, starszym bosmanem Karavey'em. Niech pani zgadnie, kto to jest!

— Brat Lilgi, królowej Cyganów.

— Więc pani to wie? Zna pani tę diapelską Lilgę?

— Tak.

— Gdzie pani ją poznała?

— Tutaj. Była kiedyś na zamku Helbigsdorf.

— Czego chciała?

— Chciała mi powiedzieć, że pana brat żyje.

— Ach! Ona wie wszystko! Spodobała się pani?

— Bardzo, bardzo!

— Mnie też. Najpierw wziąłem ją za starą czarownicę, która zapisała swoją duszę diablę. Dopiero potem zrozumiałem, że jest pracowitą kocietą, którą trzeba szanować. Ciekaw jestem, czy jeszcze kiedyś ją zopaczę.

— Nawet natychmiast! — odezwał się głos zza komina. Tomasz odwrócił się i zobaczył kobietę, o której właśnie mówił.

— To ona, naprawdę, w całej okazałości! Ta niedopra kocieta schowała się, żeby mnie podsłuchiwać. Skąd się tu wzięłaś, Lilgo?

— Przychodzę z różnych stron.

— Dostałaś list od twego brata Karaveya?

— Nie. „Tygrys” popłynął prawdopodobnie do Ameryki. Dlatego nie było jeszcze od niego wiadomości.

— Jego list nie dotrze do ciebie, po ty stale podróżujesz.

— Ktoś czuwa nad tym, abym całą przeznaczoną dla mnie pocztę, otrzymała.

— Zostaniesz tu dzisiaj?

— Tak.

— To dobrze! Możemy sobie wygodnie usiąść i poopowiadać, co nam leży na sercu. Droga pani Hartmann, oto mój kapelusz i parasol. Proszę te rzeczy przechować!

— Nie zostaniemy tutaj, pójdziemy na górę do mojego pokoju — powiedziała ochmistrzyni.
— Zjemy tam kolację, a później wskażę państwu pokoje.

Udali się do bocznego skrzydła zamku, gdzie pani Hartmann miała swoje mieszkanie. Ledwo rozgościli się, pojawił się zarządca.

— Pani Hartmann, proszę szybko zejść na dół! Są goście do pana majora. Trzech eleganckich panów, którzy są w podróży i chcieliby rozmawiać z panem majorem.

Poprowadził ochmistrzynię do salonu, gdzie czekał już Ambroży Natter i jego dwaj kompani.

— Do usług! Z kim mam zaszczyt?

— Nazywam się Hellmann. Jestem podpułkownikiem huzarów i przyjacielem majora Helbiga. Ci panowie są moimi krewnymi, ten tutaj, to pan prezydent, a ten radca kancelarii von Hellmann. Jesteśmy na wycieczce w tej okolicy i postanowiliśmy odwiedzić naszego przyjaciela. Ale jak usłyszeliśmy, jest nieobecny?

— Przebywa w stolicy.

— A trzy szanowne siostry?

Ochmistrzyni odpowiadała tak krótko, gdyż ci trzej panowie mieli w sobie coś, co się jej nie spodobało; ale co to takiego było, nie potrafiłaby wytłumaczyć. Czuła jednak, że nie może im ufać.

— To rzeczywiście niemile. — kontynuował Natter — Czy zechce nas pani polecić państwu po ich powrocie?

— Z pewnością! Będzie im na pewno bardzo przykro, że nie było im dane przyjąć panów.

— Ale zanim odejdziemy, proszę nam udzielić informacji! Jest już późno, a my jesteśmy zbyt zmęczeni, aby kontynuować naszą pieszą wędrówkę. Czy jest tu we wsi jakaś gospoda, gdzie znajdziemy to, do czego przywykliśmy?

Ochmistrzyni poczuła się zmuszona do przejęcia swoich obowiązków.

— Jest tu wprawdzie gospoda, jednak nie znajdą panowie w niej wygod, do jakich przywykli. Lecz moim obowiązkiem, zamiast pana majora, jest zwrócenie panów uwagi na to, że nasze pokoje stoją do panów dyspozycji. Nie wspomniałam o tym do tej pory, gdyż sądziłam, że panowie mają tu w pobliżu swój pojazd i wytyczyli sobie dalszy cel podróży. Czy mogę się spodziewać, że panowie nic odrzucą mojej prośby?

— Dobrze, przyjmujemy. Ale chciałbym wyraźnie zaznaczyć, że nie mamy żadnych wymagań. Jesteśmy na wędrówce. Jakaś mała kolacyjka, proste łóżko do wypoczynku, to wszystko, o co panią prosimy.

— Dostosuję się do panów wymagań. Czy zostaną panowie jeszcze tutaj, czy mam niezwłocznie wskazać im pokoje?

— Zostaniemy chwilę.

— Pozwolą panowie, że polecę ich panu zarządcy. Będzie to dla niego zaszczyt, móc panom służyć.

Wydała w kuchni polecenie i wróciła do Tomasza i Lilgi. Dzieci przybiegły w tej chwili z parku, Magda spytała z zaciekawieniem:

— Widzieliśmy gości w ogrodzie. Kto to jest?

— Dobrzy znajomi pana majora, którzy chcieli się z nim przywitać, przenocują tutaj. Młodszy z nich to podpułkownik von Hellmann. Dwaj pozostali, to jego krewni.

— Von Hellmann? — krzyknęła zdziwiona Magda. — Nie. Ten pan musi się inaczej nazywać. Pana von Hellmanna znam dobrze. Jest niskim, szczupłym mężczyzną z brodą i wąsami.

— Mylisz się, moje dziecko. Przyjrzyj mu się jeszcze raz dokładnie! Właśnie idą przez podwórze.

— Widzę przecież, to nie jest podpułkownik von Hellmann. Tomasz także wstał i podszedł do okna. Przerazony odskoczył kilka kroków w tył.

— Do stu piorunów! Nie, to nie jest Hellmann. To jest... hm! Lilga, podejdź do okna i przyjrzyj się dokładnie temu siwemu facetowi, który zagląda właśnie do stajni!

Lilga spełniła jego żądanie.

— Natter! — przeraziła się.

— Tak, Natter, w którego schwytaniu brałem udział.

— Mój Boże, czy to możliwe? — krzyknęła przerażona ochmistrzyni.

— To on, droga pani Hartmann, i ci dwaj wagapundzi. Są ścigani i dlatego nie chcą przepływać w gospodzie. Dlatego przyszli do pani.

— Co robimy?

— Spełnimy nasz obowiązek. Złapiemy ich. Czy przydzieliła pani już tym hultajom ich sypialnie?

— Jeszcze nie. Zrobię to wtedy, gdy zjedzą.

— Doprze. Ale proszę to tak zorganizować, aby nie mogli przyjść sobie z pomocą.

— Wybiorę pokoje bardzo od siebie oddalone.

— Doprze. A jak już tam pędą, to zapawię się w paropka lub kelnera i przy tej sposobności schwytam ich.

Magda przeraziła się tym, co usłyszała. Pełna lęku ukryła się w kącie pokoju. Gerd przysłuchiwał się dokładnie i wymknął drzwiami do swego pokoiku. Tam znajdowały się jego dwa pistolety, z których uczył się strzelać. Naładował je i ukrył przy sobie. Potem zszedł na podwórze. Na schodach spotkał zarządcę i obu byłych psychiatrów. Natter został w tyle, aby popatrzeć na stajnię. Gerd podszedł do niego.

— Jak się panu podobają nasze kucyki? — spytał szczerze.

— Są wspaniałe, chłopcze — odpowiedział Natter.

— A ten kary ogier?

— To bardzo szlachetny koń.

— Tak, do jego pielęgnacji przywiązujemy najwyższą wagę. Czy Pan jest również przyjacielem psów, panie pułkowniku?

— Oczywiście!

— Czy zarządca pokazał panu już naszą psiarnię?

— Nie.

— O, musi ją pan zobaczyć. Proszę! Pozwoli pan ze mną?

— Chętnie.

Gerd zaprowadził go pod drzwi, za którymi słychać było radosne skomlenie.

— No, spokój tam. Wchodzę.

Otworzył i natychmiast został otoczony sforą psów, z których każdy był wzorem swojej rasy. Natter wszedł w głąb psiarni.

— Proszę nie podchodzić za daleko do tyłu, panie pułkowniku! To niebezpieczne. Tam z tyłu leży jeden tak niebezpieczny, jak tygrys.

— Ach, wilczur!

— W tym nie byłoby nic nadzwyczajnego, ale to syberyjski wilczur. Ma pan ochotę obejrzeć go dokładnie?

— Jeżeli nie jest to niebezpieczne.

— To proszę odsunąć się na bok!

Gerd podszedł do najbardziej oddalonego kąta.

— Wjuga, wstań!

Na to wezwanie podniosło się potężne stworzenie z białymi kudłami, które bardziej przypominało niedźwiedzia polarnego, niż psa. Gerd spuścił go z łańcucha i przyprowadził pod drzwi. Natter stał wewnątrz.

— Widzi pan, panie pułkowniku, te kły? Walka z nim jest niemożliwa. Nie muszę się odzywać, lecz tylko cmoknąć językiem i wskazać na pana, i już pan będzie leżał na podłodze. A jeżeli pan chce uratować swoje życie, to nie śmie się pan poruszyć, może pan tylko cicho mówić. Jedno zbyt głośne słowo i on pana rozszarpie.

— Spodziewam się tego po nim.

— Zaraz panu pokażę. Proszę uważać, teraz cmoknę językiem! Widzi pan, już stoi przed panem, ponieważ jest pan jedyną osobą, do której ten znak może się odnosić. Jak podniosę palec, to będzie pan zaraz leżał na ziemi. Mam to zrobić?

— Wypraszam sobie — odpowiedział Natter. Zachowanie chłopca wydawało mu się niesamowite.

— A jednak to zrobię, jak pan od tej chwili zacznie mówić głośniejsze, niż sobie tego życzę!

— Dlaczego? Rozkazuję przerwanie tego niebezpiecznego żartu!

— To nie żart. Mówię poważnie. Jeszcze raz pana zapewniam, że przy pierwszym zbyt głośnym słowie zostanie pan rozszarpany.

— Ale dlaczegoż to?

— Ponieważ tam pana poślę, gdzie pana miejsce. Z powrotem do więzienia, panie... Natter!

— Do wszystkich dia...!

To słowo utknęło mu w gardle. Jego ton był bardzo gniewny, a pies wyszczerzył natychmiast swe straszne zęby i zrobił minę, jakby się chciał na niego rzucić.

— Widzi pan, Wjuga nie ma ochoty na żarty. Jest pan naszym więźniem. Zamknę pana teraz i zostawię pod opieką psów. Kiedy wrócę to będzie pan stał, tak jak teraz, albo pana ciało będzie leżało w kawałkach tu na ziemi.

— Człowieku, chłopcze, tyś zwariował, oszalałeś!

Gerd nie odpowiedział. Wyszedł z psiarni i poszedł do salonu, gdzie zastał pozostałych dwóch uciekinierów i zarządcę.

— Panowie, mama prosi panów do siebie.

— Kto to jest?

— Pani ochmistrzyni — objaśnił zarządca.

— Dobrze, chłopcze, prowadź nas do niej!

— Panowie pozwolą! Pan zarządca pójdzie za nami.

Poszedł przodem do pokoju matki i najpierw wpuścił tych dwóch. Potem wszedł zarządca, wtedy Gerd zamknął za sobą drzwi.

Zaskoczenie dwóch mężczyzn było nie do opisania. Poznali Lilgę i chcieli się wycofać. Ale Gerd stał z nabitym pistoletem. Błyskał na nich swoimi czarnymi oczami i powiedział:

— Panowie, jeżeli się tylko poruszycie, strzelam. Stryju, zwiąż ich.

Gruby dyrektor spociał się nagle z ogromnego przerażenia.

— Ależ, drodzy państwo, czego wy chcecie? To jakaś pomyłka!

— Nie — powiedziała Lilga. — To nie pomyłka. Jesteście zbiegłymi przestępcami, poszukiwanymi w całym kraju. Siedziałam w waszej jaskini, gdzie chcieliście ze mnie zrobić obłąkaną. Znam was dokładnie. Nie próbujcie stawiać oporu, to i tak na próżno.

— Ależ zapewniam, że to pomyłka. Nasz kuzyn, podpułkownik, to potwierdzi.

— Panów kuzyn, pan Natter, jest już moim więźniem.

— Co? — zawołał Tomasz — Gdzie?

— W psiarni.

— Może uciec.

— Wykluczone. Wjuga rozszarpie go na kawałki.

— Dopra. A więc wyciągać ręce, kochani hultaje! Teraz tak was zwiążę, że pędzicie ze mnie zadowoleni.

Wiedzieli, że muszą poddać się losowi. Niedawno przed rozpoczęciem ucieczki obydwaj oświadczyli, że woleliby umrzeć, niż dać się złapać. Jednak ani nie umarli, ani się nie bronili.

Obu złoczyńców skrupowano i odstawiono do aresztu. Potem udali się do psiarni. Gdy ją otwarli, Natter stał w niezmienionej pozycji. Gdy zobaczył Tomasza i Lilgę zbladł. Pamiętał ich dobrze od czasu rozprawy sądowej, która zaprowadziła go do więzienia.

— O, dzień dopry, panie pułkowniku! — przywitał go kowal. — Spotykamy się tym razem na letnisku. Jak panu służy świeże powietrze?

Natter nic odezwał się ani słowem.

— On nas rozpoznał, a nic nie mówi, gdyż wie, że na nic jego opór. Gerd, czy pies mi nic nie zropi?

— Nie. Zwiąż tego człowieka!

Nattera związano i doprowadzono do pozostałych, zamkniętych w podziemiach. Byli tak związani, że ucieczka była niemożliwa. Potem przewieziono do więzienia Hochberg. A ci, którzy przyczynili się do ich ujęcia, przede wszystkim Gerd, zebrali pochwały. O kolejnej próbie ucieczki nigdy już nie słyszano. Pewnego ranka znaleziono zwłoki dyrektora szpitala psychiatrycznego. Powiesił się, a ordynator Schramm umarł wkrótce potem. O Natterze przebąkiwano, że nie pozostał długo w więzieniu Hochberg. Ktoś wysoko postawiony prosił o jego wydanie i tak się stało. Nikt nie wiedział, na jakie więzienie zamienił Hochberg. W pewnych kręgach jeszcze jakiś czas o nim mówiono, potem inne wydarzenia zatarty pamięć o nim. Jego nazwiska już nikt nie wymieniał.

DZIWNE ZNALEZISKO

Dziesięć lat upłynęło od wydarzeń opisanych w poprzednich rozdziałach.

Na południe od Nikobarów, mniej więcej na piątym stopniu szerokości północnej, wiosłowali łódką dwaj mężczyźni w kierunku wybrzeża Sumatry. Była to jedna z tych dżubanek, jakich używa się na Adamanach. Pasażerowie byli ubrani tylko w koszulę, sięgającą do kostek. Szyja i ramiona, opalone na ciemny brąz, pozostawały nieosłonięte. Starszy miał zdecydowanie malajskie rysy, podczas gdy rysy twarzy młodszego, szczupłego, ale muskularnego mężczyzny wskazywały na europejskie pochodzenie. Jednak trudno byłoby określić, z jakiego kraju pochodził.

Sprawiali wrażenie osób, mających za sobą straszne przejścia. Młodszy siedział i widać było, że z trudem otwiera oczy, a starszy posługiwał się wiosłem w ten sposób, żeby dżubanka bardzo wolno płynęła pod wiatr, wiejący z południa.

Łódka nie miała żagla, co tutaj, tak daleko od lądu, rzucało się w oczy. Ale była dobrze zaopatrzona w prowiant, ponieważ pod tylną ławką znajdowało się dużo dyń, owoców drzewa chlebowego i orzechów kokosowych, które na Adamanach występują w nadmiarze.

Bez słowa siedzieli obaj godzinami obok siebie, co można było przypisać ich przemęczeniu. Ale teraz wiosłarz przestał wiosłować, zaklął i zwrócił się do swego kolegi przy sterze.

— Na Wisznu i jego małżonkę Lakszmi, jak długo jeszcze będziesz ze mnie robić wariata? Jestem zmęczony tą piekielną harówką.

Zapytany otworzył na wpół przymknięte powieki i spojrzał pogardliwie.

— Jeżeli wolność mniej dla ciebie znaczy, niż ta odrobina wiosłowania, to powinieneś zostać raczej na Wyspie Żmij. Nie zmuszałem cię, abyś ze mną poszedł.

Malaja o mało co nie skrzyknęło przy tych ostro wypowiedzianych słowach.

— Niepotrzebnie płyniemy w tym kierunku. Gdybyśmy byli obrali najkrótszą drogę, byłibyśmy już dawno bezpieczni.

— Jesteś idiotą! Czy muszę ci po raz setny klarować, że już by nas dawno złapali, gdybyśmy wzięli kurs na wybrzeże Birmy? Przecież wiesz, że jesteśmy ścigani i z pewnością przypuszczają, że płyniemy na Wschód. Dlatego tam nas szukają. A tak daleko na południu nikt nas nie będzie szukał.

— Sahibie, może masz rację. Ale moglibyśmy przynajmniej zawinąć na Nikobary, aby wypocząć i nabrać nowych sił.

Ten drugi zaśmiał się szyderczo.

— Tak, i tubylcy odesłaliby nas najbliższym statkiem, jaki na wyspy zawinie, z powrotem do więzienia, aby zasłużyć na nagrodę, przeznaczoną za ponowne ujęcie więźniów! Pociesz się! Jeszcze tylko jeden dzień, i cały wysiłek się skończy, jeśli nie złapie nas sztorm. Ale tego nie musimy się obawiać. Przez osiem dni mieliśmy szczęście, a trochę wiatru dzisiaj nie możemy uważać za tragedię.

— Trochę wiatru, sahibie? Dobrze ci mówić. Żebyś to ty wiosłował! Przy każdym uderzeniu czuję, jakby mi się wszystkie mięśnie zrywały.

Twarz mężczyzny nazywanego sahibem poczerwieniała ze złości, popatrzył brzydko na rozmówcę.

— Czy może mniej musiałem się męczyć od ciebie, durniu? I znowu spędzę dzisiaj całą noc przy sterze, podczas gdy ty możesz zapaść w sen! Nie gadaj głupstw, lecz zabieraj się do wiosłowania, żebyśmy się posuwali naprzód!

Malaj posłuchał bez słowa sprzeciwu i wziął wiosła do ręki. Ta chwila odpoczynku wzmocniła go, łódź cięła fale lekko i szybko.

Między tymi dwoma mężczyznami wytworzył się w tych ostatnich dniach w trakcie ucieczki dziwny układ. Latami znosili razem los więzienny na Wyspie Żmij, gdzie umieszcza się najbardziej niebezpiecznych złoczyńców Anglii. Jeden nie był w niczym lepszy od drugiego. Nie byli niczym innym, jak tylko numerami, pod którymi widnieli na liście przestępców. Ale odkąd trwała ich wyprawa, zmienił się stosunek równości. Malaj odczuwał umyślową przewagę swego towarzysza, był pod jego wrażeniem. To przyszło samo z siebie, że nazwał go sahib i chętnie stosował się do jego zaleceń. Jego dzika krew buntowała się czasem przeciw poleceniom towarzysza, ale w końcu zawsze robił to, czego chciał ten drugi.

Jakiś czas panowało milczenie, przerywane tylko szumem wody, która rozbijała się o dziób. Malaj spoglądał od czasu do czasu na swoje *vis à vis*, który w półśnie sterował dłubanką.

— Sahibie, jesteśmy już długo razem, a nie powiedziałeś mi, kim ty jesteś. Mógłbyś mieć przecież do mnie zaufanie.

Ten drugi zmarszczył brwi.

— Ufam ci, ale nie ma sensu mówienie o mojej przeszłości.

— Ale mógłbyś mi przynajmniej opowiedzieć, jak dostałeś się w ręce Anglików. Oni się tak zachowują, jakby chcieli rządzić całym światem.

Tamten zaśmiał się.

— Jak wpadłem w ich ręce? W głupi sposób. Znasz Norlandię? Nie? To i tak bez znaczenia. Naruszyłem przepisy tego kraju. Jak, to cię nie musi interesować i dostałem się za kratki. Próbowałem uciec, jeszcze z dwoma więźniami; były lepsze warunki niż teraz, ale na skutek

naszej nieostrożności wpadliśmy w sidła policji. Byliśmy już blisko granicy i sądziliśmy, że jesteśmy już całkowicie bezpieczni, a zostaliśmy wystawieni do wiatru przez małego czternastoletniego chłopca. Jeszcze dzisiaj chętnie bym się za to spoliczkował.

Malaj wybałuszył oczy.

— Przez małego chłopca? Ty?

— Tak, przez małego chłopca — zaśmiał się wściekły. — Od tej pory wzięli nas w jeszcze miłszą opiekę, tak że druga próba ucieczki była już niemożliwa.

— A jak się znalazłeś na Wyspie Żmij?

— W bardzo prosty sposób. Anglicy, którzy od dawna chcieli się ze mną rozprawić, zażądali mego wydania, a Norlandczycy byli tak mili i zgodzili się. Niech ich diabli wezmą! No i Anglicy wysłali mnie szybko na Wyspę Żmij, aby uwolnić świat od parszywego członka ludzkiej społeczności. Na szczęście dla mnie i dla ciebie ich zamiar spełnił się tylko częściowo i figlarz uciekł im przez tylne drzwiczki. To wszystko. Więcej nie musisz wiedzieć. Zostawmy przeszłość w spokoju! Teraźniejszość i najbliższa przyszłość pochłoną nam sporo czasu.

Zamilkł i ponuro spoglądał w dal. Zatrzymał wzrok w pewnym punkcie horyzontu. Przysłonił oczy ręką i wyteżył wzrok. Potem zwrócił się do swego kolegi.

— Tam na południu musi coś być, łódź, albo coś podobnego. Masz bystrzejsze ode mnie oczy. Popatrz tam i powiedz mi, co myślisz. Właśnie teraz, tak daleko od najbliższego wybrzeża, chciałbym uniknąć tego spotkania.

Malaj odłożył wiosła i odwrócił się. Przez krótką chwilę obserwował wspomniany przedmiot, potem stwierdził beztrąsko:

— Łódka i chyba pusta.

— Pusta łódka na środku morza? Niemożliwe!

— Dlaczego, sahibie? Mogła się przecież gdzieś na wybrzeżu zerwać z kotwicy. Przy ciągłym wietrze i spokojnym morzu mogła pokonać znaczne odległości.

— Hm, południowy wiatr, wiejący od wielu dni, nie pasuje do tych kalkulacji. Statek, który zerwał się u wybrzeża Sumatry, mógłby tylko z południowym wiatrem dopłynąć na tę szerokość.

— Skąd więc mogła tu przyplłynąć?

— Nie wiem. Może pochodzi ze statku osiadłego na mieliźnie albo zatopionego. Ale nie sprzecajmy się. Jeśli utrzymamy nasz obecny kurs, dopłyniemy i tak w jego pobliżu i zbadamy sprawę.

Popłynęli dalej i wspomniany przedmiot był coraz lepiej widoczny. Na jego rufie powiewał strzęp, mający kształt bezanżagla, przymocowany do kija i wydymający się na wietrze. Nie

można było zauważyć żywej duszy. Sprawiała wrażenie łodzi ratunkowej, której załoga zatonała, pchanej teraz bez celu przez wiatr. Lecz gdy uciekinierzy podpłynęli bliżej do samotnej łodzi, spostrzegli że nie może to być łódź ratunkowa. Jej ściana nie była pomalowana farbą olejną, lecz wybejcowana jakimś nieznanym im materiałem, a fugi były uszczelnione prawdopodobnie smołą.

Ciekawość sięgnęła szczytu, gdy dotarli do dryfującej łodzi. Skręcili, aby przybić wzdłuż jej boku. Jeszcze kilka uderzeń wiosłem i już byli z przedmiotem swoich zainteresowań burta przy burcie. Jak na zawołanie podnieśli się obaj do połowy i pochyłili w jej stronę, ale cofnęli z okrzykiem zaskoczenia.

W łodzi leżał wyciągnięty mężczyzna, odwrócony twarzą do góry, który według wszelkiego prawdopodobieństwa zmarł nie tak dawno, gdyż nie poczuli najokrutniejszego odoru rozpadającego się ciała. Mógł mieć czterdzieści pięć lat. Był strasznie wychudzony; jego naprężona, jakby wyprawiona skóra, otaczała kości twarzy, przypominającej w okropny sposób trupa czaszkę. To wrażenie szkieletu łagodziła długa, srebrzysto połyskująca broda, sięgająca zmarłemu do piersi, i długie włosy, układające się jak grzywa wokół głowy i szyi. Kościste ręce ścisnęły jakiś przedmiot, przypominający notatnik, a nagie stopy były wyciągnięte wysoko w górę w wyniku walki ze śmiercią. Zwłoki były odziane tylko w koszulę i marynarskie spodnie, katana powiewała w tyle łodzi i miała chyba zastąpić bezanżagiel.

Czego ofiarą padł ten człowiek? Obaj zbiegli przestępcy zapomnieli już dawno, co to wzruszenie, a tym razem był to rodzaj bojaźni, z którą spojrzeli zmarłemu w szeroko otwarte, matowe oczy.

Malaj pierwszy przerwał milczenie.

— Sahibie, kim może być ten zmarły? Prawdopodobnie marynarzem z zatopionego statku?

— Nie wygląda mi na marynarza. Raczej na eleganckiego pana, który z jakichś powodów czuł się zmuszony włożyć na nogi te marynarskie spodnie. Oczywiście jego zaniedbane włosy i broda nie potwierdzają tego domniemania. Musi to być owiane jakąś tajemnicą.

— Na co umarł?

— A na co mógł umrzeć? Naturalnie z głodu. Nie widzisz, że nie ma śladu żywności na pokładzie?

— To widzę. Ale dziwię się, że wybrał się na morze bez dostatecznych zapasów.

— A skąd wiemy, czy miał czas przygotować się? Kto nam poza tym powie, że nie miał żadnych zapasów? Może sztorm zniósł mu je z łódki? Przyjrzyj się dokładnie tej łodzi! Widzisz tu wiosło albo maszt? A musiał przecież być, ponieważ tam przy kilu leży kilka odprysków, mogących pochodzić tylko z masztu. A popatrz na pióro steru! Jest zrobione

naprędcie z jakiejś deski. Nie mam wątpliwości, że właściciel tej łodzi znalazł się w okropnej sytuacji na skutek burzy.

— Co poczniemy ze zmarłym i łodzią?

Zapytany popatrzył badawczo na budowę łodzi i rzeki:

— To zupełnie nowa, i jak mi się wydaje, wyśmienita łódź. Chociaż ten, co ją budował, zwracał większą uwagę na jej przydatność na morzu, niż jej wygląd. Jest wygodniejsza od naszej. Sądzę, że potraktujemy ją, jako dobrą zdobycz i wymienimy na naszą. Ale najpierw zrewidujemy zmarłego. Może znajdziemy coś, co nam się przyda.

Przymocowali łódź zmarłego wzdłuż swojej i weszli do niej. Potem opróżnili zmarłemu kieszenie. Nie zawierały nic oprócz kompasu i dość dużego woreczka. Po jego otwarciu wydali okrzyk zachwytu. Był wypełniony po brzegi perłami. Były bardzo duże i ładne, z gatunku szczególnie cenionego w Europie.

Europejczyk zważył woreczek w rękach i zrobił minę, jakby śnił. Potem wydał okrzyk radości i złapał Malaja za ramię.

— Człowieku, czy wiesz, że to jest bogactwo, prawdziwy skarb, jaki zdobyliśmy? Jak dotrzemy z tym szczęśliwie do wybrzeża, to będziemy przez najbliższe lata wolni od trosk. Większe szczęście nie mogło nas spotkać.

Malaj rzucił pożądliwy wzrok na klejnoty w ręce towarzysza:

— Czyje to ma być? Więc moje też? Mam nadzieję, że się rzetelnie podzielisz tym ze mną. Mały zaśmiał się.

— Jak możesz coś takiego mówić! Naturalnie, że to też i twoja własność. Możesz sobie myśleć o mnie, co chcesz, ale sądzę, że nie miałeś dotychczas żadnego powodu przypuszczać, że postępuję z tobą, jak oszust.

— Nie to miałem na myśli. Wiem, że nie uciekłbym bez ciebie. Ufam ci. Ale skąd ten trup mógł mieć taki majątek?

— Nie mam pojęcia. Sprawa zaczyna być coraz bardziej zagadkowa. Człowiek, który sprawia wrażenie, jakby długi czas nie obcował z ludźmi, a tu takie bogactwo! Nie wiem, czym to tłumaczyć. Ale szukajmy dalej. On chyba ma jakiś zeszyt w rękach. Może to rozwiąże zagadkę.

Nie było to łatwe, wyjąć notatnik ze sztywnych palców zmarłego. Musieli użyć siły. Malajowi udało się wreszcie trzonkiem noża poluzować palce zmarłego na tyle, aby wydostać książeczkę. Otworzył ją, ale natychmiast oddał towarzyszowi z okrzykiem rozczarowania.

— To nieznane mi litery, których nie potrafię odczytać. Może ty to potrafisz, sahibie.

Ten ostatni wziął książkę do ręki i oglądał ją ze wszystkich stron. Był to gruby notatnik, zapisany gęsto ołówkiem prawie do ostatniej strony. Poszczególne litery nie były ani trochę zamazane. Znak, że był napisany niedawno i że właściciel obchodził się z nim z wielką starannością.

Mały przeczytał pierwszą stronę i kartkował dalej. Szybko przerzucał strony, na jego twarzy pojawiło się zaniepokojenie. Malaj przypatrywał się z ciekawością, w końcu spytał:

— Rozumiesz ten język, sahibie, w którym jest ta książka napisana?

— Tak, to język niemiecki.

— A co zawiera?

— Nie mogę ci jeszcze tego powiedzieć, ale wygląda na to, że treść jest bardzo ważna. Potrzebuję trochę czasu, aby się z tym uporać. Nie musimy się tutaj z tym zatrzymywać. Dowiedzieliśmy się, czego chcieliśmy, i nadszedł czas, aby kontynuować przerwana podróż. Przenieś tutaj zawartość naszej łódki i jazda stąd!

— Co zrobimy z trupem?

Europejczyk zastanawiał się chwilę. Podjął decyzję.

— Moglibyśmy wrzucić zwłoki do morza, ale myślę, że na razie tego nie zrobimy. Upał tak je wysuszył, że nie czuć wcale odoru, więc nie będą nam dokuczać. Za wcześniej, abyśmy się ich pozbyli, jeśli potrzebujemy jego odzieży.

— Jego odzieży? Jak to?

— No, chyba nie myślisz, że możemy pokazać się w tym ubraniu. Koszule mają krój, który nas zaraz zdradzi. A więc akurat przyda nam się marynarskie ubranie zmarłego. Gdy dotrzemy do wybrzeża, jeden z nas musi je ubrać i zrobić potrzebne zakupy, podczas gdy tymczasem drugi się ukryje.

— A nie moglibyśmy zaraz ściągnąć odzieży ze zwłok? Nie mam ochoty płynąć razem z trupem.

Ten drugi zaśmiał się drwiąco:

— Ty się go chyba boisz? No, nie mam nic przeciwko temu, abyś go zaraz wrzucił do wody. Ale nie żądaj ode mnie, abym to ja go rozebrał. Nie mam na to czasu, gdyż zabieram się za czytanie jego notatek.

Malaj mruczał coś pod nosem, ale zabrał się do przenoszenia rzeczy z łódki Adamanów. Widać było, że się boi bliższego kontaktu ze zmarłym. Był zabobonny jak wszyscy jego krajanie.

Mały przeciągnął zwłoki do tylnej części łodzi i rozsiadł się na ławce, podczas gdy jego towarzysz wszedł do dłubanki i przerzucał jej zawartość. Gdy skończył, wyciągnął wiosła z

dulek i również je zabrał. Potem sam wsiadł i odczepił jedną łódź od drugiej. Jeszcze kilka minut i zdobyta łódź wzięła kurs na wybrzeże Sumatry, a bezpieczna łódź Adamanów została na wodnej pustyni.

Europejczyk nie zauważył, że łódka ruszyła, tak bardzo był zaczytany. Ani razu nie podniósł wzroku, podczas gdy przelatywał kartkę po kartce małego, lecz czytelnie zapisanego zeszytu.

DZIENNIK ZAGINIONEGO

Kim jestem? Jak się nazywam? Nie dowiem się tego, dopóki dźwięk ludzkiego głosu nie dotrze do mego ucha i nie zawoła mnie po imieniu. Czy w ogóle jest jeszcze poza mną jakiś ludzka istota na ziemi? Gdy w bezsenną noc przewracam się na moim łożu, a rozbijające się o wybrzeże fale śpiewają swą rozhukaną pieśń, wtedy moja samotna dusza zмага się z myślą, że nie jestem jedynym człowiekiem, którego gwiazdy południa obdarzają z nieziemsko dalekiej odległości swym litościwym światłem, mnie, jedynego człowieka w tej nieskończoności.

Czy może istnieć jakaś istota, która czuje się tak samotna i opuszczona jak ja? Nie sądzę. Jako chłopiec czytałem Robinsona i oczarował mnie zdumiewający romantyzm tej książki. Ale w mojej dziecinnej głupocie przeoczyłem ten bezimienny ból, znajdujący się między wierszami. A jednak jego los był bez porównania szczęśliwszy od mojego. Znalazł swojego towarzysza Piętaszka, gdy już przestał wierzyć w poprawę swego losu i pogodził się ze swą samotnością; ja straciłem mego towarzysza, moją Rabbadah, moją ukochaną żonę, która przez pierwsze osiem lat stworzyła mi niebo na tej zapomnianej wyspie. Dlatego pochowałem ją w niszczej świątyni Sziwy, w podziemnej komnacie, razem ze skarbem maharadży, którego widok napawał mnie wstrętem.

Los prowadził ze mną dziwną grę. Jedną kobietę nazwałem moją własną. Dla niej oddałbym wszystkie skarby ziemi i ojej posiadanie walczyłbym z całym światem, gdyby to było konieczne. Ale nikomu nie przyszło namyśl zakwestionowanie mojej własności i posiadałem jej miłość, chociaż nie wiem, czym sobie na to zasłużyłem. A jestem w posiadaniu skarbu, którego widok mógłby doprowadzić niejednego do szaleństwa, szaleństwa z chciwości, ale on nie posiada dla mnie żadnej wartości i jestem w gorszym położeniu, niż najbiedniejszy chłopiec — żebrak, który ma jeszcze kilka grosików w kieszeni. On może sobie za to kupić przynajmniej kawałek chleba, aby zaspokoić głód, podczas gdy ja nie wiem, co począć z moim skarbem. Szlachetne kamienie i diamenty, złote naczynia i wizerunki bożków nie mają dla mnie większej wartości, niż krzemki i muszle, którymi fale bawią się na plaży. Z radością oddałbym je temu, kogo los przygnałby na tę moją samotną wyspę; aby uczynić zeń towarzysza mojej samotności, dałbym mu je, wszystkie. Ale tak się nigdy nie stanie, nigdy. Piętnaście lat czekałem na ten dzień, który przywiódłby statek w pobliże mojej wyspy. Całymi dniami stałem na brzegu i wypatrywałem żagla. Byłbym rad i szczęśliwy, nawet gdyby to był statek piracki. Ale nigdy na moim horyzoncie nie pojawił się nawet strzęp żagla, w końcu zrezygnowałem z czekania i zdałem się na to, co nieuniknione.

Oczywiście kosztowało to sporo twardej walki, zanim ujarzmiłem życzenia mojego serca. Stokrotnie próbowałem wziąć stryczek i wybrać tę śmierć, jaką przede mną wołał pewien mężczyzna, zamiast tej strasznej samotności na tej wyspie; a tysiąc razy biegałem po plaży tam i z powrotem na wpół oszalały z bólu i tłukłem głową o skały, aż do krwi. Walczyłem z duchami obłąkania i błagałem Boga niezliczoną ilość razy, aby mnie w końcu zabrał, gdy trząsałem się z gorączki na moim legowisku. Ale nie wysłuchał mojego błagania, za każdym razem pokonywałem chorobę, chociaż nikt się mną nie opiekował.

Czy można się zmęczyć długim czekaniem? Dawno już przestałem mieć nadzieję, ale również bać się, stałem się żywą maszyną, rano napędzaną, a wieczorem zatrzymywaną. I dziwi mnie nawet, iż zdecydowałem się opisać przebieg mojego życia w jedynym notatniku, jaki uratowałem z rozbitego statku. Czy nuda była przyczyną tej decyzji? Czy jakieś nieokreślone przeczucie, że moje słowa mogą kiedyś przynieść pożytek? Może kiedyś dotrą do tych, którzy są mi najdrożsi na ziemi i którzy będą mnie opłakiwać, jako zmarłego już dawno temu? Nie wiem. Wiem, że mi się ta myśl nasunęła, gdy odwiedziłem wczoraj moją Rabbadah i zobaczyłem skarby, które złożyłem u jej stóp, gdzie są lepiej przechowywane, aniżeli w mojej chacie.

Tak więc chcę spróbować, cofnąć się myślami do tego okresu, w którym nie byłem jeszcze biednym bogatym człowiekiem, jak dzisiaj. Będzie mi z pewnością trudno odtworzyć z pamięci te rzeczy, które mi się wydają tak odległe, jakby wydarzyły się przed setkami lat i to w zupełnie innym świecie. Ale mam przecież czas! Nikt mnie nie ponagla, abym szybko skończył pracę, a czy napiszę moje wspomnienia za rok, czy za parę lat, co mi na tym zależy? Ukończę je na tyle wcześnie, abym położył je obok głowy, gdy poczuję, że śmierć się zbliża. Może kiedyś po wielu, wielu latach pasażer jakiejś przybyłej w te okolice łodzi lub osiadłego na mieliźnie statku znajdzie obok moich zwłok te kartki, które jeśli nie zgniją, opowiedzą o Hugonie von Gollwitz, kiedyś najszcześniejszym człowieku pod słońcem i Rabbadah, jego wspaniałej, ukochanej żonie i o skarbie maharadży.

Pora deszczowa minęła i moja mała wyspa jest prawdziwym rajem. Czyste i balsamiczne powietrze owiewa czoło i obdarza mnie odurzającymi zapachami milionów kwiatów. Tysiące urodzajnych kielków wyrosło z ziemi, które rozwinęły się w rośliny o najosobliwszych kształtach, i nad tym rojem najcudowniejszych roślin wznoszą się nie dające się z niczym porównać korony areki i pandana. A w niedalekiej oddali uderzają fale morskie, raz kryształowe, raz ciemne i groźne z białą koroną, przestrelone błyszczącymi zwierciadlanymi odbiciami podnoszą się i obniżają, jakby tysiące nimf wodnych spoglądało, aby dowiedzieć się,

co ten siedzący samotnie na plaży mężczyzna robi tak ważnego, że wydaje się nie zwracać uwagi na to piękno.

Tak, piękna jesteś moja wyspo skarbów, która leżysz jak zielono mieniąca się, rusalka w połyskujących szafirowo falach morskich, ale po tysiącokroć piękniejsza jest moja ojczyzna ze swymi jeziorami i lasami, rzekami i górami. Choć posiadasz tyle uroku, jesteś jednak dla mnie, jak okrutna Circe, która przywiązała mnie do siebie nierozzerwalnymi więzami. Uwolnij mnie, piękna czarodziejko, pozwól mi ujrzeć moją ojczyznę, chcę zapomnieć o wszystkim, co przez lata wycierpiałem w twoim więzieniu, moja dusza podziękuje ci za gościnność, jaką obdarzyłaś, mnie, rzuconemu przez los do twego królestwa!

Kiedy przed dwudziestu pięciu laty opuściłem ojczyznę, moi bracia mieli trzynaście i siedem lat. Jeszcze ich widzę przed sobą, Teodora z jasnymi lokami i marzycielskimi oczami, i małego Freda, który w przeciwieństwie do swego marzycielsko i spokojnie usposobionego brata, zuchwale i wesoło spoglądał na świat i był jedynym z nas trojga, który wprowadzał ożywcze impulsy do naszej rodziny, czasem może nawet coś więcej, gdy godził się z kłopotami, które ojciec, matka i ja, najstarszy syn, z trudem znosiliśmy.

Ród Gollwitzów jest jednym z najstarszych w Süderlandii i jednym z najbiedniejszych. Setki lat i administrowanie naszych przodków, mało myślący o przyszłości i utrzymaniu dóbr, obciążało posiadłość rodziny długami, i byłoby to trudne zadanie rachunkowe, chyba nawet niemożliwe, tyle uzyskać ze zubożałej posiadłości, żeby trzej synowie byli w stanie zagwarantować sobie odpowiednią pozycję w życiu.

Te warunki przyzwyczyły mnie dostatecznie wcześnie do myślenia o poprawieniu naszego położenia. Ciągoty w daleki świat leżą od dawna we krwi Gollwitzów, i moje myśli też zajmowały się dalekimi krajami, gdyż moja ojczyzna nie oferowała mi żadnej przyszłości. Süderlandia, nie posiadała kolonii, inaczej ofiarowałbym swe usługi ojczyźnie. Wstąpiłem zatem do angielskich wschodnio — indyjskich wojsk kolonialnych, które roztaczały przede mną najlepsze widoki na przyszłość. Dwudzieste urodziny obchodziłem już w drodze.

W Kalkucie zaczyna się to, co chciałbym nazwać powieścią mego życia. Wkrótce po moim przybyciu poznałem młodego, eleganckiego Hindusa, który tu przyjechał na studia. Początkowo milczał uparcie na temat swojej ojczyzny i nazwiska, ale potem otworzył się. Jakież było moje zdziwienie, gdy pewnego dnia oznajmił mi, że nie jest nikim innym, jak tylko samym maharadzą Madpur Singh z Augh. Jednocześnie dałem słowo honoru, że zachowam jego *incognito* i nikomu nic nie powiem. Madpur Singh opowiedział mi, że jego ojciec zmarł. Niestety doprowadził swój kraj na skraj przepaści przez zamiłowanie do przepychu, więc syn musi teraz mądrze oszczędzać, aby to naprawić. Dlatego przyjechał do Kalkuty, żeby się uczyć.

Był szlachetnie myślącym młodym człowiekiem i czułem się szczęśliwy, mogąc go nazywać moim przyjacielem. Spotykaliśmy się przez kilka miesięcy prawie codziennie, a gdy odjeżdżał, obaj mieliśmy uczucie, że zostaliśmy przyjaciółmi na całe życie.

Przebywanie z młodym księciem pomogło mi przetrwać tęsknotę za domem. Teraz powróciła ze zdwojoną siłą, również dlatego, że mój przełożony i moi koledzy nie wykazywali najmniejszych gestów przyjaźni. Mój generał, Lord Haftiey, był aroganckim Anglikiem, który twierdził, iż okazywanie uczuć uwłacza jego godności. Był strasznie małomówny, a jak już przystał na to, aby otworzyć usta, celem wypowiedzenia jakiejś uwagi, to z pewnością padało tylko *yes*, co było równie zimne, jak ten cały człowiek, którego arogancja mogła zmrozić. Z powodu swego przyzwyczajenia, uczestniczenia w rozmowie tylko poprzez krótkie *yes*, nazywali go wszyscy podwładni Generał Yes.

Podczas gdy wszyscy oficerowie mego pułku byli mi raczej obojętni, był jeszcze jeden człowiek, do którego od pierwszej chwili poczułem antypatię. Rotmistrz Mericourt, Paryżanin, mógł być przedtem komiwojazerem lub kimś podobnym i przybył do Indii, ponieważ w ojczyźnie nie mógł do niczego dojść. Byłem przekonany, że swoją rangę zawdzięcza tylko sprytowi. Poza tym uważałem go za tchórza, a wkrótce nadarzyło się sporo sposobności, aby poznać ten parszywy charakter.

Jakiś czas po odjeździe indyjskiego księcia poznałem w towarzystwie majorową Wilson i od tej pory byłem często zapraszany do ich domu. Majorowa chętnie widywała mnie u siebie, ponieważ nasza rozmowa dawała jej sposobność doskonalenia języka niemieckiego. Była piękną damą o surowych obyczajach. Nigdy nie padło między nami ani jedno słowo, którego jej małżonek nie mógłby usłyszeć. Przyszedł także rotmistrz Mericourt. Uważał, że majorowa jest urocza i starał się do niej zbliżyć. Ale ona traktowała go z rezerwą. Zaczął być o mnie zazdrosny i zachował się tak, jak można było oczekiwać od mężczyzny tego rodzaju. Pewnego dnia major spytał mnie o powód mych serdecznych stosunków z jego małżonką. Byłem zdziwiony. Doszło do wymiany słów i wyzwiał mnie na pojedynek. Nie bałem się ciosu, jaki mogłem dostać, ale obawiałem się o honor jego uczciwej, wiernej żony. Próbowałem go uspokoić i przekonać o jej niewinności, ale to nic nie pomogło, musiałem się z nim bić. Zrobił mi dziurę w rękawie marynarki, a ja go naznaczyłem na twarzy. Potem unikałem jego domu. Także rotmistrzowi nie wolno się tam było pokazywać. Nie mam żadnych dowodów, ale dowiedziałem się, że to on rzucił na mnie podejrzenie. I mam cichą nadzieję, że kiedyś wybije godzina, w której dosięgnie go mój pistolet. Chciałbym mu zapłacić dobrze wycelowaną kulą za jego łotrostwo. Nie miałem wtedy pojęcia, jak szybko dojdzie do rewanzu.

W domu majora zacząłem się czuć prawie jak u siebie, tak że późniejsze osamotnienie wydało mi się w dwójnasób dokuczliwe. Na szczęście niebawem wydarzyło się coś, co skierowało moją uwagę na inne tory. Anglia, która rozszerzyła swe wpływy daleko poza Allahabad, wyciągała teraz swe czułki do sąsiedniego Augh, który dzięki zdrowemu klimatowi i nadzwyczaj żyznej ziemi już od dawna ściągał na siebie jej pożądlive oczy. Miano tam wysłać poselstwo, aby nawiązać ponowne stosunki z bogatym państwem, których zerwanie spowodowane było śmiercią starego radcy. Generałowi Yes i kilku oficerom, wśród nich i mnie, powierzono to na pozór bardzo pokojowe przedsięwzięcie. Byłem wprawdzie młody i niedoświadczony, ale podczas mojego krótkiego pobytu w Kalkucie miałem możliwość zapoznania się z polityką prowadzoną przez Anglię, tak że nie wierzyłem w szczerść tego poselstwa. Znałem zachowanie Anglii w podobnych przypadkach. Celem poselstwa było postawienie tak wysokich roszczeń, że przyjęcie ich byłoby po prostu niemożliwe. Wtedy Anglia miałaby powód, aby kraj ten pogrążyć w wojnie i wcielić go pod swe panowanie. Wprawdzie nie mogłem w tym wypadku stwierdzić czegoś konkretnego, ponieważ żądania Anglii nie były mi znane, ale postanowiłem mieć oczy otwarte i ostrzec Madpur Singha na wypadek, gdyby planowano zdradę. I ani mi się śniło, aby kosztem własnego sumienia reprezentować fortele kraju, z którym nie łączyła mnie żadna inna więź, jak tylko zawarta na kilka lat umowa o pracę.

Pojechaliśmy koleją do Benares, a stamtąd dwoma łodziami w górę Gangesu. W każdej wiosłowało czternastu kulisów. Woda Gangesu uważana jest przez Hindusów za tak świętą, iż głośzą wokół i nawet w to wierzą, że ten, kto szuka śmierci w falach słynnej rzeki lub da się pożreć przez znajdującego się tam krokodyla, zostanie natychmiast przyjęty przez Brahmę do najwspanialszego z jego niebios. General Yes płynął ze swoim indyjskim służącym w pierwszej łodzi, podczas gdy inni oficerowie, również rotmistrz Mericourt, zajęli miejsce w drugiej.

Kolejnych osiem dni było dla mnie podróżą po krainie bajek. Już w Benares, gdzie przebywaliśmy jeden dzień, nie posiadałem się ze zdumienia. Nigdzie nie było to tak widoczne, jak tu, że Indie to kraj największych przeciwności. Tu wznosi się przed nami na lewym brzegu Gangesu, na prawie pionowo spadającym masywie skalnym, stare poczciwe miasto ze swoimi niezliczonymi świątyniami, meczetami i pałacami. Pełne przepychu siedziby wielkich tego kraju występują na przemian ze świętymi pomnikami i pięknymi jak marzenie świątyniami. W promieniach słońca błyszczą malownicze wieżyczki i kopuły, migocą wieże i minarety. Słońce Indii pożłaca wszystko, nawet brud, który dostrzega oczywiście tylko oko i nos Europejczyka. Tubylcy czują się w tym brudzie nader dobrze. Benares jest centrum brahmaizmu. Tutaj

prześladowano wyznawców Buddy tak długo, aż zostali wypędzeni przez sługi Brahmę i Wisznu z całych Indii, z wyjątkiem południowego krańca i Ceylonu. W Benares panował teraz bez ograniczeń Brahma i jego święte krowy, których widoczne ślady zdobią miasto na każdym kroku. Wszystkie ulice i świątynie są wypełnione tymi świętymi krowami, które poruszają się ociężale między tysiącami wystawionych dla nich przysmaków, a pod ich nogami wiją się pobożni pielgrzymi i całują ich ubrudzone kopyta. Biedni i starzy, kobiety i mężczyźni, wszyscy oddają z zachwytem hołd bogom w świątyniach, i zginąłby ten, który by powątpiewał w boskość jednej z tych krów. Młoda, zakwefiona, ale bogato obwieszona biżuterią kobieta, rzuca się z zachwytem do tego brudu przed krowę, aby namaścić kopyta zwierzęcia ze srebrnej misy i szepcze przy tym gorące modlitwy. Tysiące pielgrzymów sparaliżowanych, chorych, trędowatych i cuchnących schodzą po stopniach, które z nabrzeża prowadzą do Gangesu, w dół do rzeki, której fale zamieniają się w muliste bajoro, powstałe na skutek tej ilości brudu i chorób, i piją łapczywie zaczerpniętą dłońmi z żółtych pomyj, świętą wodę. Nic dziwnego, że w tych warunkach dżuma i cholera nie wygasa, a przez wędrujących stamtąd pielgrzymów przenoszona jest stale na półwysep.

Ale Ganges jest nie tylko kąpieliskiem, lecz również cmentarzem całego państwa. Bogaci i biedni przychodzą tu, aby zmyć swoje grzechy i pochować w nim swych zmarłych. Targują się tu z duchownymi o cenę drewna na stos, potem płoną widoczne wszędzie płomienie trzeszcząc wokół nagich zwłok, i w końcu wsypuje się popiół do rzeki, do której wpływają zewsząd padnięte krowy i zwłoki biednych pariasów, dla których stos był za drogi.

Szczególnie odpychające wrażenie robią kalecy, fakirzy i żebracy, którzy przedstawiają różne stany samookaleczenia się i umartwiania ciała. Liczą głównie na litość ludzi — i to z powodzeniem — jak pewna grupa żebraków w europejskich dużych miastach. Na stopniach Perłowego Meczetu widziałem umierającego Hindusa, wijącego się w najokropniejszych skurczach. Ze zgrozą odwróciłem się od tego widowiska. Ale mój hinduski przewodnik uśmiechnął się i stwierdził obojętnie:

— Znam tego człowieka od lat i już sto razy widziałem go umierającego; zarabia w ten sposób dużo pieniędzy.

Cały świat nigdy nie przeżytych doznań zwałił się na mnie, gdy naszymi łodziami posuwaliśmy się w górę świętej rzeki, mijając miasta i wsie. Moi towarzysze, którzy dłużej byli w Indiach, spokojniej obserwowali to wszystko, niż ja, a Generał Yes, wysoki i chudy, podczas tej długiej podróży nie opuszczał w ogóle swego namiotu, który ochraniał go przed żarzącym słońcem Indii. Leżał cały czas, śpiąc bądź paląc na swej czerwonoaksamitnej sofie. Czymże był

Benares, czym Ganges, czym w ogóle całe Indie wobec jednego prawdziwego Anglika, a co dopiero wobec niego, lorda Haftleya!

Było to ósmego dnia, koło południa, kiedy ukazało się Augh. Święta rzeka rozbłysła w świetle promieni słonecznych wyjątkowo pięknie. Liczne łodzie przecinały jej nurty, a między nimi poruszali się rybacy, wedle hinduskiego obyczaju leżący na dwóch połączonych ze sobą glinianych garnkach, podczas gdy rękami trzymali sieci.

Na lądowisku oczekiwał nas na koniach, pluton sipajów, tubylców wcielonych do armii angielskiej, którzy przybyli tu drogą lądową. Jeden z nich prowadził znakomicie uprzężonego konia, z pewnością przeznaczonego dla jakiegoś księcia, podczas gdy z tyłu za nimi trzymano dla nas kilka luzaków. Gdy generał opuszczał łódź, dwóch kulisów trzymało nad nim szeroki parasol przeciwsłoneczny. Ledwie jego stopy dotknęły ziemi, rozległy się od strony miasta salwy strzelb i strzały armatnie, a wszyscy obecni Hindusi pochylili się z pokorą ku ziemi. Potem i my wysiedliśmy.

Dobrze uzbrojony Hindus, w którym ku mojemu zdziwieniu rozpoznałem Madpur Singha, mego hinduskiego przyjaciela, podszedł do generała.

— Sahibie, mój panie, radża Madpur Singh, do którego należy wszystko to, co ten kraj pokrywa, rozkazał mi, abym cię powitał.

— *Yes.*

Generał przywitał oczekujących go Hindusów lekkim skinieniem ręki i kazał się kulisom podnieść na konia. Także my wsiedliśmy. Hindus też mnie zauważył, ale przebiegł po mnie szybko wzrokiem, jakby nie chciał, abym zareagował. Również dosiadł konia. Mały oddział ruszył. Generał z Hindusem na przodzie, Hindus zajął miejsce po jego lewej stronie. Brwi lorda zmarszczyły się. Chyba nie był w dobrym humorze.

— Rotmistrz Mericourt!

Wezwany poprowadził swe zwierzę na prawą stronę generała.

— Generale!

— Jesteście Francuzem?

— Do usług.

— Francuzi są najuprzejmiejszym narodem na tej ziemi.

— Tak mówią.

— Więc znacie się na etykiecie?

— Sądzę, że tak.

— Czy to powitanie przez radzę jest uprzejme?

— Nie wydaje mi się!

— *Yes.*

— Wysłała swego zarządcę i garstkę żołnierzy, aby powitać przedstawiciela i posła wszechmocnego Albionu. To wszystko!

— *Yes.*

— Właściwie, to należy się dziwić, że przyjmą nas w pałacu radży.

— *Yes.*

— Będzie pan musiał, ekscelencjo, podczas negocjacji okazać podobną uprzejmość do tej, jaką panu się okazuje.

— *Yes.*

— I mocno nalegać na spełnienie naszych żądań.

— *Yes.*

Obaj rozmawiali tak głośno, że jadący za nimi słyszeli każde słowo. Uwadze Hindusa nie uszedł żaden fragment tej rozmowy, znał przecież doskonale angielski. Udawał, że nie rozumie i nie odrywał wzroku od głowy konia. Brak taktu generała nie był mi oczywiście obojętny, ale nie denerwowałem się z tego powodu. Generał powinien był wiedzieć, co robi.

Niewielki pluton zatrzymał się przed główną bramą pałacu. Stojące tu stráže padły na ziemię. Generał uśmiechnął się z pogardą; sądził, że to jemu należne honory.

— Pozwól, że poprowadzę cię do pokoju radży — rzekł Hindus w ojczystym języku.

— Mnie i mój orszak.

— On życzy sobie widzieć tylko ciebie.

— Nie jestem pariasem, który musi iść sam. Dlaczego twój pan wita mnie, jak handlarza dywanów?

— Nawet gdyby przybyła królowa twojego kraju, gdyby przybyli wszyscy królowie ziemi, nie przyjąłby ich inaczej. Chodź sam do niego!

— Pójdę z moim orszakiem, albo w ogóle. Zamelduj mu to!

— Wypowiedział to życzenie tylko dla twego dobra. Jednak ponieważ twa wola jest nieugięta, no to chodźcie!

Poprowadził nas przez szereg wspaniałych dziedzińców aż do szerokich schodów z granitu, prowadzących do sali kolumnowej o takiej architekturze, jaką można było spotkać w Indiach przed dwoma tysiącami lat. Liczne przez nas spotykane osoby rzucały się milcząc na podłogę i leżały tak długo, aż przeszliśmy.

— Czy to twój rozkazodawca nakazał im kłaść się przed nami na ziemię?

— Tego by im nigdy nie rozkazał. Padają z głębokiego szacunku dla niego.

Wyglądało na to, że Anglik nie może pojąć, iż to okazywanie czci ma miejsce również podczas nieobecności księcia. Znowu uśmiechnął się pogardliwie.

Sala kolumnowa była wyłożona wspaniałymi dywanami. W tyle stał tron z kości słoniowej, przedstawiający leżącego słonia. Po jego obu bokach stało czterech niewolników, trzymali wysadzone perłami wachlarze, aby nimi wachlować księcia.

— Jak życzy sobie twój władca, abyśmy stanęli?

— Ustawcie się, jak chcecie, wedle obyczajów panujących w waszym kraju!

— Powiedz mu, że nie będziemy przed nim padać, jak jego niewolnicy.

— Nie żąda od was tego. Jak chcecie z nim rozmawiać, w jego czy w waszym języku?

— Mówi po angielsku?

— Po angielsku i francusku.

— No to niech rozmawia z nami po angielsku, z grzeczności wobec gości.

— Tak samo wy moglibyście z uprzejmości rozmawiać w jego języku. Ale on się ucieszy, że może być bardziej uprzejmy, niż wy. Możecie zaczynać!

— Jak to? Zaczynać? Przecież go jeszcze nie ma.

— Jest tu od dawna i teraz zajmie swoje miejsce.

Rozmówca wstąpił na tron i usiadł. Anglicy byli zaskoczeni. Generał i rotmistrz zrozumieli teraz, dlaczego radza chciał go przyjąć najpierw samego. Ponieważ zrozumiał każde słowo, chciał generałowi przypuszczalnie oszczędzić upokorzenia.

Było to bardzo ogólne powitanie i nie zajęło sporo czasu. Właściwe pertraktacje miały być prowadzone w terminie późniejszym. Generał podniósł się z sofy, na której siedział, aby dać do zrozumienia, że nie ma nic więcej do powiedzenia, gdy radza skinął na niego.

— Zadam ci jeszcze jedno pytanie. Czy mogę powitać jednego oficera, którego znam i który jest u ciebie?

— Zezwalam mu na rozmowę z tobą.

— Ach! Czyż jestem jeńcem lub czy on jest twoim jeńcem, który potrzebuje najpierw twego przyzwolenia, gdy Madpur Singh, król Augh, chce z nim rozmawiać?

Generał zorientował się, jaką zniewagę wypowiedział.

— Źle mnie zrozumiałeś. Moje słowa miały inny sens. Który to ten, z kim chcesz mówić?

— Mówisz, że źle zrozumiałem twe słowa; sądzisz więc, że nie rozumiem twego języka. Będę się starał, aby go jeszcze lepiej opanować i proszę cię, abyś mi tego, z kim będę rozmawiać, dał na nauczyciela. To podporucznik Hugo von Gollwitz.

— Von Gollwitz! — krzyknął generał zdumiony, a potem rozkazał ostrym, niemal groźącym głosem: — Wystąpcie!

Posłuchałem i zbliżyłem się do radcy, który serdecznie podał mi rękę.

— Widzieliśmy się w Kalkucie. Bardzo cię polubiłem i nie zapomniałem o tobie. Będziesz mieszkał w moich komnatach i kontrolował, czy mówię w waszym języku, czy nie. Zgadzasz się? — spytał, zwracając się do generała.

— Zgadzam się!

— To możesz teraz odejść ze swymi ludźmi. Wasze pokoje są gotowe. Moi słudzy wskażą wam drogę.

Radca zszedł z tronu, chwycił mnie za rękę i weszliśmy za kotarę.

* * *

Wczoraj przez pół nocy nie mogłem spać. Wspomnienie przeszłości podenerwowało mnie i nie pozwoliło zamknąć powiek. A gdy mi w końcu opadły, śniło mi się coś bez ładu i składu. Widziałem moich braci, ale nie jako chłopców, lecz dorosłych mężczyzn. Teodor miał zapadniętą, bladą twarz i wyciągał do mnie ręce z błagalnym spojrzeniem. Na jego rękach zauważyłem kajdanki. Chciałem się do niego zbliżyć, wtedy obraz rozmył się, a ja znalazłem się na rozległej, porośniętej trawą powierzchni. Nigdy jeszcze nie byłem w Ameryce, ale dokładnie tak, wyobrażałem sobie w myślach prerie Zachodu. Na horyzoncie pojawił się jeździec i zbliżał się szybko do mnie. Gdy zatrzymał się przede mną, spojrzał na mnie niesamowicie zdumiony. I ja również patrzyłem w jego twarz bez słów. To był mój młodszy brat. Ale w swoim traperskim ubraniu i mając męskie, poważne rysy twarzy, nie miał w sobie nic z wesołego, pełnego werwy chłopca, jakiego znałem. Fred! — chciałem zawołać, ale w tym momencie rozplynęła się ta postać przed moimi oczami, jakby mgła ją pochłonęła. Potem znalazłem się znowu w Indiach, jako oskarżony przed sądem wojennym. Związano mi ręce na plecach, a Mericourt stał przede mną z olbrzymim mieczem. Obrzucił mnie spojrzeniem pełnym nienawiści i spytał generała:

— Generale, czy pan też jest zdania, że podporucznik von Gollwitz dopuścił się zdrady stanu?

— *Yes.*

— I wymierzy mu pan karę śmierci?

— *Yes.*

— Kiedy należy ją wykonać? Teraz? Natychmiast?

— *Yes.*

Wtedy Mericourt podniósł miecz i przymierzał się do potężnego ciosu i... obudziłem się zlany potem. Nie byłem w Indiach, lecz w mojej chacie na zapomnianej przez Boga i ludzi wyspie. Czy ten denerwujący sen był oznaką zbliżającej się gorączki? Albo następstwem wrażeń duchowych z poprzedniego dnia? Czy to w ogóle było dla mnie dobre i miało jakiś sens, to przywoływanie przeszłości i utrwalanie jej w notatniku? Ale kiedy już raz zacząłem robić zapiski, to byłem zdecydowany je ukończyć. Zrobiłem sobie śniadanie, potem zażyłem trochę chininy, aby zapobiec ewentualnej gorączce, a teraz będę kontynuował moje opowiadanie.

* * *

Jeszcze tego samego dnia wieczorem, po przybyciu do Augh, zostałem wezwany do generała. Zgadłem, o co mu chodziło i zawiadomiłem radzę, że generał chce ze mną rozmawiać. Madpur Singh i powiedział, że jest ciekaw wyniku rozmowy i że będę go mógł zastać w ogrodzie na ławce pod smokowcem. Byliśmy po południu w parku, dlatego wiedziałem gdzie go szukać. Potrafiłem odnaleźć tę ławkę nawet o zmroku.

Gdy wszedłem do generała, zajęty był swoją *hukah*, perską fajkę i wodną, a obok niego stał rotmistrz Mericourt. Generał dał rotmistrzowi znak, na co ten zaczął:

— Panie poruczniku, znaliście radzę?

— Tak.

— Gdzie go poznaliście?

— W Kalkucie. Sądzę, że zrobił uwagę na ten temat w waszej obecności.

— Jak często widywaliście się z nim?

— Przez kilka miesięcy prawie codziennie.

— Ale nie powiedzieliście nic o tej, tak dla nas ważnej znajomości.

— Madpur Singh przyjechał do Kalkuty na studia. Dlatego przebywał tam *incognito* i musiałem dać mu słowo, że go nie zdradzę.

— Lecz potem, gdy cel naszej podróży był wam znany, tego wymagał wasz obowiązek, aby uchylić rąbka tajemnicy.

— Co pan uważa za swój obowiązek, to pańska sprawa; ale mój obowiązek nakazuje mi, nigdy nie łamać słowa honoru.

— Panie poruczniku!

— Panie rotmistrzu!

— Stoicie przed waszym przełożonym!

— Oczywiście, i ten przełożony siedzi przede mną. Ale to nie pan nim jest!

— Co to ma znaczyć?

— To ma znaczyć, że pragnę rozmawiać z panem generałem, a nie z panem.

— Pan generał polecił mi przeprowadzić rozmowę. Czy nie tak, ekscelencjo?

— *Yes!* — odpowiedział zapytany i obrzucił mnie ponurym spojrzeniem.

— Słyszysz pan!

— Słyszę. Ponieważ pan generał nie znajduje się z pewnością pod niczym dozorem, a także każdy podwładny ma prawo komunikowania się bezpośrednio ze swym przełożonym, jeśli ten jest obecny, więc będę teraz mówić i odpowiadać tylko dlatego, aby uczynić zadość ogólnym zasadom dobrego wychowania, a nie dlatego, że zmuszają mnie do tego układy służbowe.

— Do wszystkich diabłów, nazbyt śmiało! Takie gadanie zasługuje na chłostę. Prawda, generale?

— *Yes.*

— Chłostę? Co przez to rozumiecie? Kto będzie chłostany? Proszę powiedzieć!

— Ten, kto na to zasłużył!

— To z nas dwóch ja na pewno nie. Ta myśl uspakaja mnie.

— Panie poruczniku!

— Panie rotmistrzu!

— Pan generał wezwał pana, aby pociągnąć do odpowiedzialności, gdyż przemilczał pan znajomość z radzą. Ponosi pan winę za to, że spotkało nas takie upokarzające przyjęcie!

— Ja? Nikomu nie kazałem prowadzić rozmowy w towarzystwie mężczyzny, który rozumiał każde słowo.

— Miarkuj się pan! Miał pan zameldować, kim jest ten człowiek, który nas przyjął.

— Nie dostrzegłem mego obowiązku zgłoszenia o tym i proszę, aby tę rozmowę jak najszybciej zakończyć. Byłem o tej porze umówiony z radzą, któremu mam udowodnić, że nie umie mówić po angielsku.

— Nie ma zgody na pańskie odejście. Prawda, generale?

— *Yes.*

— Pańska dyskrecja jest tak dużym wykroczeniem, że nie jesteśmy w ogóle w stanie wymierzyć stosownej kary. Znajdujemy się, że tak powiem, nie na służbie. Z tego też powodu nie możemy pana teraz ukarać, ale musimy poprosić o pańską szpadę, panie poruczniku. Prawda, generale?

— *Yes.*

Sięgnąłem rzeczywiście ręką po szpadę, ale nie, żeby ją oddać, lecz by ukarać tego, co mnie obraża i wyładować mój gniew.

— Skończył już pan, rotmistrzu?

— Tak.

— To ja też zaraz skończę. Mam panu oddać szpadę, ponieważ nie złamałem słowa. Wydanie takiego wyroku może świadczyć tylko o braku honoru.

— Poruczniku!

— No, nie grajmy komedii! Innych wciąga pan w pojedynkę, ale samemu nie ma odwagi się bić. Żąda pan mojej szpady. Dobrze, będzie ją pan mieć, ale nie tak, jak sobie pan życzy, lecz dam panu płazem twarzy!

— To zniewaga, którą trzeba ukarać. Prawda, panie generale?

— *Yes.*

— Ukarać? Pomylił pan pojęcia. Wykroczenie podlega karze, ale obraza ma być pomszczona, mój panie. Pana tchórzostwo doprowadziłoby do tego, aby moje słowa uznać za służbowe przewinienie i aby tylko nie znaleźć się w sytuacji, w której musiałby pan stanąć z bronią naprzeciw mnie. Ale to się panu nie uda, bo według pańskich słów, nie znajdujemy się tutaj na służbie. Zachowuje się pan nie tylko bezwzględnie i tchórzliwie, ale i niemądrze. Pan generał jest upoważniony do podjęcia pewnych trudnych negocjacji z maharadzą i wie, że rotmistrz Mericourt obraził dzisiaj radzę. Pan generał słyszał, że radza powiedział do mnie, o swej przyjaźni. Ale pan generał chce ukarać z tego powodu podporucznika. Niech się pan generał zastanowi, jak należy nazwać takie postępowanie i jaka osoba byłaby odpowiednia, aby nakłonić radzę, co do jego planów. Powiedziałem, co miałem do powiedzenia, a teraz proszę o pozwolenie odejścia.

— Odejdzie pan tymczasem, ale musi zostawić swą szpadę! Prawda, generale?

— *Yes.*

— Dobrze, panowie. Ta szpada jest moją prywatną własnością, której tylko wtedy się pozbędę, jeżeli ją sprzedam lub podaruję. Jestem przydzielony do was, panie generale, jako ochotnik i proszę o zwolnienie mnie. Składam dymisję!

— Nie przyjmujemy jej! — zaśmiał się szyderczo Mericourt.

— Sam sobie jej udzielię.

— Musi pan wiedzieć, że takie zachowanie nazywa się dezercją. Prawda, panie generale?

— *Yes.*

— To dam się raczej zastrzelić, jako uciekinier, niż miałbym się pozwolić wynagrodzić za złamane słowo. Oświadczam, że moja osoba nie jest już w żadnym względzie do waszej dyspozycji. Dobrej nocy!

Oddaliłem się, ale nie poszedłem najpierw do parku, lecz do mojego pokoju. Rozmowa z moimi dotychczasowymi przełożonymi podenerwowała mnie bardziej, niż dałem to po sobie poznać. Musiałem się uspokoić przed pokazaniem się radży.

Oprócz tego, zachowanie generała dało mi do myślenia. Wiedział, że radża mnie znał, powinien więc być miłszy wobec mnie, ze względu na sprawę, której służył. To, że nie był taki, utwierdziło mnie w przekonaniu, że nie zależało mu w najmniejszym stopniu na zdaniu władcy, do którego został wysłany, i logicznie rzecz biorąc; rządu, który reprezentował. Moje przypuszczenia stały się niemal pewnikiem, że jego poselstwo nie miało pokojowego charakteru, jak to się z zewnątrz wydawało. Jeśli tak było, to nadciągało niebezpieczeństwo i musiałem ostrzec radżę. Uczyniłbym to również w przypadku, gdyby nasza rozmowa nie zakończyła się w tak niemiły sposób. Nie miałem już wobec generała żadnych zobowiązań, gdyż moje związki z Anglią uznałem za zakończone.

Właściwie powinienem się martwić o siebie. Byłem pozbawiony wszelkich środków, sam w obcym kraju, którego stosunków nie znałem. Ale nie zaprzątałem sobie tym głowy. Miałem przecież przyjaciela, radżę, którego osoba więcej dla mnie znaczyła, niż najwspanialsze perspektywy, jakie się roztaczałyby przede mną, gdybym pozostał na służbie u Anglików. Dlatego byłem dobrej myśli, gdy udałem się do parku, na spotkanie z radżą.

Okazało się, że dobrze uczyniłem, idąc najpierw do mego pokoju. Jeszcze nie opuściłem pałacu. Nie było słyhać moich kroków na dywanach między kolumnami. Właśnie chciałem wysunąć nogę z za ostatniej kolumny, gdy ujrzałem jakiegoś mężczyznę nadchodzącego od strony ogrodu. Był to minister Tamu. Między drzewami muszkatołowymi przed kolumną pojawiła się druga postać, w której rozpoznałem rotmistrza Mericourta. Wyglądało to tak, jakby się wcześniej umówili. Ale o czym miał pertraktować minister Augh z obcym wysłannikiem? Nie musiałem długo czekać na odpowiedź, gdyż rotmistrz zaczął:

- No, rozmawiałeś z radżą?
- Tak — odpowiedział minister.
- Co powiedział?
- Jest niezadowolony ze mnie.
- Czemu?
- Podejrzewa, że sprzyjam Anglii.
- I to cię prawdopodobnie martwi?

— Nie. Służyłem jego ojcu, gdyż umiał wynagrodzić moją wierność; ale ten tuczy swoich poddanych, a ministrowie głodują. Podwój sumę, którą mi oferowałeś, a królestwo Augh jest twoje.

— No, o tym jeszcze porozmawiamy.

Więcej nie mogłem usłyszeć, gdyż oddalili się do wnętrza pałacu. Przepuściłem ich obok siebie i niezauważony poszedłem za nimi. Przeszli przez pałac i ogród ministra do jego mieszkania. Stałem jeszcze chwilę, ale gdy rotmistrz nie wracał, poszedłem do parku, gdyż nie mogłem pozwolić radzy tak długo na mnie czekać.

Park rozciągał się za pałacem aż do Gangesu. Był podzielony na dwie części, z których większa była przeznaczona dla radzy, a mniejsza dla kobiet królewskiego haremu. Bez trudu odszukałem w ciemności gęstą grupę smokowców, w cieniu których stała ławka. Gdy wyszedłem spoza ostatnich krzewów imbiru i pieprzu, z ławki podniósł się mężczyzna. Był to radża.

— Gollwitz!

— Sahibie!

— Późno przychodzisz. Siadaj!

— Późno, gdyż obserwowałem dwa węże, które swą trucizną chciały spryskać twoje szczęście.

— Któż to?

— Jeden wąż, to rotmistrz Mericourt, a drugi sahibie, pewnie nie będziesz chciał mi uwierzyć, gdy wymienię jego nazwisko.

— Mów spokojnie. Wiem, że mnie nie okłamiesz.

— Pozwól mi lepiej od razu rozpocząć me opowiadanie! Zdecyduj potem sam, czy nie jesteś otoczony zdrajcami!

I opowiedziałem radzy, co właśnie podsłuchałem w pałacu. Książę nie przerwał ani słowem, ale słyhać było jego oddech, znak, że był podenerwowany. Gdy skończyłem, siedział przez chwilę cicho, jakby to, co usłyszał, musiał uporządkować. Potem zaczął zupełnie, spokojnym tonem:

— Rotmistrz jest Francuzem, sądząc po nazwisku?

— Tak.

— A mimo to stajesz po mojej stronie, zamiast jego?

— Ciebie szanuję, a nim gardzę. Jest jak robak, którego rozdeptuje się, nie dotykając.

— Musiał cię bardzo znieważyć.

— Gardziłbym nim także i bez tej zniewagi. Skrzywdził kiedyś szlachetną kobietę, która była moją przyjaciółką, jak matka. Muszę ją pomścić.

— Może on ciebie też chce zniszczyć.

— Już dawno tego chciał. Ale dzisiaj otwarcie rzucił mi rękawiczkę. Podniosłem ją i chcę tego człowieka unieszkodliwić.

— Chyba był przy generale, jak cię wezwano?

— Tak, to on przyjął mnie, zamiast generała.

— Czego chciał od ciebie?

— Żądał ode mnie wytłumaczenia się, ponieważ nie zdradziłem twojej obecności w Kalkucie. A potem zażądał mojej szpady i obiecał mi po moim powrocie surowo ukarać moje milczenie.

— Ale nosisz jeszcze swoją szpadę, więc jej nie oddałeś.

— Moją szpadę oddam tylko wraz z moim życiem.

— Ale rotmistrz zażądał jej od ciebie. Co mu zatem odpowiedziałeś?

— Powiedziałem mu, że dostanie szpadę, ale tylko płazem w twarz. Zamiast natychmiast sięgnąć po szpadę, jak każdy dzielny człowiek, udał, że nie słyszy moich słów. Jest tchórzem.

— A rezultat rozmowy?

— Poprosiłem o dymisję.

— I dostałeś ją?

— Nie; odmówili mi jej. Wtedy oświadczyłem dobitnie, że sam sobie jej udzielenę, jeśli jej nie otrzymam.

— To byłbyś w ich oczach dezserterem.

— Ba, niczego się nie boję. Ci dwaj tchórze nie zabronili mi, abym ich opuścił.

— A co teraz zrobisz?

— Wyzwę ich obu na pojedynek. Są oficerami i nie mogą mi odmówić satysfakcji.

— A potem, gdy ich pokonasz, co uczynisz wtedy?

— Pójdę do Batawii do służby holenderskiej.

— Dlaczego nie chcesz pozostać w Indiach?

— A gdzie znalazłbym księcia, który by mi zapewnił przyszłość?

— Tu w Augh. Zostaniesz u mnie. Twoja obecność przyniesie mi korzyści. Jaka jest twoja broń?

— Moją ulubioną bronią jest artyleria.

— Cieszę się. Rozpoczniesz u mnie służbę, zaopiekujesz się armatami i urządzisz artylerię na wzór zachodni. Zostaniesz moim ministrem wojny, będziesz moim bratem. Powiedz tak!

— Dobrze, to weź mnie, a przysięgam ci, że od tej chwili moja krew, moje życie i wszystkie moje siły będą należeć do ciebie, gdyż wiem, że nie należysz do tych tyranów, którzy pod wpływem złego humoru odtrącają od siebie swe najwierniejsze sługi.

— Zaraz jutro wykorzystam twoje siły, gdyż oddalę mego ministra Tamu. Ty zajmiesz jego miejsce i będziesz pertraktował z Anglikami.

— Sahibie, tego nie możesz mi kazać!

— Dlaczego nie? Czy chcesz w ten sposób zasłużyć na moje zaufanie, że odmawiasz mi posłuszeństwa już przy pierwszym poleceniu?

— Tak. Popatrz, sahibie, dla człowieka o niskim morale byłaby to największa satysfakcja, gdyby mógł stanąć przed generałem i powiedzieć: Zrobiliście wczoraj ze mnie przestępcę i zażądaliście mojej szpady, a dzisiaj ja jestem ministrem wojny maharadży Augh i stoję tu przed wami, jako jego pełnomocnik, aby wam podyktować warunki, pod jakim on jest gotów wysłuchać waszych propozycji.

— Tę satysfakcję chcę ci przecież dać!

— Ależ ona byłaby zgubą dla ciebie. Mogliby powiedzieć, że nie można pertraktować z dezerterskim. Ogłoszono by twoje postępowanie, jako naruszenie prawa międzynarodowego i tę zniewagę pomszczonoby przez natychmiastowe wypowiedzenie wojny. Widzisz, ja myślę nie tylko o tobie, ale i o pomyślności twego kraju.

— Dziękuję ci. Zlecę prowadzenie pertraktacji komuś innemu, ale mają być prowadzone w moim pałacu, gdzie my będziemy mogli słyszeć każde słowo. Czy dowiedziałeś się, jakie propozycje mają mi przedstawić Anglicy?

— Nie. Tylko generał je zna i może rotmistrz, jeżeli go o tym poinformował.

— Na pewno mu wszystko powiedział, gdyż rotmistrz jest jego prawą ręką.

— Jesteś w błędzie. Rotmistrz mniej dla niego znaczy, niż ktokolwiek inny. Generał wie, że Mericourt jest awanturnikiem i podstępny tchórzem. Udaje, że daje mu się wodzić za nos, a naprawdę wykorzystuje go tylko, jak wodę, która porusza koło, a potem musi dalej popłynąć.

Radża wstał podczas moich ostatnich słów.

— Tak postępują Anglicy — stwierdził. — Niewdzięczni wyrzucają narzędzia, gdy je wykorzystali. I zupełnie taką samą niewdzięczność okazują nam. Ten lord Haftley przyjeżdża do mnie i mówi, że ma dobro mojego kraju na uwadze, ale w zanadrzu nosi fałsz i zdradę. Chce otworzyć mój kraj Anglikom, a potem, jeśli im na to zezwolę, zabiorą mi go.

— Co mu odpowiesz?

— Znam Anglików. Mają wiele rzeczy, które i nam mogą się okazać przydatne, a i my też mamy niejedno, co dla nich jest nieodzowne. Handel z nimi przyniesie korzyść obu stronom.

Nie mam więc nic przeciwko temu, że oni przybywają do mnie, a moi poddani jadą do nich, aby wymieniać towary. Ale takie warunki im przedstawię, abym nie doznał z tego powodu żadnej straty.

— Jakie są te warunki, radzo?

— Czy może u was jakieś państwo bez przyzwolenia innych krajów zdobyć obce terytorium?

— Nie. Najpierw musi zapewnić sobie ich zgodę.

— No dobrze! Otworzę Anglikom mój kraj, jeśli mi udowodnią, że Francuzi, Włosi, Niemcy, Hiszpanie, Rosjanie i Portugalczycy zgodzą się na to. A te kraje muszą mi obiecać, że będą mnie bronić, jeśli Anglicy będą chcieli zagarnąć mój kraj.

— Na te warunki Anglicy nie pójdą.

— To niech opuszczą Augh i wracają tam, skąd przyszli.

— Oni odmaszerują, ale wrócą uzbrojeni, aby cię zmusić.

— Wtedy będę walczyć. Uczyniłem cię przecież moim bratem, abyś mi pomógł uzbroić kraj do walki z nimi. Lecz teraz udajmy się na spoczynek! Jutro też jest dzień i musimy być wyspani i mocni. Anglicy są potężnym narodem. Muszę ich posłów potraktować z godnością i pokazać im jutro widowisko.

— Jakie?

— Walkę między słoniem, niedźwiedziem i panterą. Mam dzikiego niedźwiedzia z Himalajów, większego od wszystkich kiedykolwiek przeze mnie widzianych. Panterę otrzymałem w darze od maharadzy Sigha Da sobie rade z niedźwiedziem. Ale teraz chodź!

Opuściliśmy to miejsce i kroczyliśmy w kierunku pałacu. Radza udał się do swych komnat, a ja poszedłem do mojego pokoju, gdzie rzuciłem się w ubraniu na me łoże, aby przemyśleć to, co przeżyłem. Ileż się wydarzyło w ciągu jednego dnia! Straciłem posadę, z którą łączyła się, jeśli nie błyskotliwa, to jednak ciekawa kariera. Zamieniłem ją na stanowisko u indyjskiego księcia, który uczynił mnie nagle bogatym człowiekiem i sprawił, że wyblakłe złoto rodowego herbu rodziny Gollwitz mogłem teraz pokryć nowym blaskiem.

Nie mogłem spać, więc opuściłem pałac, aby w nocnej ciszy uspokoić moje skołatane nerwy. Ciągnęło mnie do miejsca, w którym nastąpił tak decydujący zwrot w moim życiu. Szedłem przez ogród pogrążony w myślach. Dopiero gdy doszedłem do opuszczonego przedtem miejsca, podniosłem wzrok i spostrzegłem ku memu zdumieniu, że stoję przed postacią kobiecą, która z przerażeniem podniosła się z miejsca.

Znałem surowe obyczaje tego kraju. Wiedziałem przede wszystkim, że tu w ogrodzie radzy jest zakaz spotkań z jakąkolwiek kobietą. Ale znajdowałem się przecież w tej części ogrodu, gdzie wolno było przychodzić mężczyznom i to dodało mi siły, aby opanować oszołomienie.

Także ona przeraziła się; okryła się jeszcze staranniej swoją szatą, ale nie uczyniła żadnego ruchu, aby się oddalić.

— Wybacz! — poprosiłem po krótkiej chwili. — Nie sądziłem, że kogoś tutaj zastanę.

Powiedziawszy to, chciałem odejść.

— Zostań! — nakazała.

— Co rozkażesz? — spytałem.

— Usiądź!

Usiadłem, a ona zajęła miejsce w niewielkiej odległości ode mnie.

— Jak się nazywasz? — zaczęła.

— Hugo von Gollwitz.

— Jesteś z Anglikami?

— Należałem do nich do dzisiaj, ale teraz już nie.

— Dlaczego?

Zwlekałem z odpowiedzią

— A kto ty jesteś?

— Nazywam się Rabbadah. Słyszałeś już kiedyś o mnie?

Okazałem moje zaskoczenie.

— Rabbadah, Begum, siostra maharadży, kwiat Augh, królowa piękności Indii? Och, dużo słyszałem o twej wspaniałości i dobroci twego serca, jeszcze zanim przybyłem do twego kraju.

— Tak, jestem Begum, więc teraz możesz mi powiedzieć, dlaczego nie trzymasz już z Anglikami.

— Ponieważ zostałem sługą twego brata, maharadży Augh.

— W jaki sposób mu służysz?

— Zlecił mi reorganizację swoich wojsk.

— W takim razie musi mieć do ciebie wielkie zaufanie.

— Darzę go przyjaźnią!

— Dziękuję ci, gdyż ja go kocham. Ale nie pozwól, aby twoja przyjaźń była, jak ten kwiat, który tylko przez krótki czas pachnie, a potem umiera!

Mówiąc to zerwała blisko stojącą różę.

— Moja przyjaźń i wierność jest jak kazuaryna, żelazne drzewo, nie dające się powalić nawet zimie.

— Wobec tego błogosławię ten dzień, który cię przywiódł do mego brata.

Wręczyła mi tę różę; biorąc ją, dotknąłem jej delikatnej dłoni.

— Dziękuję ci, *sahibo!* Ta róża będzie ze mną aż do mej śmierci!

— Znałam ciebie i twoje nazwisko, jeszcze zanim przybyłeś do Augh. Mój brat opowiadał mi o tobie. Jestem jego zaufaną osobą, której mówi o wszystkim, co porusza jego serce. Ty powinieneś też dzielić twoje troski! Czy mogę być twoją powiernicą?

Przy tym pytaniu zawładnęło mną uczucie, jakiego dotąd nigdy nie doznałem. Ponad nami rozpościerało się bardzo ciemne niebo południa ze swymi połyskującymi gwiazdozbiorami, wokół nas marzyła i pachniała bujna przyroda tropiku, bogata roślinność kołysała się cicho w rytmie zefirka, który dotykał wierzchołków palm. A obok mnie stała najwspanialsza kobieta ziemi.

— Och, gdyby to było możliwe, *sahibo!* — odpowiedziałem.

— To jest możliwe i proszę cię o to — objaśniła. — Są różne sprawy, które sługa przemilczy z miłości i nie powie swemu panu, aby go nie zmartwić. I to wszystko powinieneś mi zawierzyć. Chcesz?

— Chcę.

Podawała mi swoją rękę; wtuliłem ją do mojej i czułem się tak, jakby prąd, pochodzący od bogów, przeleciał przez moje serce. Zapomniałem uwolnić jej rękę, a ona zapomniała ją zabrać. W tych tropikalnych krajach każde zjawisko natury występuje z większą prędkością, niż u nas, także uczucia człowieka opanowują jego życie, myślenie i działanie, nie zapytawszy wpierw o przyzwolenie rozumu. Szepnąłem drżącym głosem:

— Chcę ci służyć i być posłusznym, dopóki Bóg nie zażąda mego życia! Ale jest przecież zakaz obcowania z kobietami.

— Jestem Begum i wolno mi rozkazywać. Królowie uchwalają ustawy i królowie mają także prawo zawieszać je lub zmieniać. A kto miałby się dowiedzieć, że rozmawiamy ze sobą? Mój brat, radża, nie, to tym bardziej inni.

— A gdzie możemy rozmawiać, żeby się nikt nie dowiedział?

— Chodź, pokażę ci!

Podnieśliśmy się, trzymając się dalej za ręce. Poprowadziła mnie ostrożnie do części ogrodu przeznaczonych dla kobiet. Przystanąła przy altanie, zbudowanej w arabskim stylu, która otoczona była z trzech stron kanałem wychodzącym z Gangesu.

— Czy potrafisz naśladować dźwięki, jakie wydaje słowik, gdy marzy?

— Tak.

— Jeżeli będziesz chciał ze mną porozmawiać, to przyjdiesz tutaj, ale pamiętaj, żeby cię nikt nie zauważył i wydasz te dźwięki! Przed nadejściem wieczoru będzie czekać na ciebie zawsze wierna niewolnica, dopóki sama się nie pojawię. Poprowadzi cię do wnętrza altany i ukryje do mego przyjscia. Jeśli będę sama, to usłyszysz gruchanie turkawki, lecz jeśli nie usłyszysz tego dźwięku, i ja się nie pojawię, oznacza to, że jest u mnie mój brat. Wtedy musisz się ukryć, dopóki sobie nie pójdzie.

— Przyjdę, sahibo! — to było wszystko, co mogłem wypowiedzieć.

— I nigdy niczego przede mną nie zataisz?

— Nigdy!

— Niczego z waszej polityki i waszych wojennych interesów i także niczego o... o sobie samym?

— Także niczego o sobie? — przyrzekłem.

— Wierzę ci. Teraz idź! Dobranoc!

— Dobranoc! — odpowiedziałem.

Jeszcze raz chwyciłem jej rączkę i uniosłem do mych ust. Czułem drzenie jej ręki i oddech.

Potem skierowała się w stronę altany, a ja udałem się z powrotem do pałacu. Znajdowałem się, jak w jakimś transie i nie mogłem zaznać spokoju, aż w końcu przed świtem sen skłonił się nade mną i spłoszył postacie, które moja miła fantazja wyczarowała i wyposażyła w najzarliwsze kolory.

* * *

Ilekoć, podobnie jak dzisiaj, powracam do mojej Rabbadah, dosłownie siłą muszę przywracać moje myśli do gorzkiej rzeczywistości. Co właściwie jest w moim życiu prawdą? Czy miłość, o której marzę w pobliżu mej zmarłej żony, jest rzeczywistością? Czy może nigdy nie byłem niczym innym, jak tylko rozczochranym, brodatym osadnikiem, którego zobaczyłem niedawno w odbiciu lustrzanym w strumyku, przepływającym obok mojej chaty? Czy takim się wówczas stałem, odkąd brakuje mi łagodnego, uszlachetniającego wpływu kobiety? Czy może byłem od zawsze okropnym mieszkańcem pradawnych pieczar, jakim się teraz sobie wydaję? Czytałem kiedy w jakiejś książce, że mężczyzna, który za karę za popełnione przestępstwo, został wysadzony na samotnej, ale poza tym zupełnie przytulnej wyspie, popadał stopniowo w stan zwierzęcego zdziczenia. Wtedy podśmiechiwałem się z niedowierzaniem z wyobraźni pisarza, dzisiaj nie mogę mu tak całkiem odmówić racji. O Rabbadah, dlaczego odeszłaś ode

mnie, z powrotem do tych jasnych okolic, z których do mnie zesłaś, aby uczynić mnie najszczęśliwszym wszystkich śmiertelników! Powróć do mnie lub daj mojej tęsknocie skrzydła, żeby mnie uprowadziły z mojego więzienia i zaniósły tam gdzie twoja słoneczna obecność może mnie uszczęśliwić, a oddech twych ust owiać!

Jacy byliśmy szczęśliwi z naszej nędzy, gdy statek wyrzucił na wybrzeże tej wyspy! Cała załoga statku zginęła, wymordowana przez łotrów; którzy dybali na skarb maharadży. Byliśmy jedynymi, którzy przeżyli tę straszną tragedię. Wprawdzie straciliśmy ojczyznę i wszelkie możliwości, aby tam powrócić, ale czy to miało jakie znaczenie? Mieliliśmy przecież siebie, kochaliśmy się! Niewiele mogę powiedzieć o zmyśle wynalazczym Robinsona. Wszystko, czego potrzebowaliśmy do życia, było w dużych ilościach na statku. I miałem szczęście, że udało mi się to wszystko uratować, zanim ostatni deska zatonięła w falach. Trzeba było zbudować tylko chatę, a drewna było w nadmiarze. Oczywiście było to ostre wyzwanie dla mych, nie przywykłych do pracy rąk. Posługiwałem się piłą i siekierą, który mi ścinałem najpiękniej wyrosnięte pnie areki. Moje ręce pokryły się szybko bąblami i odciskami. Ale zapomniałem o wszelkim bólu i zmęczeniu, kiedy mój wzrok padał na ukochaną istotę, która niczym boginka unosiła się po plaży lub wijąc wianki, siedziała u mych stóp, ten najpiękniejszy i najwonnejszy ze wszystkich kwiatów.

Gdy chata była gotowa, byłem z niej bardzo dumny. Nie był wprawdzie pałacem i wątpię, czy jakiś chłop z moich ojczystrych stron zechciałby w niej zamieszkać, ale mnie wydawała się piękniejsza, niż bajkowy pałac Śpiącej Królowej. Pomieszczenie, do którego się wchodziło, było na tyle duże, by służyć za kuchnię i salon, w małej sypialni, przylegającej do tylnej ściany, stały dwa łóżka, które uratowałem ze statku. Obok chaty, w zwykłej komórce z desek, były umieszczone zapasy żywności. Całość zrobiłaby na wybrednym Europejczyku nędzne wrażenie. Dziwiłem się bardzo, jak szybko moja Śpiąca Królowa, otoczona dotychczas bajkowym przepychem, przystosowała się do odmiennych warunków życia. Otoczona gromadką służących, spełniających jej najskrytsze marzenia, nie poznała nigdy prawdziwej pracy. Teraz nie minęły ani cztery tygodnie, a krzątała się w chacie i koło niej, jakby było to od dawna jej przeznaczeniem. Najchętniej nie pozwoliłbym jej delikatnym palcom czynić czegokolwiek, ale czyż mogłem? Konieczność zmuszała do pogodzenia się z rzeczywistością i nastawienia się na kilka lat na przymusową samotność. Wszystkie wygórowane oczekiwania, które mogliśmy mieć w życiu, należało ograniczyć do minimum. I Rabbadah pomogła mi w tym swą kobiecą wrażliwością. Rzuciła się z ogromnym zapałem na wszelkiego rodzaju kobiece prace, jakie należało wykonać w naszej pustelni. A czego nie umiała, odgadywała na wyczucie. O, Rabbadah, słodki aniele, jakże potrafiłaś zmienić nasze więzienie w niebo! Jeśli

błogosławieństwo dla biednego rozgoryczonego człowieka coś u Boga znaczy, to litościwy Bóg odplaci ci w swoim raju po tysiąc i milion razy za to, co dla mnie uczyniłaś, od czasu, kiedy zobaczyłem cię po raz pierwszy na ławce pod smoczymi drzewami w pałacu twego brata!

Nadeszła pora, abym popchnął moją historię do przodu. Jest we mnie jakiś obcy niepokój. Czy to przeszłość ze swymi postaciami winna jest temu dziwnemu brakowi spokoju, czy coś innego wisi w powietrzu, czego nie można zdefiniować i może jest przeczuciem czegoś, co nadejdzie, czegoś, co odmieni mój los? Nie wiem. Przyszłość pokaże. Pozostawiam to Wszemmocnemu i jego opatrności. Piętnaście lat samotności nauczyło mnie być zadowolonym i moją nadzieję kierować z tej zapomnianej wyspy w górę ponad gwiazdy, gdzie mieszka dobrotliwy ojciec, który nie zapomni o samotnym, opuszczonym dziecku.

Opowiedziałem już, że po pierwszym spotkaniu z Rabbadah tak byłem podniecony, że nie mogłem zasnąć. Gdy natura w końcu upomniała się o swoje prawo i zapadłem w krótką drzemkę, na dziedzińcu pałacu panowało nocne życie. Wznoszono budowle, ciągnące się wokół muru, a trudno je było dostrzec przy świetle pochodni. Dopiero o świcie, gdy światła zgasły, można było zobaczyć okrągłą arenę, dookoła której stały szerokie trybuny przeznaczone dla widowni.

Akurat nad wejściem na dziedziniec wznosiła się altana, przeznaczona dla króla Augh. Naprzeciwko znajdowała się druga, do której można było wejść z pałacu, a jej drewniane okratowanie; pozwalało przypuszczać, że zajmą tam miejsce kobiety maharadży. Po obu stronach dziedzińca znajdowały się dwie nisze, jedna dla Anglików, druga dla wielkich królestwa Augh.

Z boku umieszczona była podwójna klatka, sporządzona z mocnych bali kazuarynowych, a po jej bokach wisiały maty, aby nie można było dostrzec, co znajduje się w jej wnętrzu. Tam chyba miały przebywać pantera i niedźwiedź z Himalajów.

Nie spałem długo. Ponieważ poranek nie był jeszcze zbyt gorący, postanowiłem udać się w okolice miasta. Przekroczywszy granicę miasta, szedłem między rozległymi uprawami ryżu, manioku, plantacjami banana, aż dotarłem do palmowego lasu przechodzącego w gęsty zagajnik werbeny. W obawie przed dzikimi zwierzętami byłem właśnie gotów do odwrotu, gdy nagle tuż obok mnie w krzakach coś zaszeleściło. Wyciągnąłem szpadę, ale do ciosu nie doszło, albowiem zanim zdążyłem ujrzeć jakąś ludzką istotę, skórzany rzemień przeleciał koło mnie i związał me ramiona; ze straszną szybkością przeciągnięto mnie przez krzaki, tak że straciłem przytomność.

Gdy się ocknąłem, znajdowałem się na wąskiej polanie otoczonej paprociami tak wysokimi, jak drzewa. Leżałem na ziemi, a dookoła mnie siedziało w kucki około dwadzieścia dzikich

postaci, których zuchwały wygląd nie wróżył nic dobrego. Byli po zęby uzbrojeni i nosili, bądź to zakrzywione, o dziwnym kształcie noże, bądź to jedwabne pętle w pasie i przysłuchiwali się uważnie słowom mężczyzny, który zajął na kamieniu trochę podwyższony punkt obserwacyjny i z okrutnym zachwytem przemawiał do innych.

Przeszedł mnie dreszcz. Pętle, które nosili, były dla mnie informacją, że wpadłem w ręce osławionych Thagów, dla których morderstwo stało się religią, a którzy hołowali z ogromnym zapalem regułom tego tajemnego związku. Ci Thagowie rozprzestrzenili się w całych Indiach; wywodzą się wszystkich kast i stanów, od pogardzanego pariasa, aż do ubranego na białą kapłana i wyznawcy Brahmy.

Taki Thag jest najstraszliwszym człowiekiem, jaki istnieje. Napadnie na ciebie w samotności lasu lub dżungli, zamorduje w środku miasta, na zebraniu, nawet wtedy, gdy sam nie może uciec. Wychodzisz ze statku na ląd, a jego jedwabna pętla ściśnie ci nagle gardło. Latami będzie ci towarzyszyć jako wierny sługa przez Indie, a w ostatnią noc przed twym wyjazdem wpadniesz w tę niesamowitą pętlę. Nikt nie czuje się przy nich bezpieczny, ani Hindusi, ani cudzoziemiec, choć najczęściej zaginają parol właśnie na tego ostatniego. Żaden z należących do tego straszego tajnego związku nie zdradzi drugiego. Nawet największa tortura nie potrafi go zmusić do rzeknięcia choćby słówka o piekielnych regułach i wiadomo tylko, że w tej organizacji morderców istnieją różne stopnie i szczeble, które członkowie stopniowo zdobywają. Posiadający dany stopień mordują za pomocą pętli, inni trucizny, ci trzeci topią, czwarta grupa pali, piąta morduje maczugami, a pozostali zabijają innymi narzędziami, wynajdując różne rodzaje śmierci.

Ale najstraszliwszym Thagiem jest Phansegar, którego narzędziem zbrodni jest jedwabna pętla. Takiemu Phansegarowi nie ujdzie żadna ofiara, więc można sobie wyobrazić moje przerażenie, gdy po tych strasznych pętlach poznałem, w czyje wpadłem ręce.

Mówcą był sędziwy, może siedemdziesięcioletni mężczyzna, lecz mimo zaawansowanego wieku jego ruchy były gwałtowne, a jego szata, coś w rodzaju kaftana, powiewała na chudym ciele, jak chmura pędzona wiatrem.

Słyszałem dokładnie każde słowo. Ten człowiek nie posiadał z pewnością najmniejszego wykształcenia, ale jego mowa, którą chciał wprawić w zachwyty towarzyszy, była swego rodzaju fanatyczną poezją, zarówno godną podziwu, jak i przerażającą. Siedzący koło mnie Hindusi zauważyli, że wróciła mi świadomość, więc zawiązał mi wokół uszu starą, potarganą chustkę, co utrudniało mi słuchanie. Po skończeniu zeskoczył z kamienia. Jego oczy podbiegły krwią. Podczas gdy kręcił się wkoło mnie na jednej nodze z ogromną szybkością, inni podnieśli się i powtarzali za nim jego ruchy, dopóki nie padli z wyczerpania na ziemię.

Teraz nastąpiła chwila odpoczynku. Gdy dobiegła końca, sędzi wy przywódca bandy podszedł do mnie i zdjął mi opaskę z uszów.

— Jesteś obcy?

— Tak — odpowiedziałem.

— Z jakiego kraju?

— Z Frankonii.

— Kłamiesz. Przybyłeś z Anglikami?

— Tak.

— No więc jesteś z Anglii!

— Nie. Jestem z Frankonii, chociaż przybyłem z Anglikami.

— Ale należałeś do Anglików

— Tak, ale teraz już do nich nie należę.

— Znowu kłamiesz! Nosisz przecież ich mundur.

— Dopiero wczoraj wieczorem wstąpiłem na służbę do maharadży Augh i nie miałem jeszcze czasu, by sprawić sobie nowe ubranie.

— Znowu kłamiesz. Maharadża Augh nie wcieli do służby żadnego Anglika. Musisz umrzeć!

— To zabij mnie! Ale szybko!

Ten drugi zaśmiał się okropnie.

— Szybka śmierć jest najwspanialszym darem, jakim Bhowannie obdarza swych synów. Jak Anglik może żądać takiego daru?

Nie bałem się ani lwa ani tygrysa, ale teraz, to było coś zupełnie innego. Poruszyłem się, aby uwolnić się od mych więzów, nic nie pomogło.

— Uspokój się, cudzoziemcze! — wyszczerzył zęby przywódca.

— Przybyliście z Anglii, aby kawałek po kawałku kraść nam naszą ojczyznę. Odwdzięczymy się. Zaduś go! — zwrócił się do czekającego w pogotowiu kata.

— Ratunku! — zawołałem ze wszystkich sił.

— Spokój! — rozkazał morderca, klękając na moim brzuchu.

— Nikt ci nie pomoże, ponieważ jesteśmy tu sami. A nawet gdyby w pobliżu były setki ludzi, nikt nie odważyłby się nam przeszkodzić.

Straciłem wszelką nadzieję. Zamknąłem oczy. Jeszcze chciałem wypowiedzieć tylko jedno, jedyne słowo; cisnęło się na moje usta, jak gorąca modlitwa konającego:

— Rabbadah!

Phansegar odwinął już pętlę z bioder, ale w tym momencie przywódca chwycił go za ramię.

— Stój! — rozkazał.

— Dlaczego? — zawołał zdziwiony.

— Nie stawiaj pytań!

Następnie zwrócił się do pozostałych:

— Odsuńcie się, dopóki nie porozmawiam z Anglikiem! Posłuchali, a ja poczułem, jak nadzieja ożywiła moje serce.

— Jak się nazywasz? — spytał Phansegar.

— Hugo von Gollwitz.

— Naprawdę jesteś z Frankistanu?

— Tak.

— I tak musisz umrzeć, jeżeli się okaże, że się myłę. Krzyknąłeś teraz pewne słowo. Dlaczego akurat to?

— Nie mogę ci tego powiedzieć. Phansegar wiercił swymi oczami w moich.

— Nie możesz mi powiedzieć? A jeżeli okaże się, że z powodu tego milczenia będziesz musiał umrzeć?

— To też nie!

— Jesteś stanowczy i odważny. Jednak wiem, czemu nie chcesz powiedzieć. Gdzie byłeś wczoraj o północy?

— U radzy.

— A potem?

— W moim mieszkaniu.

— Kłamiesz. Byłeś jeszcze w jednym miejscu, gdzie słowik wzdycha, a turkawka grucha. Teraz przestraszyłem się z powodu Rabbadah. Ten człowiek był w ogrodzie i podsłuchiwał.

— Co przez to rozumiesz? — spytałem ze zdumieniem.

— Nie bój się! Nie mogłem ujrzeć twojej twarzy, więc nie poznałem cię dzisiaj. Ale gdy wymieniłeś imię Begum, domyśliłem się, że to ty. Masz dać radzy armaty, aby przepędzić Anglików.

— Tak.

No to jesteś wolny. Ale musisz mi przysiąc na twoich Bogów, że nikomu nie powiesz, że Phansegar podsłuchuje w ogrodzie, aby chronić swego króla.

— Może przysięgnę, gdy mi powiesz, dlaczego ty, morderca, chcesz ochraniać króla i jego siostrę.

— Powiem ci. Przysłałem do Phansegarów, ponieważ minister Tamu zabrał mi wszystko, co posiadałem. Poszedłem do króla, ojca obecnego radzy i nie tylko zostałem oddalony, ale i

wtrącony więzienia, gdzie bym się wykończył, gdybym nie zdołał uciec. Władca umarł, a w dniu, w którym obecny radża został królem, oddał memu synowi wszystko, co mi zabrano. Dlatego ochraniaj jego, Begum i ciebie, ponieważ wy nie zrobicie niczego, co sprawiłoby ból mojemu narodowi. Ale Tamu musi umrzeć powolną śmiercią, która była przeznaczona tobie.

— On już nie jest ministrem.

— Słyszałem, gdyż leżałem pod wami na ziemi, gdy radża z tobą rozmawiał.

— Słyszałeś, o czym mówiliśmy?

— Tak.

— A potem, byłeś tam jeszcze, gdy wróciłem?

— Byłem i słyszałem każde słowo. Ale nie bój się! Będę cię ochraniał.

— Ufam ci.

— Przysięgnij, że i ty nie będziesz niczego o mnie opowiadał!

— Przysięgam.

— To jesteś wolny. Słyszałeś już kiedyś o Thagach?

— Tak.

— Oni są straszni tylko dla swoich wrogów, straszniejsi od dzikich zwierząt dżungli, ale dla swoich przyjaciół są jak słońce dla ziemi i jak rosa dla trawy. Proszę, weź ten ząb, noś go na piersi i pokaż go, gdybyś znowu kiedyś wpadł w ręce moich braci. Uwolnią cię, jak przyjaciela.

Oglądałem cenny podarek. Był to ząb młodego krokodyla, wisiał na zwykłym sznurku, a jego szpic był w dziwny sposób oszlifowany.

— Dziękuję! Czy często będziesz w ogrodzie radży?

— Nie wiem. Czemu pytasz?

— Może będę chciał kiedyś z tobą porozmawiać.

— To idź z miasta prosto na wschód do dużego lasu, dokąd dojdiesz w ciągu sześciu godzin. To jest las Koleah. Właśnie w jego środku znajdują się ruiny świątyni. Weź ostry kamień albo nóż i narysuj na środku najniższego stopnia tej świątyni ząb krokodyla, wtedy cię odnajdę. A teraz chodź! Odprowadzę cię do miasta.

Sam rozwiązał mi pęta. Potem szliśmy przez las palmowy i pola, na ich granicy przystanął, podał mi rękę i zniknął między plantacjami.

Odetchnąłem. Czułem się jak obudzony ze straszego snu. Komu zawdzięczam życie? Właściwie Begum, ponieważ tylko imię księżniczki powstrzymało rękę mordercy.

Czułem się wspaniale, gdy kroczyłem przez miasto, aby dotrzeć na zamek. Tam usłyszałem, że radża już po mnie posyłał. Udałem się do niego. W pierwszej chwili przyjął mnie serdecznie, ale za moment rzekł z wyrzutem:

— Nic było cię, gdy cię wezwałem.

— Tak, sahibie. Poszedłem na miasto.

— Nie pomyślałeś, że mógłbym cię wezwać?

— Owszem! Ale nie sądziłem, że wrócę tak późno.

— Miałeś jakąś przygodę?

— Skąd tve przypuszczenia, sahibie?

— Twoje ubranie jest podarte.

Teraz spostrzegłem, że moje ubranie znacznie ucierpiało.

— Tak, przeżyłem przygodę.

— Jaką?

— Nie mogę powiedzieć.

— Powiedz mi, czy dałeś słowo, że będziesz milczał?

— Tak.

— To nie nalegam. Napadnięto na ciebie, ponieważ wzięto cię za Anglika. Nie mogę niestety ukarać winnych, gdyż nie chcesz ich zdradzić.

— Przebacz im sahibie, jak ja im przebaczyłem

— Chodź ze mną! Zaraz zaczną się pertraktacje z Anglikami, muszę ci dać ubranie, które w przyszłości będziesz nosić.

Po kwadransie siedziałem z radzą w jakimś pokoju, na którego środku leżał dywan, a przy ścianach stały sofy. Znajdowały się tu także gliniane naczynia i to było wszystko.

Te porowate wypalone z gliny garnki napełnia się wodą, która z łatwością paruje i dzięki temu panuje w pokoju przyjemny chłód.

Aby wykorzystać to chłodzenie i w innych pomieszczeniach, przebija się często ścianki działowe między dwoma pokojami w ten sposób, aby powstały nisze, w których ustawia się te naczynia.

Także pokój, w którym znajdowaliśmy się, miał dwie takie nisze i przez te otwory można było słyszeć każde słowo z sąsiedniego pokoju. Siedzieli tam lord Haftley i rotmistrz Mericourt w celu przeprowadzenia rozmów z pełnomocnikiem radży. Dumny Anglik pojawił się jednak, ale to poświęcenie nie zostało uwieńczone sukcesem, ponieważ zgodzono się na ustępstwa tylko pod warunkami, jakie Madpur Singh omówił wczoraj ze mną.

Było wykluczone, aby Anglia na to przystała, ale lord stwierdził, iż trzeba tę sprawę jeszcze raz dokładnie przemyśleć. Podniósł się i dał ręką znak rotmistrzowi, aby zabrał głos.

Ten podniósł się również i odezwał się, jakby mimochodem:

— Ach, muszę jeszcze postawić pytanie, o którym zapomniałem. Gdzie mieszka podporucznik Hugo von Gollwitz?

Pełnomocnik radży poradził sobie z tym.

— U mojego pana. — odpowiedział — Przecież to wiecie.

— Wiemy. — powiedział rotmistrz — Ale podporucznik jest moim podwładnym i życzę sobie, aby mieszkał u mnie.

— Czy jego lordowska mość nie zezwolił, aby podporucznik mógł mieszkać u mego pana, radży?

— Udzielił zgody, ale czuje się zmuszony ją cofnąć.

— To by bardzo dotknęło mojego pana, który nadzwyczaj ceni podporucznika. Czyjego lordowska mość chce obrazić mego pana, Madpur Singha Augh?

— Nie mam takiego zamiaru, ale podporucznik nie jest godny takiej gościnności.

— Z jakiego powodu?

— Jest zdrajcą swego przełożonego.

— Także radży?

— Także.

— Jeżeli was zdradził, to radzę nie obchodzi, a jeżeli zdradził radżę, to musicie to udowodnić.

— Nie uważam tego za konieczne.

— To konieczne! Jesteś mężczyzną, a gdy mężczyzna coś powie, to musi to umieć udowodnić. Pozwól mi te słowa przekazać memu panu!

— Dobrze. Niech nam zaraz odeśle podporucznika.

— Nie. On spyta cię przeze mnie, w jaki sposób podporucznik go zdradził, a jeżeli nie udzielisz mu odpowiedzi, to będzie uważał cię za oszczercę, a tamtego za porządnego człowieka. Czyń co zechcesz!

— Żądam wydania podporucznika.

— Nie jesteś jego przełożonym. Należy do innej jednostki.

— To nie tak. Jego lordowska mość dowodzi dywizją, w której podporucznik służy. Więc czyjego lordowska mość może mu rozkazywać?

— Tak.

Teraz w końcu lord raczył zabrać głos:

— Rozkazuję!

— Co?

— Wydać podporucznika!

— Wydać może go tylko maharadża, a więc czy jego lordowska mość chce wydać rozkaz memu panu, królowi Augh?

Haftley popadł w zakłopotanie.

— *No!* — odpowiedział stanowczo. Rotmistrz ponownie zabrał głos.

— Jego lordowska mość rozkazuje podporucznikowi przyjść do mnie!

— Czy to prawda? — spytał pełnomocnik.

— *Yes!* — odpowiedział lord.

— Mój pan nie wyraża sprzeciwu. Jego lordowska mość może wydać podporucznikowi ten rozkaz!

— I tak się stanie! Czy jego lordowska mość rozkazuje?

— *Yes, niniejszym!* — potwierdził z naciskiem Haftley.

— Niniejszym? Czy jego lordowska mość uważa, że ja jestem waszym sługą, abym miał doręczyć ten rozkaz? Najpierw rozkazujecie maharadży, a teraz mnie!

— Rozkazujemy, komu chcemy! — powiedział rotmistrz. — Prawda, ekscelencjo?

— *Yes.*

To popatrzcie, jak wasze rozkazy zostaną wykonane!

— Musicie je wykonać. Prawda, ekscelencjo?

— *Yes.*

Mówiąc to, lord skierował swe kroki do wyjścia, a rotmistrz szedł za nim w przekonaniu, iż nie uwłaczono godności Anglii.

Wkrótce po tej niezwyklej naradzie zostały otwarte bramy dziedziniec i mężczyźni podążyli tam, aby uczestniczyć w poka walki zwierząt. Na krótko przed jej rozpoczęciem wezwał mnie radza do siebie. Wskazał na wspaniałe ubranie leżące na stoliku.

— Ubierz te szaty! Jest to strój wojowników Augh. Tylko ty będziesz mi towarzyszyć na galerii. Przynajmniej dam ci taką satysfakcję wobec Anglików.

Przebrałem się w sąsiedniej komnacie i umocowałem moją angielską szpadę na biodrach. Nie pasowała wprawdzie do obecnego stroju, ale nawet nie pomyślałem, aby ją odłożyć.

Gdy u boku radży wszedłem na trybunę przygotowaną dla niego, wszystkie miejsca były już zajęte. Naprzeciw nas, na trybunie przeznaczony dla kobiet, zauważyłem dwie bogato odziane, ale zakwefione kobiety, prawdopodobnie małżonkę i siostrę radży. W lewej galerii zajęli miejsce wielcy państwa Augh, w prawej oficerowie angielskiego poselstwa. Spostrzegłem nawet ich zdziwione spojrzenia, skierowane w naszą stronę, jednak nie zwracałem na nich uwagi.

Teraz radza klasnął w dłonie i kilku tubylców siedzących na klatce natychmiast usunęło maty leżące przed drzwiami. Te otworzyły się i olbrzymia czarna pantera jednym susem znalazła się na środku areny. Potem rozejrzała się wokoło, zaryczała gniewnie i położyła się na piasku.

Następnie usunięto maty sprzed drugich drzwi. Otworzyły się i ujrzano niedźwiedzia, który spokojnie leżał i nie czynił żadnych przygotowań, aby zmienić swą pozycję. Uderzano go z góry kijami bambusowymi, jednak zdawał się nie czuć tego. Rzucono na niego kilka palących się ogni sztucznych; trochę się poruszył i przewrócił, aby ugasić iskry tkwiące w jego futrze.

Teraz mężczyźni znajdujący się na klatce chwycili się najpewniejszego środka; wylali naczynie araku na niedźwiedzia i rzucili nań kilka sztucznych ogni. Jak tylko iskry go dosięgły, futro zaczęło się palić i niedźwiedź wybiegł truchtem z klatki, która się za nim zamknęła. Zwierzę, podobnie jak pantera, było niesamowitej wielkości; ugasiło ogień, tarzając się w piasku.

Pantera spostrzegła swego przeciwnika, ale zwlekała z atakiem z powodu ognia. Gdy został ugaszony podniosła się i zaczęła krążyć wokół niedźwiedzia.

Niedźwiedź stanął na tylnych łapach i wymachiwał zadowolony przednimi. I wtedy nagle pantera skoczyła na niego z boku. Wszyscy oczekiwali w napięciu. Niedźwiedź był sprytniejszy od swego przeciwnika; stał sobie spokojnie. W momencie, kiedy pantera skoczyła na niego, padł na ziemię; przez to skok był za wysoki, i podczas, gdy zręczny kot przelatywał nad nim, niedźwiedź chwycił go błyskawicznie swoją łapą — rozległ się straszny ryk, a dołączyło się do tego mruczenie, będące dowodem zadowolenia. Niedźwiedź rozdarł panterze brzuch, tak że ciągnęła za sobą wnętrzności do kąta, dokąd się jak najszybciej wycofała.

Już po chwili podniosła się ponownie i zbliżyła do niedźwiedzia, parszkając i sapiąc. Ten otworzył czerwoną od krwi paszczę, przewrócił swymi małymi oczami i cofnął się ostrożnie pod ścianę areny. Po chwili pantera rzuciła się na niedźwiedzia, mimo swej rany. Ten opierając się plecami o ścianę, przyjął wroga z otwartymi łapami. Rozegrało się bardzo pasjonujące widowisko. Oba potężne zwierzęta chwyciły się łapami i zębami; padły na ziemię i tarzaly się po piasku, wznosząc przy tym gęstą chmurę pyłu. Futro pantery stanowiło dla niedźwiedzia bardziej dostępną powierzchnię, niż jego kudłate futro dla przeciwniczki; niedźwiedź zanurzył tylną łapę w ranie wroga i ze złością grzebał w jej wnętrznościach. Pantera wydała straszny ryk, podczas gdy u niedźwiedzia nie było słyhać najmniejszego mruczenia. Pantera zwinęła się, rozległo się tępe, jęczące rżenie; potem zapadła cisza, przerywana trzeszczącym łamaniem i gruchotaniem kości. Niedźwiedź zmiażdżył czaszkę swej przeciwniczki, aby pożreć jej mózg.

Głośne okrzyki nagrodziły zwycięzcę za jego waleczność. Nie dbał jednak o oklaski, lecz wycofał się po zjedzeniu mózgu do narożnika obok klatki.

Teraz otworzyła się brama zewnętrzna, prowadząca z dziedzińca na ulicę, i pod galerią maharadży wprowadzono słonia. Był przeznaczony do walki z panterą. Sądzone, że to ona pokona niedźwiedzia.

— Jak ci się podoba nowy bohater? — spytał radża.

— Wspaniałe zwierzę! — odpowiedziałem — Ale byłoby lepiej, gdyby to była bohaterka.

— Dlaczego?

— Czyż słonice nie są dzielniejsze od słoni?

— Tak, ale ten jest moim najlepszym słoniem do polowania.

— Czy walczył już kiedyś z niedźwiedziem?

— Nie.

— To w takim razie wynik jest wątpliwy, gdyż nie zna usposobienia niedźwiedzia.

— O, to zwierzę jest nie tylko dzielne, ale także mądre i ostrożne Gruboskórny nie miał przewodnika na grzbiecie, był więc zdany tylko na siebie. Ujrzał niedźwiedzia, zatrąbił, wzywając go do walki, a kłami podrzucił piasek. Potem kroczył ostrożnie w stronę mistrza. Zdawało się, że ten nie ma ochoty na drugą walkę, biega wokół areny i wtedy okazało się, że ma na grzbiecie i prawym boku nieznaczące rany. Słoń miał go na oku.

Nagle niedźwiedź zatrzymał się; jeszcze nigdy nie walczył z kim przeciwnikiem i tylko dlatego zrobił tę rundę, aby go poznać; wszystkich stron. Teraz zakończył obserwację i miał gotowy plan. Wzniósł się na tylnich łapach.

Słoń odebrał to jako wyzwanie i przypuścił atak. Trąbę, którą mógł łatwo zranić, trzymał wysoko w górze, podczas gdy kły opuścił, aby mógł na nie nabić wroga. Niedźwiedź natomiast zastosował tę samą metodę, co poprzednio i rzucił się na ziemię, tak że gruboskórny przeskoczył go. Zanim był w stanie zatrzymać się i odwrócić, niedźwiedź złapał już tylną łapę kolosa, wbił swe pazury w mięso i zaczął wspinać się po nodze.

Słoń ryknął i popędził wokół areny, jęcząc i trąbiąc z wściekłości. W ten sposób chciał zrzucić z siebie wroga, którego nie mógł dosięgnąć trąbą. Szpony niedźwiedzia były zbyt długie i ostre; pewnie ulokowały się w kupie mięsa.

Wtedy to udręczone zwierzę wpadło na pomysł, który mógł je uratować. Niedźwiedź dosięgał już swymi przednimi łapami tylnej części pleców, był już najwyższy czas, aby się od niego uwolnić. Słoń zbliżył się więc tyłem do bariery otaczającej arenę i próbował, uderzając o nią, rozgnieść przeciwnika.

Było to uderzenie z niesamowitą siłą; cała budowla zadrżała: drewniane kolumny, na których opierała się trybuna dla kobiet, nie wytrzymały, okrzyk przerażenia rozległ się z wielu gardeł, rusztowanie z obydwoma kobietami obniżyło się i załamało.

Olbrzym osiągnął swój cel. Zrzucił przeciwnika, ale sam był tak ranny i poszarpany, że pędził oszalały przed siebie. Niedźwiedź też odniósł znaczne obrażenia, lecz stał zadowolony na czworakach i spokojnie obserwował ruiny trybuny, pod którymi leżały przygniecione dwie kobiety.

Wszyscy siedzieli sparaliżowani strachem. Tylko my dwaj, maharadża i ja, popędziliśmy schodami w dół na arenę. Wściekły słoń zauważył nas i zwrócił się w naszą stronę, wydając przy tym wrogie odgłosy. Podniósł trąbę, zamierzając zabić radzę uderzeniem, ten jednak zdołał uskoczyć w bok, co go uratowało. Musiał się jednak wycofać.

Mnie udało się przemknąć koło niedźwiedzia.

— Zabij niedźwiedzia, a królestwo będzie twoje! — zawołał maharadża.

Wszyscy wstrzymali oddech i zapanowała taka cisza, że można było usłyszeć nawet najmniejszy szmer. Znajdowałem się między szalejącym za mną olbrzymem, a stojącym przede mną niepokonanym niedźwiedziem. Pospieszyłem w jego stronę, uzbrojony tylko w szpadę. Ściągnąłem z głowy turban, zerwałem ładny kaszmirowy szal, będący nakryciem głowy, owinąłem go wokół ramienia i prawą ręką sięgnąłem po szpadę.

Potwór podniósł się, otworzył paszczę, a gdy szpic szpady dotknął jego piersi, rozłożył przednie łapy, celem wykonania śmiertelnego uścisku. W tym samym momencie włożyłem mu stal w serce, a ramię ochraniane kaszmirem do paszczy; runęliśmy oboje i tarzaliśmy się przez parę chwil w piasku.

Uścisk mistrza Petza był tak silny, że kiedy już wydostałem się spod niego, byłem na wpół ogłuszony. Musiałem się także zranić, ponieważ plecy i pierś sprawiały ból. Ale teraz dopiero zbliżało się największe niebezpieczeństwo. Gruboskórny odpędził już jednego Wroga i zbliżał się teraz w poszukiwaniu następnego. Spostrzegł mnie, gdy podnosiłem się z ziemi, więc ruszył na mnie z wysoko Podniesioną trąbą. — Teraz nadchodzi śmierć! — Była to moja jedyna myśl w tym momencie. Już myślałem, że roztrzaska mnie swoją trąbą, wtem oprzytomniał na widok niedźwiedzia. Zagrożająca trąba opadała z wolna, aby obadać niedźwiedzia, a ponieważ ten ze szpadą w piersi leżał martwy, zwierzę obdarzone przez naturę mądrością uznało, że jestem jego wybawcą. Wydał okrzyk triumfu, chwycił mnie delikatnie trąbą, podniósł w górę na swój grzbiet, nabił niedźwiedzia na potężne kły i tak oto niósł nas obu, zwycięzcę i pokonanego, kilka razy wokół areny. Głośne oklaski rozległy się na widowni. Zauważyłem, że maharadża jako pierwszy podążyła w stronę obu kobiet. Wyglądało na to, że nie odniosły obrażeń, gdyż

przekazał je nadbiegającym służącym i natychmiast zwrócił się w stronę słonia, który w końcu rozpoznał w nim swego pana i pozwolił mu się popieścić.

— Jesteś ranny? — spytał mnie.

— W lewe ramię — zawołałem z grzbietu słonia — i trochę mam pogniecione żebra, ale to nie ma znaczenia.

— Jesteś bohaterem, jakiego jeszcze nigdy nie znałem. Zsiadaj, abym mógł opatrzyć twe rany.

Zsunąłem się po szyi olbrzymia i właśnie miałem zamiar skierować się z księciem w stronę pałacu, kiedy ujrzałem generała i rotmistrza, kroczących w naszą stronę. Czego chcieli? Może mieli zamiar ścierać się ze mną, gdyż sądzili, że walka z niedźwiedziem osłabiła mnie? To byli w błędzie. Rzeczywiście rotmistrz zwrócił się do mnie.

— Panie poruczniku, proszę o udanie się ze mną do mieszkania jego ekscelencji.

— A potem?

— Posiada pan tak mało bystrości, iż nie rozumie, że chcę pana aresztować?

— Nie pan jest od tego.

— Miarkuj pan swój ton, inaczej pokażę panu, jak należy ze mną rozmawiać i jak należy traktować zdrajców i zbiegów! Prawda, mylord?

— *Yes.*

— W takim razie ja pokażę panu, jak należy traktować oszczercę! — uniosłem się gniewem.

— Co macie na myśli?

— Stwierdziliście dzisiaj, że zdradziłem maharadżę. Proszę o udowodnienie prawdziwości tego stwierdzenia.

— Nie muszę panu niczego udowadniać. Prawda, ekscelencjo?

— *Yes.*

— Ach tak! Wobec tego zwalniam pana z pokazania mi, w jaki sposób należy z nim rozmawiać, gdyż znam ten sposób dokładnie. Z panem trzeba rozmawiać, jak z każdym hultajem, mianowicie tak!

Zamierzyłem się i uderzyłem rotmistrza zaciśniętą pięścią w twarz, aż zatoczył się w tył.

— Człowieku! Czy wiesz, czym ryzykujesz? — ryczał Mericourt.

— Niczym! Napiętnowanie tchórza, to żadne ryzyko!

Rotmistrz penił się. Wyciągnął szpadę.

— Ach, mam cię w końcu!

Mówiąc te słowa wyciągnąłem szpadę z piersi leżącego obok niedźwiedzia i zwróciłem się w stronę mego przeciwnika. Ten zrobił zdziwioną minę i powiedział:

— Prawda, mylord? Podporucznik von Gollwitz jest zdrajcą.

— *Yes.*

— A prawdziwy oficer i szlachcic nie może bić się ze zdrajcą.

— *Yes.*

— Zatem aresztujmy go, ekscelencjo!

— *Yes.*

— Słyszałeś. Chodź z nami!

— Tchórze! Tak jeden, jak i drugi! Rotmistrz i generale, jeżeli jeszcze za minutę będziecie w pobliżu, to uczynię z wami to, co z niedźwiedziem.

Wyciągnąłem zegarek z kieszeni.

— Mylord, on jest szalony! — wahał się rotmistrz.

— *Yes.*

Aresztujemy go innym razem!

— *Yes.*

Odwrócili się i zmierzali ku swemu mieszkaniu.

— Co powiesz o tych ludziach, sahibie? — spytałem.

— Gdyby nie byli posłami Anglii, to bym ich kazał wygonić z tego kraju. Chodź na górę! Jesteś bardzo blady. Krew cieknie ci z ramienia, twoje życie może z nią odpłynąć.

Udaliśmy się do pałacu. Dopiero teraz poczułem osłabienie i ból klatki piersiowej, która ucierpiała przez potężny uścisk niedźwiedzia. Gdy wszedłem z radzą do mej komnaty, padłem nieprzytomny na sofę.

* * *

O mało co byłbym zapomniał, jaki smutny dzień jest jutro, gdyż moje myśli wędrują gdzieś w przeszłość. W kalendarzu, jaki sobie sporządzam co roku, zaznaczam go trzema krzyżykami. Jutro niczego nie napiszę w moim dzienniku, jutrzejszy dzień jest żałobą, gdyż jutro jest piętnasta rocznica śmierci mojej Rabbadah.

Niepokój podpowiada mi, abym jak najszybciej ukończył mój pamiętnik, muszę więc dzisiaj skończyć opis smutnych wydarzeń, które cios po ciosie spadły na Augh i rodzinę władców.

Gdy po raz pierwszy ocknąłem się z omdlenia, była noc. Wydawało mi się, że jestem sam w pokoju. Zasłony przy moim łóżku były zasunięte i przez nie padało na moje łóżko światło lampy.

Musiałem sobie najpierw przypomnieć, co się ze mną stało. Gwałtowny ból w piersi i ramieniu przywołał na pamięć ostatnie wydarzenia.

Wtem między mną a światłem przeszedł cień. Kotara rozchyliła się i ukazała się biała rączka, a potem twarz, której piękność osłepiła mnie tak bardzo, iż musiałem przymknąć zmęczone powieki.

Była to Begum. Myślała, że jestem nieprzytomny i podała łyżeczką wzmacniający napój. Potem wytarła mi pot z czoła i policzków, czułem przy tym jej oddech. Jej twarz musiała być blisko mojej. Nie mogłem się powstrzymać i musiałem otworzyć oczy.

Zauważyła to i cofnęła się z okrzykiem łączącym strach i radość.

— Rabbadah!

— Jesteś przytomny, znowu mówisz!

— Jak długo spałem?

— Pięć dni.

— Pięć dni!?

Nie mogłem w to uwierzyć. Zdawało mi się, jakbym przed niespełną godziną zamknął oczy.

— Tak, pięć dni. Byłeś bardzo chory.

— A ty jesteś przy mnie!

Zaczerwieniła się.

— Nikt nie może się o tym dowiedzieć. Wiedzą o tym tylko lekarz, twój służący i Aimala.

— Aimala? Kto to taki?

— Żona mojego brata.

— Ta, która... ach, ta, która z tobą spadła?

— Tak, to ona. Właśnie była przy tobie. Uratowałeś nam życie i z chęcią pielęgnujemy cię w nocy. Nie mów nic o tym radzy! Zmęczyłeś się już?

— Nie. Gdzie jest generał Haftley?

— Zniknął w tym dniu, w którym nas uratowałeś.

— Powróci z wojskiem, a Augh nie będzie uzbrojone. Mój Boże, wróć mi zdrowie i siły!

— Uspokój się! Nie wolno ci się denerwować. Och, zakazano nam z tobą rozmawiać, jak się obudzisz. Muszę poprosić lekarza o wybaczenie i natychmiast przysłać go do ciebie.

— Zostań! — prosiłem błagając; ale ona szybko opuściła pokój. A ja po kilku minutach znowu zasnąłem.

Był to sen przywracający zdrowie, a on, jak wiadomo, trwa długo. Gdy ponownie się obudziłem, czułem się na tyle wzmocniony, że mogłem wstać i ubrać się bez niczyjej pomocy.

Nie było nikogo, kto by mi tego zabronił. Ale gdy chciałem otworzyć drzwi, aby udać się do parku, wszedł radza.

Ze zdziwieniem popatrzył na mnie i potrząsnął głową.

— Cieszę się, że jesteś prawie zdrowy, ale będziesz musiał przez jakiś czas pozostać w tym pokoju. Twoja klatka piersiowa bardzo ucierpiała. Jesteś bohaterem, muszę cię zatrzymać przy sobie.

— Będę przy tobie do końca mych dni.

— Dziękuję ci za to, gdyż mogę cię potrzebować, nawet gdy leżysz w łóżku chory.

— W jaki sposób mógłbym ci teraz służyć?

— Swoją radą. Anglicy zbliżają się do naszej granicy.

— Ach, już teraz?

Niech będą przekłeci! Wszystko było przygotowane do wojny, zanim ten nędzny lord Haftley przybył do mnie. To poselstwo zostało wysłane tylko w tym celu, aby wymusić na mnie rzekomy powód do wrogości. I to im się udało.

— Są silni?

— Tak silni, że dorównać im mogę tylko z pomocą moich sąsiadów. Wysłałem jak najszybciej posłańców do nich.

— A twoi wojownicy?

— Wszyscy zostali powołani pod broń. Och, gdybym tak miał artylerię!

— Będziesz ją miał!

Radza podskoczył zdumiony.

— Ja? Skąd?

— Odbiorę ją Anglikom i dam tobie. Daj mi tylu wojowników, ilu potrzebuję, a pokonam Anglików ich własnymi armatami!

— Ile armat potrzeba?

— Tego jeszcze nie wiem. Nie mogę już chorować, muszę walczyć o ciebie, o siebie i...
Augh!

Zamiast tego ostatniego słowa omal nie wypowiedziałem innego.

— Ale ty jesteś jeszcze za słaby!

— Nie, nie jestem za słaby. Spójrz! Czy jestem chory?

Zdjąłem moją szpadę ze ściany i wywijalem nią wokół głowy z taką zręcznością, iż nikt by nie przypuszczał, że dopiero co uciekłem śmierci.

— No dobrze — powiedział radza. — Potrzebuję cię i dlatego pominię zalecenia lekarza. Chodź do mnie, aby wziąć udział w naradzie.

Gdy wszedłem, zobaczyłem zgromadzonych wszystkich członków rady wojennej. Powitano mnie z najwyższym szacunkiem i wkrótce zauważyłem, że pałac stanowi główną kwaterę, do której co minutę docierają meldunki i stąd wychodzą rozkazy.

Wszyscy dyspozycyjni wojownicy zostali wysłani już na wroga. Dotychczasowe przygotowania uznałem za słuszne, skoro można było liczyć na pomoc państw ościennych. Poprosiłem o pozwolenie natychmiastowego dołączenia do wojska w celu zdobycia informacji, od których zależne były dalsze posunięcia.

Moje życzenie zostało przyjęte. Maharadża chciał później sam dołączyć do swych oddziałów i przejąć naczelne dowództwo.

Podczas narady zapadł wieczór. O północy miałem opuścić stolicę, razem z dwustoma przybyłymi jeźdźcami. Przed wyjazdem, po raz pierwszy, postanowiłem skorzystać z zaproszenia Rabbadah, aby ją odwiedzić.

Upewniwszy się, że radza mnie nie potrzebuje, wymknąłem się do ogrodu i dotarłem szczęśliwie do altany. Dałem znak, wewnątrz rozległo się natychmiast gruchanie turkawki.

Z bijącym sercem pokonałem kilka schodów, odchyliłem kotarę i wszedłem do ośmiokątnej komnaty urządzonej z takim przepychem, na jaki tylko orientalny książę może sobie wymyślić. Na aksamitnej poduszce spoczywała istota, która jakby zstąpiła z niebios Mahometa, aby ucieleśnić najpowabniejsze wyobrażenia o piękności. Nawet mistrz wśród malarzy nie potrafiłby wyczarować tej kobiety na płótnie, żaden poeta, nie byłby w stanie należycie opiewać tego boskiego obrazu. Przyjęła mnie z pełnym wdzięku uśmiechem i podała rękę.

— Wiedziałam, że przyjdiesz.

— Skąd?

— Przysłuchiwałam się przez kratę waszym obradom. Usiądź! Usiadłem obok niej, a ona pozwoliła mi, abym trzymał jej dłoń.

— Czy nikt nas tutaj nie zaskoczy? — spytałem.

— Nie. Postawiłam na straży moją służkę. Da mi znak, gdyby ktoś nadchodził.

— Czy już czas, abym sobie poszedł?

— Niekoniecznie. Ta altana ma tylko to jedno pomieszczenie, ale ma pewne kryjówki. Została zbudowana z przeznaczeniem na miejsce ucieczki dla władcy i jego rodziny w razie niebezpieczeństwa. Idziesz spotkać się z wojskiem?

— O północy.

— Ślubowałeś być ze mną szczery, więc powiedz mi prawdę, czy obawiasz się o Augh, czy jesteś dobrej myśli!

— Jeszcze ani jedno ani drugie. Jak tylko zakończę zbieranie informacji, dam ci odpowiedź. Czy nie mylimy się, co do sąsiadów?

— Nie sędzę.

— Och, Anglicy są przebiegli i umieją pieniędzmi i wspaniałymi obietnicami omamić nawet nieugiętego przeciwnika. To byłoby straszne, gdyby Augh zostało napadnięte z innej strony, w czasie, gdy my wychodzimy naprzeciw Anglikom.

— Będziemy się bronić.

— Czym?

— Naszymi własnymi rękami!

— Wierzę ci. Ale musielibyście umrzeć, zanim sprowadzilibyście pomoc.

— Umrzeć? — zaprzeczyła głową. — Nie. Ta altana zapewni nam bezpieczne schronienie.

Badawczym wzrokiem rozejrzałem się po pokoju, ale nie odkryłem niczego, co byłoby w stanie potwierdzić to stwierdzenie. Uśmiechnęła się i zażartowała:

— Nawet gdyby całe Augh splądrowano, znajdziesz nas i nasze skarby tutaj, nawet gdyby altana została spalona. Musisz tylko wołać moje imię i naśladować słowika.

— To mnie uspokaja, chociaż mam nadzieję, że do tego nie dojdzie. Ale teraz muszę już iść. Północ już blisko.

Podniosła się razem ze mną i odwiązała z bioder swój pas.

— Walczysz za nas i także za mnie. Weź ten szal ode mnie, niech nosi twoją broń i będzie twoim talizmanem w każdym niebezpieczeństwie!

— Nie zdradzi nas?

— Radza go nie zna. Noś go spokojnie!

Opasała tym kosztownym darem moje biodra i podała mi prawą rękę na pożegnanie.

— Jedź tam i wracaj zwycięsko!

Ze wzruszenia nie byłem w stanie nic powiedzieć, wyjąkałem tylko:

— Żegnaj!

Altanę zostawiłem w tyle i pół godziny później, pożegnawszy radzę, opuściłem miasto. Księżę powierzył mi swego najlepszego konia i na czele mojego małego oddziału pojechałem na wschód.

Silne konie pędziły kłusem przez rozległą równinę. Nikt nie odzywał się głośno, nawet mało szeptano.

Wtem z naprzeciwka rozległ się szybki tętent. Trzech jeźdźców chciało nas ominąć.

— Stój! — krzyknąłem. — Dokąd?

— Do Augh.

Ci trzej jeźdźcy dopiero teraz spostrzegli, że mają do czynienia z całym oddziałem. Zatrzymali swe konie.

— Do kogo?

— Do maharadży.

— Skąd?

— Z pola bitwy.

— Z pola bitwy? Czy już się rozegrała jakaś bitwa? Masz chyba namyśli jakieś spotkanie, małą potyczkę!

— Nie, bitwę.

— Jak się zakończyła?

— Anglicy zwyciężyli. Przybyli wcześniej, niż myśleliśmy; ze wszystkich stron, a my mieliśmy tylko kawalerię, żadnych armat, żadnego dowódcy. Wojska Augh są rozbite i przepędzone na cztery wiatry. Kim jesteście?

— Jestem ministrem wojny władcy i chciałem do was jechać.

— O, sahibie, nie myśl, że byliśmy tchórzami! Popatrz na nasze rany! Dzielnie walczyliśmy, ale nie mogliśmy stawić czoła przeważającemu wrogowi.

— Wierzę wam. Ci Brytyjczycy napadli na nas zdradziecko, zanim zdążyliśmy się uzbroić do walki. Gdzie rozegrała się ta bitwa?

— Pod Sobrah.

— Daleko stąd?

— Dojedziesz tam w ciągu ośmiu godzin. Ale my jechaliśmy tylko pięć, by szybko przekazać wiadomość.

— Kiedy rozpoczęła się walka?

— Dzisiaj po południu.

— Więc Anglicy są oddaleni od stolicy około dziewięciu godzin. Spieszcie, tam i powiedzcie radży, że będę się starał ściągnąć do siebie rozpierchłych po okolicy, aby z nimi osłaniać stolicę. Żegnajcie!

Już chciałem kontynuować jazdę w przyspieszonym tempie, gdy powstrzymał mnie okrzyk przerażenia.

— Co jest?

— Spójrz na ogień tam na zachodzie, sahibie!

Spojrzałem za siebie. Właśnie w okolicy, z której jechaliśmy, ukazał się zaczerwieniony horyzont, najpierw wąski pas, potem z każdą chwilą coraz szerszy, aż przybrał rozmiary budzące przerażenie.

— To straszny ogień! To pożar jakiegoś dużego miasta! Zagotowało we mnie. Przede mną przegrana bitwa z rozproszonym wojskiem, a za mną... mój Boże, tak, to nie mogło być nic innego, jak paląca się stolica Augh. Spiąłem konia ostrogami, a ten wzniósł się w górę.

— W tył zwrot! Wracamy! Napadnięto na Augh i podpalono je. Jedźcie szybko, jak to tylko możliwe i trzymajcie się razem! Była to jazda, jakby za nami szalało rozpętane piekło. W pół godziny pokonaliśmy odcinek, na który normalnie potrzeba aż dwóch godzin. Im bliżej byliśmy, tym bardziej mieliśmy pewność, iż nie myliliśmy się. Większość miasta stała w płomieniach. Nie było to na skutek jednego pożaru, jaki wybuchł w mieście. Niebawem ujrzelśmy jadących w naszą stronę jeźdźców.

— Sułtan z Symore napadł na Augh, a radża z Kamooh nadciąga z zachodu.
Zazgrzytałem zębami.

— Od dawna przygotowywana i utrzymywana w tajemnicy podłość! Gdzie jest Madpur Singh, maharadża?

— Tego nikt nie wie. Nikt go nie widział.

— Czy wróg jest silny?

— Tysiące ludzi.

— Kto idzie ze mną, aby ratować radzę?

— Wszyscy!

— Dobrze! Zróbcie szeroką linię! Każdy napotkany przez nas uciekający jeździec będzie zatrzymany i musi iść z nami!

Gdy zbliżaliśmy się do miasta, oddział nasz liczył czterystu dobrze uzbrojonych mężczyzn.

— Teraz prosto do pałacu radży! Naprzód! Podążyliśmy jak wichura do miasta, ja na przedzie, inni za mną.

Wróg nie składał się już na szczęście ze zwartych oddziałów, lecz rozproszył się, aby plądrować. Tylko tu i tam padał strzał lub jakiś mniejszy oddział przeciwstawiał się nam, ale konie z łatwością przeskakiwały takie przeszkody. Mój koń dowiódł, że był najszlachetniejszej krwi.

Im bliżej pałacu, tym wróg stawał się gęściejszy, a przed samym pałacem rozegrał się zagorzały pojedynek.

— Hurra, na nich i do środka! — zawołałem, biorąc konia w górę i wywijając szablą.

Wróg zawahał się zaskoczony, ale gdy się zorientował, z jak małą liczbą przeciwników miał do czynienia, otworzył morderczy ogień, który natychmiast przerzedził moje szeregi. Dotychczas już wielu padło, ale teraz wyglądało na to, że jesteśmy całkowicie skazani na zagładę.

Zobaczyłem kilku spośród sług, którzy zgromadzili się i walczyli na dziedzińcu. Niczym szatan popędziłem w stronę bramy na ich przeciwników, których udało mi się rozpędzić.

— O, sahibie, wróciłeś! — rozległo się w moją stronę.

— Gdzie radża?

— W ogrodzie.

— A harem?

— Z nim.

— Uciekajcie tam także! Gdzie indziej nie ma ratunku!

Nie zsiadając z konia popędziłem schodami do góry, przez korytarz w pałacu, gdzie wielu wrogów powaliłem na ziemię, a potem do ogrodu. Także tutaj wrzała walka i rozbrzmiewał przejmujący krzyk wściekłości i zwycięstwa. Rabbadah mówiła o jakiejś kryjówce w altanie. Maharadża musiał tam być, jeżeli jeszcze żył.

Dotarłem do części ogrodu przeznaczonych dla kobiet, po drodze powalając wroga na ziemię lub rozdeptując koniem. Obejrzałem się. Pięciu z moich jechało za mną i dopędzili mnie. Nie bacząc na wspaniałe zieleńce, skierowaliśmy się w blasku płonącego pałacu do altany. Lecz nagle pociągnąłem konia do tyłu. Przede mną leżały dwa trupy, mężczyzny i kobiety. Poznałem natychmiast maharadżę i jego małżonkę, Aimalę.

Byli podziurawieni od kul i pchnięć dzidą. Ale co się stało z Begum?

— Ukryjcie te zwłoki! Podnieście je!

Po tym rozkazie przeskoczyłem przez kilka żywopłotów i dotarłem do małego placu, na którym była wzniesiona altana. Na widok tego, co zobaczyłem, popadłem w przerażenie.

Na jednym ze stopni prowadzących do altany stała Rabbadah, roniąca się ze wszystkich sił przed garbatym Scirimarem. Nie była ranna; oszczędzono ją. W jakim celu, miałem się zaraz dowiedzieć. Dwaj wrogowie złapali ją równocześnie i wyrwali jej broń.

— Gdzie jest skarb maharadży? — wrzeszczeli.

— Szukajcie go! — odpowiedziała spokojnie.

Rozległ się okrzyk wściekłości i pogróżek.

— Ty jesteś Begum. Wiesz, gdzie znajduje się skarb. Powiedz, inaczej umrzesz w strasznych cierpieniach.!

— Torturujcie mnie!

— Zapalcie jej najpierw turban!

Pięciu ją trzymało, a szósty przyniósł ogień, aby zrealizować koszmarną pogrózkę.

— Rabbadah!

Ledwo wydałem ten okrzyk, już byłem wśród wrogów, którzy zaskoczeni wycofywali się. Wykorzystałem ten moment.

— Do mnie na koń!

Dwa ostre cięcia szablą, skręt konia w bok, szybki chwyt, ukochana leżała przede mną na koniu. Natychmiast pojawiło się moich pięciu towarzyszy, dwaj z nich ze zwłokami maharadży i jego małżonki, które wieźli przed sobą na koniu.

— Za mną, przez mur do rzeki! Naprzód!

Ruszyliśmy do przodu jak dzicy. Wiedziałem o niższym miejscu w murze, które dobry jeździec był w stanie przeskoczyć. Popędziłem najpierw do części ogrodu przeznaczonej dla mężczyzn i potem prosto w to miejsce. Inni pognali za mną.

— Rabbadah, nie przestrasz się! Wpadamy do rzeki!

Wziąłem karego w górę, a bystre zwierzę przeleciało jak strzałą prosto na środek rzeki. Jeszcze pięć równie udanych skoków, potem skierowaliśmy się na przeciwległy brzeg, gdzie dotarśmy bez przeszkód, chociaż trzy konie niosły podwójny ciężar.

— Dokąd teraz, sahibie? — spytał jeden z mężczyzn.

— Zejdźcie i pozwólcie koniom wypocząć. Przez krótki czas będziemy tutaj bezpieczni. Mamy przed sobą trudną jazdę i musi jeszcze raz przedostać się przez wodę.

Zsiadłem z konia, Rabbadah również, a inni szli za mną, zachowując przyzwoitą odległość. Begum była przemoczona. Nie zwracała uwagi na ociekającą odzież, przylegającą teraz do jej ciała. Rzuciła się na zwłoki brata i bratowej i zraszała je gorącymi łzami.

Potem podeszła do mnie i podała mi rękę.

— Wyjechałeś. Jak to się stało, że wróciłeś jako wybawca w tej strasznej chwili?

— Zobaczyłem blask ognia i przeczuwałem, co się stało. Dlatego zawróciłem.

— Dziękuję ci! Czy wszystko stracone?

— Wszystko! Anglicy rozgromili nas po południu; sułtan z Symore zajął Augh, a z zachodu nadciąga radża z Kamooh.

Złożyła dłonie i milczała. A potem podniosła prawą ku górze. Stała tak, niczym anioł, oświetlona płomieniami płonącego miasta.

— Niech Anglicy będą przekleńci! Kłamią i oszukują, niosą pożogę, plądrują i mordują! Niech będą przekleńci, tysiąc razy przekleńci!

Nastała posępna cisza. Po chwili spytałem:

— Co się stało dzisiaj po moim odejściu? Opowiedz!

— Nie teraz. Nie potrafię myśleć, nie potrafię opowiadać. Mogę tylko przeklinać, złorzeczyć tym Anglikom i tym diabłom z Symore i Kamooh, którzy udawali przyjaźń, a

jednak bratają się z wrogiem, aby otrzymać nasze bogactwa. Żaden mogoł, żaden szach i żaden sułtan, ani żaden radża nie mają takich skarbów jak maharadża Augh. Oni wiedzieli o tym. Chcieli mieć te pieniądze, ale ich nie dostaną. Maharadża Augh, najszlachetniejszy i najsprawiedliwszy z królów, nie żyje, zdradzony przez Anglików i zdradziecko zamordowany przez swoich przyjaciół. Jego skarby należą do Begum i nigdy nie dostaną się w ich ręce! Przysięgam to na duchy zamordowanego brata i bratowej!

* * *

Nie jestem w stanie dalej pisać, jestem zbyt rozdrażniony. Wydaje mi się, jakbym widział przed sobą osłupiałe oczy zamordowanego maharadży i jego żony. Nie dają mi one spokoju.

Muszę wstać i iść nad morze. Może wtedy, gdy usłyszę szalejące fale, opuszczą mnie te blade cienie, które przywołałem, a moje skołatane nerwy uspokoją się. Pojutrze będę pisać dalej.

Z tego pojutrze zrobiło się czternaście dni. Kolejną rocznicę śmierci mojej Rabbadah, jak co roku, spędziłem przy jej trumnie.

A potem ogarnęła mnie tęsknota ze swoją nieodpartą siłą, tęsknota za wyzwoleniem z mojego więzienia. Zrobiłem znowu to samo, co] zaniechałem przed wielu laty w rozpacz, siedziałem osiem dni od świtu, gdy słońce na wschodzie wynurzało się z morza, aż do zapadającej nocy, na najwyższym szczycie wyspy i kierowałem lornetę; okrętową w dal, w nieskończoną przestrzeń. Moje stęsknione oczy i przeszukiwały każdy cal za jednym jedynym punktem, który mógłby rozwinąć się w żagiel, tysiąc razy skakałem na trzęsących się nogach w górę, gdy słońce mnie czarowało optycznymi złudzeniami, jak gdyby wiatr poruszał żagiel, po tysiąckroć padałem zawiedziony na ziemię. A gdy zapadał wieczór, ściągałem góry suchego drewna na szczyt i przez całą noc podtrzymywałem potężny ogień, jaki musiałby zauważyć każdy okręt w promieniu pięćdziesięciu mil. Dlaczego tak postępowałem? Przez lata na każdym kroku towarzyszyła mi tęsknota. Kładła się ze mną na spoczynek, a rano stała wypoczęta obok mego łóżka do chwili, aż jej cień zniknął powoli, w morzu rozczarowania, a ostatnia nadzieja rozbijała się o podwodne skały. I teraz też doświadczyłem, że tęsknota jednak nie umarła. Bardziej żywotna niż kiedykolwiek podniosła się ze swego falistego grobu. Stoi przede mną i wskazuje palcem na zachód, na zachód, gdzie leży moja ojczyzna, gdzie na marzeniach spędziłem me dzieciństwo i gdzie znam pewne miejsce, które było moimi stronami rodzinnymi i które do dzisiaj jest moją małą ojczyzną.

Rezultat mojego ośmiodniowego wypatrywania przyniósł taki sam rezultat, jak przez wszystkie lata. Nie ujrzałem nawet ani sążnia żagla. A jednak, gdy w końcu zmęczony wypatrywaniem zszedłem do mej chaty, nie byłem wcale zde gustowany, byłem bardziej, niż kiedykolwiek przekonany, że mógłbym jeszcze drugie dwadzieścia trzy lata czekać nadaremnie na pomoc i oswobodzenie. Czułem, że nie dam rady tak długo wytrzymać w mym osamotnieniu. Ale co przeszkadzało mi zerwać moje kajdany i szukać uwolnienia się własnymi siłami? Jeszcze czułem się dostatecznie silny, aby podjąć to ryzyko. A gdyby się miało nie udać, to byłoby to przecież obojętne, czy moje zwłoki będą leżały na dnie morza, czy zbutwieją w jakimś zakątku mej wyspy. I ten plan przybierał w moim mózgu coraz wyraźniejsze kształty, a ja dziwiłem się samemu sobie, że ta myśl przez wszystkie minione lata wydawała mi się nierealna. Dopóki żyła Rabbadah, mogłem się usprawiedliwiać, gdyż za żadną cenę nie narażylbym jej na niebezpieczeństwo. A samemu podjąć tę próbę i odejść od mej żony, tego też bym nie zrobił. Ale potem, gdy moja Rabbadah odeszła, a samotność rozpostarła nade mną swoją beznadziejność, to wtedy powinienem był o tym pomyśleć. Czy śmierć mej żony tak mnie zniechęciła i wyciągnęła wszelką siłę z moich mięśni? Teraz, kiedy to opisuję, uświadamiam sobie, że stałem się tutaj na wyspie zupełnie inny, niż byłem w Indiach. Jak często właśnie Rabbadah, moja żona, pocieszała i wspierała mnie w godzinach smutku, które nie rzadko mnie nachodziły. Bez niej i bez pamięci o jej silnej, heroicznej kobiecości już dawno popełniłbym samobójstwo, jak mój nieszczęśliwy poprzednik. Czy to ona każe mi zerwać kajdany i sprawia, że nadzieja odzywa się w mej piersi?

Gdy ósmego dnia kładłem się na spoczynek, została już podjęta decyzja o opuszczeniu wyspy i szukaniu mej drogi przez daleką pustynię wodną, z powrotem do ludzi!

Nazajutrz z samego rana wyruszyłem z siekierą i piłą, aby rozpocząć budowę żagló wki.

Nie jestem marynarzem, a tym bardziej budowniczym okrętów, ale nauczyłem się radzić sobie i znam się na konstrukcji łódki, jaką potrzebowałbym do mych celów. Dzisiaj błogosławię godzinę, w której zdecydowałem się zabrać na moją wyspę bibliotekę kapitana i narzędzia okrętowe. Najpierw patrzyłem na nie obojętnie, ponieważ nie miałem pojęcia o posługiwaniu się nimi, a jeszcze mniej rozumiałem z dziwnych rzeczy, o których traktowały książki kapitana. Ale gdy po raz ostatni pozeglowałem do wraku, aby zabrać jeszcze coś pożytecznego, ulitowałem się nad tymi rzeczami, nie dla korzyści, jakich mógłbym się po nich spodziewać, lecz z powodu ich dużej wartości. I nie żałowałem, że zabrałem je ze sobą. W długich dniach samotności tak często czytałem te książki, że ich treść znałem prawie na pamięć. Pomogły mi przetrzymać śmiertelną nudę i dzięki nim potrafiłem określić sekstansem położenie mego więzienia z dużą dokładnością. Wiem teraz, co przedtem było mi obojętne, że

moja wyspa położona jest około dziewięćdziesiąt dwa stopnie czternaście minut na wschód od Greenwich i dziewięć stopni trzydzieści siedem minut na południe od równika. Teraz potrafię odróżnić nie tylko topsel od bramsla, lecz znam wiele innych rzeczy, które, jak sądzę, okażą się przydatne, kiedy będę wodować moją Własnoręcznie zbudowaną łódź.

Ale przede wszystkim uważam, iż wiem, w jakim stosunku mają do siebie przystawać części łodzi zdanej do podróży morskiej. Stara jolka nie nadaje się już do użytku, jest zmurszała i dziurawa, odważyłbym się popłynąć nią tylko na spacer po przybrzeżnych wodach. Dawniej wypływałem nią na otwarte morze i objeżdżałem moje małe państwo. Ale to było dawno temu, teraz tego rodzaju próba oznaczałaby igranie ze śmiercią.

Na mojej wyspie rośnie dużo drzew chlebowych okazałych rozmiarów. Jedno z nich wyszukałem sobie do mojego celu. Średnicy miała grubo ponad półtora metra. Drzewo stało w głębi lądu w dość dużej odległości od plaży. Nie było to łatwe, ściąć olbrzyma, mierzącego szesnaście metrów. Ale cóż to była za radość, gdy w końcu po czternastu godzinach pracy, leżało u moich stóp. Następnego dnia odciąłem koronę, po czym za pomocą siekiery chciałem nadać pniu określony kształt. Od czasu, kiedy musiałem ratować ładunek z okrętu, nigdy nie pracowałem tyle, co w ostatnich dniach. Piłowałem, heblowałem, waliłem, wycinałem, mierzyłem, obliczałem, nie miałem nawet czasu najedzenie. Na wałkach zsunąłem potem z grubsza obciosany pień na plażę. A potem nie miałem już sił.

Dzisiaj jest niedziela, dlatego nie pracuję. Nie byłbym też w stanie, gdyż czuję się wykończony. Za to chcę wykorzystać wolny czas i popchnąć moje rysunki.

* * *

Na północ od Augh wzdłuż Gangesu rozciąga się kilometrami gęsty dziewiczy las, ze względu na pnącza prawie nie do przebycia.

Tylko nieliczne, wąskie ścieżki prowadzą przez ten las, do jego środka, gdzie znajdują się ruiny jednej z owych hinduskich świątyń, z których wspaniałością mogą się zmierzyć tylko pozostałości olbrzymich świątyń na Jawie.

Następnego dnia po napadzie na Augh, wczesnym rankiem, posuwało się wąską ścieżką sześciu jeźdźców i jedna kobieta. Wijącą się ścieżka prowadziła do lasu Koleah. Na czele jechałem ja, były podporucznik w angielskich wojskach i późniejszy minister wojny maharadży Madpur Singha. Za mną podążała Rabbadah, Begum Augh, a potem pięciu jeźdźców, z których dwóch wiozło na koniach zwłoki.

— Byłeś tu już kiedyś? — spytała Begum.

— Jeszcze nigdy.

Można było poznać, że zatrwożyła się.

— I chcesz nam tu zapewnić schronienie?

— Mam potężnego przyjaciela w tym lesie i w tej ruinie.

— A gdzie go szukać?

— Nie wiem, ale wkrótce się dowiem.

Rozmowa znowu się urwała, aż dotarliśmy do miejsca, gdzie druga ścieżka łączyła się z pierwszą, przez co zrobiła się dwakroć szersza. Właśnie, gdy dotarliśmy do tego miejsca, wyszło z gęstwiny ze dwudziestu dziko wyglądających mężczyzn. Przy ich paskach wisiała straszna, dobrze mi znana pętla. Rabbadah wydała okrzyk przerażenia.

— Phanzegarowie! — wrzasnął z przerażeniem jadący za nią jeździec.

Zsunął się z konia i zniknął w gmatwaninie pnączy. Czterej pozostali poszli za jego przykładem. Nawet konie zostawili.

— Stać! — zawołał najbliższy z mężczyzn. — Kim jesteście?

— Przyjaciółmi — odpowiedziałem spokojnie.

Wyciągnąłem ząb krokodyla i pokazałem go.

— Ty jesteś przyjacielem. Kim jest ta kobieta?

— Mogę to powiedzieć tylko temu, kto mi dał ten ząb i do którego chcę teraz iść.

— Jak się nazywa?

— Nie podał mi swego imienia.

— Jesteś podejrzany. Zsiadajcie z koni i chodźcie za nami! O, dwa trupy! Co chcecie z nimi zrobić?

— Pochować tutaj.

— Do tego są inne miejsca. Poza tym jesteś Anglikiem albo Frankiem, bo u nas zwłoki się pali. Zaczynasz być coraz bardziej podejrzany. Naprzód!

Phanzegarowie wzięli nas do środka i poszliśmy dalej tą drogą, aż dotarliśmy do miejsca wolnego od drzew; na którym można było zobaczyć gigantyczne masy kamienia dawnej świątyni.

Za nami przyprawdzono konie i przywiązano je.

— Idźcie dalej!

Prowadził nas między olbrzymimi skalami i resztkami murów do wąskiego korytarza, ciągnącego się dalej pod ziemią. Musieliśmy iść po omacku. W pewnym momencie zatrzymał nas.

— Zaczekajcie tutaj! Nie wiem, czy szybko wrócę. Usłyszeliśmy jego trzy kroki, potem zrobiło się cicho.

— A jeśli on nas tutaj zostawił, aby nigdy nie wrócić! — szeptała Rabbadah.

— Nie martw się. Jesteśmy w dobrych rękach.

— Jesteś pewny?

— Tak pewny, jak tego, że oddałbym me życie tysiąc razy, zanim bym zezwolił, aby ci spadł włos z głowy. Posłuchaj!

Mur, o który się opieraliśmy, nie mógł być gruby, gdyż słyhać było kroki wielu osób i przytłumione głosy. Równocześnie unosił się zapach podobny do żywicy. Nagle rozległ się głośny, wyraźny głos. Poznałem ten głos natychmiast. Był to głos Phanzegara, który dał mi ten znak.

— To jest ten przyjaciel, który chroni ciebie i mnie — pocieszałem Rabbadah.

— Czy to też Phanzegarm, morderca? — wypytywała Begum. — Mówi, jak poeta.

— Został Phanzegarem, ponieważ Tamu zabrał mu niegdyś wszystko. A jednak żaden poeta Wschodu lub Zachodu nie mógłby się z nim równać! Posłuchaj!

Śpiewał dalej, ale nie mogliśmy dłużej słuchać, gdyż Phanzegar, który nas tutaj zostawił, powrócił, chociaż nie z tej strony, którą obrał przedtem.

— Chodźcie za mną!

Posuwaliśmy się wolno za nim, aż doszliśmy do kamiennych schodów, wiodących w górę do podobnego korytarza z wieloma zakrętami. Na jego końcu było pełno dymu. Weszliśmy do pomieszczenia, skąd przez kamienną balustradę mogliśmy spoglądać głęboko w dół.

— Siadajcie tutaj! A jeżeli w trakcie tego, co zobaczycie, wydacie jakiś głos, zostaniecie zrzućeni! — zagroził przewodnik.

Pod tylną ścianą galerii ciągnęła się kamienna ława, na której zajęli miejsce Thagowie, dwunastu czy piętnastu; w każdej chwili gotowi do wykonania tej groźby.

— Czy możemy cicho rozmawiać?

— Tak.

— A czy możemy podejść do balustrady, aby zobaczyć, co dzieje się na dole?

— Nawet powinniście, aby dowiedzieć się, co stanie się z wami, jeśli nie jesteście naszymi przyjaciółmi.

Podszedłem pierwszy, a Begum wzięła ze mnie przykład. Zobaczyliśmy przed sobą wysokie pomieszczenie na kształt katedry, otoczone olbrzymimi murami kamiennymi, w głębi którego znajdowaliśmy się na czymś w rodzaju balkonu. W dole, w nawie tej katedry, przed kamiennym ołtarzem klęczało około dwustu mężczyzn i każdy trzymał pochodnię. Stąd zapach

żywicy i dymu. Można było ich rozpoznać po broni. Bli to Thagowie, jednak w większości Phanzegarowie, albowiem w ich uzbrojeniu dominowała jedwabna pętla i straszliwy krzywy nóż.

Między nimi a ołtarzem siedziało w kucki około dwadzieścia osób zakutych w kajdany, wszyscy w angielskich mundurach. Przypatrzyłem im się dokładnie i spytałem Begum:

— Widzisz tych jeńców?

— Tak, to Anglicy.

— Spójrz na tych dwóch na prawo w pierwszym rzędzie, ale bądź ostrożna i zachowaj spokój!

— Lord Haftley! I rotmistrz Mericourt!

W tym momencie podszedł Phanzegar, który nas przyprowadził.

— Widzę po was, że rozpoznaliście jeńców!

— Tak.

— No to jesteście zgubieni, gdyż należycie do nich.

— To nasi wrogowie!

— Wasze szczęście, jeżeli to prawda!

— Jakże mógłbym, jako wasz wróg być w posiadaniu waszego znaku?

— Mogłeś go ukraść albo zrabować.

— Czy odważyłbym się wtedy przyjść tutaj?

Zmierzył mnie wzrokiem, potem znowu cofnął się bez słowa.

W dole na ołtarzu stał Phanzegar, od którego dostałem ząb krokodyla. Właśnie skończył przemawiać. Ręką dał znak i wszyscy Thagowie podnieśli się.

— Uczniowie wystąp! — rozkazał.

Trzech mężczyzn podeszło do ołtarza.

— Macie dzisiaj wykonać swój pierwszy prawidłowy cios. Czy ćwiczyliście pilnie?

— Tak! — rozległo się z trzech gardeł.

— No to pokażcie, czego nauczyliście się!

Jeden z jeńców został pochwycony i poprowadzony przed ołtarz. Pierwszy z nowicjuszy podszedł do mężczyzny trzymanego przez trzech Thagów i udawał, że chce mu spojrzeć w twarz. Ale w mgnieniu oka zarzucił mu jedwabną pętlę na głowę.

Chwyciłem Begum za rękę, inaczej z pewnością krzyknęłaby na widok morderstwa.

— Muszę usiąść — szepnęła.

— Ja to wytrzymam. — odrzekłem — To chyba pierwszy raz, kiedy dane jest Europejczykowi przyglądać się takiej ofercie Thagów, a ja jestem to winien ludzkości, abym posiadał możliwość bycia świadkiem tego piekielnego widowiska.

Trwało to chyba ze dwie godziny, zanim cofnąłem się na siedzenie, a w tym czasie widziałem niejedno straszliwe, śmiertelne rżenie. Ostatnimi straceńcami byli Mericourt i generał Haftley.

Wtedy nareszcie podniósł się nasz przewodnik.

— Teraz mistrz ma czas. Chodźcie!

Poprowadził nas korytarzem biegnącym w dół i w końcu wychodzącym na świeże powietrze. Wijącą się między skalnymi blokami ścieżką doszliśmy z drugiej strony świątyni do koni. Teraz przybył mistrz w towarzystwie dwudziestu swoich poddanych. Poznałem go, a on mnie.

— Ty tutaj? Słyszałem, że jakiś mężczyzna i kobieta chcą ze mną rozmawiać; ale że to ty, nie pomyślałem, gdyż na stopniu nie znaleziono znaku.

— Twój ludźmi pojmał nas, jeszcze zanim dotarliśmy do świątyni. Chciałbym ci przedłożyć moją prośbę.

— Prośbę? Phanzegarowi? Mów!

— Spójrz na tego trupa!

Odsunąłem zmarłemu chustkę z twarzy. Phanzegar podszedł, ale natychmiast cofnął się.

— Madpur Singh, maharadża! Kto go zamordował? Przychodzisz aby żądać zemsty, a ja ci przysięgam, że ją będziesz miał!

— Spójrz na te drugie zwłoki!

— Kim jest ta piękna kobieta?

— Żona, szczęście maharadży. Zamordowano ją u jego boku.

— Będzie pomszczona dziesięciokrotnie! A kim jest ta niewiasta u twego boku?

Księżniczka uchyliła szal, zakrywający jej twarz.

— Jestem Rabbadah, Begum Augh.

— Begum! Mężczyźni, szybko klękajcie i ucałujcie jej szaty! Tak! A teraz powiedz, kto zabił maharadżę i jego żonę?

— Nie znamy mordercy. — odpowiedziała Rabbadah — To stało się wczoraj wieczorem podczas zdobywania Augh.

— Czy ja śnię? Stolica została zdobyta?

— Tak.

— Niemożliwe. Po południu była bitwa pod Sobrah. Anglicy nie mogli być więc wieczorem w Augh, zwłaszcza, że wziąłem do niewoli ich przywódców, aby ich wychłostać za zdradę maharadży.

— To nie byli Anglicy, to był sułtan Symore.

— No to on jest mordercą maharadży, obojętne, kto wykonał cios! Wieczorem wziąłem Anglików do niewoli i w nocy tu sprowadziłem. Sądziłem, że pomogę maharadży, gdyż spowoduję przerażenie w ich obozie, jakie wybuchnie, gdy zauważą zniknięcie przywódców. A teraz to tak wygląda! Czy Augh należy do sułtana Symore?

— I chyba także do radży Kamooh, który już wczoraj wieczorem był w natarciu.

— Ten, także ten! To on też jest mordercą naszego maharadży. Muszą za to odpokutować!
— zwracając się do Begum, dodał: — co rozkażesz, Sahibo, to się stanie!

— Proszę cię najpierw o przechowanie tych zwłok.

— Nie chcesz ich spalić?

— Czy mogę je teraz spalić w godny sposób, jaki przystoi maharadży Augh?

— Możesz to zrobić, lepiej teraz, niż później.

— Jak? Gdzie i kiedy?

— Pozostaw to mnie, sahibo! I co jeszcze rozkażesz?

— Czy nie znasz może jakiegoś miejsca, gdzie ja i ten wierny przyjaciel mojego brata moglibyśmy się ukryć przez pewien czas? i Nastaje się na jego i moje życie.

— Chodźcie! — wezwał nas nie ociągając się. Poprowadził nas wokół świątyni. Po dziesięciu minutach staliśmy przed inną, ale w lepszym stanie ruiną.

— Byłaś na razie w przybudówce, sahibo — objaśnił. — Tu jest właściwa świątynia. Moi ludzie znają jej detale, ale tak naprawdę znam ją tylko ja i mój syn. Przebywał dzisiaj w Augh. Jeśli nie żyje, to biada jego mordercom!

Zeszliśmy w dół do sali kolumnowej, szerokiej ze trzydzieści metrów i weszliśmy do potężnego pomnika architektury sprzed tysięcy lat. W tych potężnych pomieszczeniach czuliśmy się jak mrówka, która zbłądziła w drodze do katedry w Kolonii.

Mistrz nie miał czasu na wyjaśnienia. Szedł szybkim krokiem, naprzód; my za nim... jednak stop! To mój pamiętnik musi przemilczeć. Dlaczego, zrozumie to wkrótce ten, w czyje ręce wpadną te kartki.

A więc, przybywszy do pewnego miejsca, nacisnął ręką na płytę kamienną, która ku naszemu zdziwieniu, otworzyła się. Za nią były widoczne schody.

— Tam na górze będzie wasze mieszkanie. Zapamiętajcie to miejsce, które dotknąłem i chodźcie za mną na górę!

Weszliśmy schodami na górę do jasno oświetlonego korytarza, gdzie znajdowało się dwanaście drzwi przysłoniętych matami.

— To były niegdyś mieszkania kapłanów — objaśnił. — Rozkaż, sahibo, ile chcesz mieć pokoi! Pozostałe będą należeć do twego opiekuna.

— Pozwól je, najpierw obejrzyć! — poprosiła Rabbadah.

Weszliśmy do środka i podziwialiśmy dwanaście pokoi, urządzonych na modłę chińską, malajską, hinduską lub europejską tak, że żaden książę nie zawahałby się tam zamieszkać.

Begum klasnęła w dłonie.

— Co za przepych! Kto urządził te pokoje?

— Ja — odpowiedział mistrz z poczuciem własnej godności.

— Ale dla kogo? Uśmiechnął się.

— Jestem maharadzą Thagów z Augh! Przychodzą do mnie wytworne sahiby. No to muszę mieć mieszkania, odpowiednie dla takich ludzi.

— No to musisz też zadbać o służbę?

Uśmiechnął się znowu i wskazał na małą metalową miskę, wiszącą wraz z młotkiem obok wejścia.

— Sahibie, daj znak!

Uderzyłem młotkiem w metal i w momencie wszedł chłopiec, który ze skrzyżowanymi rękami pokłonił się do ziemi.

— Daj dwa znaki, sahibie!

Uczyniłem to i ukazała się dwunastoletnia dziewczynka, która ukloniła się w ten sam sposób.

— Daj trzy znaki!

Teraz ukazała się kobieta w średnim wieku.

— Daj cztery znaki, sahibie!

Tym razem wszedł mężczyzna w średnim wieku.

— To jest służba — objaśnił mistrz, na którego skinienie oddalili się wszyscy czworo. — Znacie te znaki i możecie z nich do woli korzystać. W każdym pokoju są przybory do pisania. Jeżeli macie jakieś specjalne życzenie, to zapiszcie je zawsze na kartce i oddajcie ją wieczorem służącemu.

— Kiedy można z tobą porozmawiać? — dowiadywała się Rabbadah.

— O tym powiadomi cię codziennie służba. Mój dzień nie przebiega tak regularnie jak dzień bramina, a teraz, kiedy kraj należy do wroga, będzie jeszcze gorzej!

— A mój koń? — spytałem.

— Twoich siedem koni stoi na dole w stajni i mają tam dobrą opiekę, sahibie.
— Czy ktoś z twoich ludzi pójdzie dzisiaj do Augh?
— Bardzo wielu.
— Każ wszystko zbadać!
— I każ sprawdzić, czy w ogrodzie dla kobiet stoi jeszcze altana! — dorzuciła Begum.
— Będę posłuszny twoim rozkazom i także sprawdzę, co z altaną, ponieważ — dodał z naciskiem — to, co ona w sobie kryje, nie może wpaść w ręce wroga.
— Co kryje? Co masz na myśli?
Cichy, ale dumny uśmiech przebiegi po jego twarzy i rzekł:
— Phanzegar wie więcej od innych. Dowiaduje się o tym, co ukryte i odsłania tajemnice swych wrogów i przyjaciół. Własność tych drugich strzeże własną ręką, a jego oko strzeże ich życia. Nawet gdyby altana była zniszczona, dostaniesz i tak to, co do ciebie należy. Sahibie, jeżeli chcesz zobaczyć...

* * *

Do tego miejsca doszedł czytelnik, który zapomniał o wszystkim, co się dzieje dookoła niego. Wtem okrzyk Malaja przywołał go do teraźniejszości. Gdy podniósł głowę i poszedł wzrokiem za wyciągniętą ręką swego towarzysza, na najdalszym krańcu horyzontu odkrył przedmiot, który białawo połyskiwał w słońcu.

— Do wszystkich diabłów, to statek, i to dość duży, gdyż widać go z tak daleka.
— Zauważono nas?
— Wykluczone. Jesteśmy dużo mniejsi, a poza tym pod oślepiającym blaskiem słońca.
— Jaki kurs trzyma?
— Dokładnie nie wiem. Ale jeśli wezmę pod uwagę nasze oddalenie od wybrzeża i obecne położenie statku, to jestem prawie przekonany, że płynie z Madrasu albo nawet Kalkuty. Płynie prawdopodobnie do Kota Radża.
— Co zrobimy? Sądzisz, że możemy mu jeszcze zejść z drogi?
— Musimy przynajmniej spróbować. To byłby straszny pech, gdybyśmy teraz, prawie w ostatnim momencie zostali złapani.
— Może nas nie zauważą i przepłyną obok.

— Być może. Ale musimy brać pod uwagę i tę drugą ewentualność. Popatrz, jak urósł w ciągu kilku minut! Już można zobaczyć wierzchołki masztów. Zdaje się, że jest wybornym żeglarzem. Musimy zawrócić i płynąć z powrotem na północ. Podaj mi drugą parę wiosel!

Małaj popatrzył na niego zdziwiony.

— Po co ci wiosła, Sahibie? To łódź dla jednego wiosłarza.

— Nie pytaj, tylko zwijaj się szybko! Wiem, czego chcę!

Podarł kurtkę zmarłego, jeszcze wiszącą na rufie, w podłużne paski, które powiązał ze sobą. Potem związał dwa wiosła tak, że wyglądały jak jedno. W ten sposób sporządzone wiosło nie było wcale lekkie, ale Mały posługiwał się nim z taką siłą, o jaką trudno by podejrzewać tak szczupłą postać. A ponieważ na dodatek wiatr mieli z tyłu, łódź leciała po falach z taką szybkością, iż woda pieniała się pod dziobem.

Tymczasem miało się wkrótce okazać, iż ich wysiłek był daremny. Statek wyrastał na horyzoncie coraz szybciej. Wkrótce dało się zauważyć jego olinowanie. Był to klipier z takielunkiem szkunera, który kładł się ostro na burcie zawietrznej, gdyż płynął z niepełnym wiatrem i dlatego postawił jak najwięcej żagli. Odległość była jeszcze na tyle duża, iż obaj mogli mieć nadzieję, że nie zostaną dostrzeżeni, tym bardziej, że statek nie zmienił swego kierunku ani o jeden sążeń. Ale niebawem okazało się, że nadzieja zawiodła. Do tej pory mieli przed sobą smukły kadłub obcego statku, który teraz wykonał zwrot i zobaczyli dziób skierowany na siebie.

Mały zaklął i przestał wiosłować, wrzucając wiosła do łodzi.

— Niech to piekło pochłonie! Zauważyli nas i zagięli na nas parol. Nie uciekniemy im.

— Niech nas zostawią w spokoju! — syczał Małaj. — Albo poznają mój sztylet! Czy mamy się spokojnie przyglądać, jak nas znowu wsadzą do paki?

Mały wzruszył ramionami.

— Sprawa nie jest tak niebezpieczna, jak się wydaje. Jeśli nawet po naszym ubiorze mogą wywnioskować, kim jesteśmy, to nic im z tego nie przyjdzie, że nas zamkną. Chyba, że są to Anglicy. Wtedy będziemy zgubieni.

— Co zrobimy z nieboszczykiem? Wrzucimy go do morza?

— Co ci też przyszło do głowy? Teraz już za późno. Zastanów się, przecież mogą nas obserwować przez lornetę.

— Ale jak znajdą przy nas nieboszczyka, to wezmą nas za je morderców.

— Tego się akurat nie obawiam. Nawet ślepy pozna, w jaki sposób umarł.

— Ale przeszukają nam kieszenie i znajdą sakiewkę z perłami

— Na to nie mamy wpływu. Za złodziei nikt nas nie może uważać, bo byłoby to wprost szaleństwem, aby nieboszczykowi zostawić takie bogactwo.

— Sądziś więc, sahibie, że mamy tu na nich czekać?

Europejczyk nie udzielił odpowiedzi, lecz ponuro obserwował statek, który im nie w porę wszedł w drogę. Potem zdecydował.

— Diabeł nam przygnał tę żaglówkę. Ona formalnie pożera wodę. Za niespełna pół godziny będzie tutaj. Posłuchaj, co ci powiem! Przyłożysz się ze wszystkich sił do wiosł i będziesz wiosłować dalej na północ. Musimy zyskać na czasie. Zrozumiałeś?

— A ty, sahibie?

— Ja tymczasem skończę czytać rękopis, który znaleźliśmy przy zmarłym.

Jego towarzysz spoglądał na niego z otwartymi ustami.

— Ty będziesz tymczasem czytać? Dlaczego? W jakim celu?

— Ponieważ uważam, że jest to najlepsza rzecz, jaką mogę w tej chwili zrobić. Nie mam czasu na wyjaśnienia, ale powiem ci tylko jedno; chodzi o tajemnicę, która nas, jeśli mamy być wolni, uczyni najbogatszymi ludźmi tej ziemi. Konieczne muszę się dowiedzieć wszystkiego, zanim nas dopędzi statek, gdyż nie wiadomo czy nam wszystkiego, razem z tym pamiętnikiem, nie zabiorą, tak że nie będę już wtedy w stanie nadrobić zaległości. Więc posłuchaj i wiosłuj, ile tylko masz sił!

Mówiąc te słowa usadowił się znowu na ławce przy sterze i ponownie wziął dziennik zmarłego do ręki. Jego towarzysz posłuchał i przyłożył się z taką siłą do wiosł, że niemal się ugiwały.

Mężczyzna przy sterze musiał mieć nerwy ze stali, że przy widocznym niebezpieczeństwie tak spokojnie potrafił czytać. Oczywiście nie miał na tyle czasu, aby czytać dokładnie, zresztą i tak nie skończyłby tego do czasu przybycia prześladowcy. Raczej przerzucał całe strony, które mu się wydawały mniej ważne, a zatrzymywał się za to w niektórych miejscach, zwłaszcza pod koniec książki. Minuta za minutą uciekała, kontury prześladowcy były coraz bardziej wyraźne nad linią wody, ale obaj ścigani, jeden wiosłujący, drugi czytający zdawali się tym ani trochę nie martwić.

Szanowny czytelnik nie spieszy się tak, jak ścigany przestępca i dlatego może się poświęcić z większym spokojem dziwnym rzeczom o których umie opowiedzieć samotny zaginiony.

* * *

— ...Sahibie, jeśli chcesz zobaczyć, co zarządzę, aby się zemścić na mordercach radży, to chodź ze mną!

Opuściliśmy to pomieszczenie i udaliśmy się znaną już drogą do przedniej części ruiny. Tam w cieniu muru leżały zwłoki Madpur Singha. Kilku Thagów stało przy nim na warcie. Phanzegar zagadnął jednego:

— Lubah, ty byłeś w Symore. Czy znasz sułtana?

— Byłem w jego kawalerii i znam go dobrze. Zwrócił się do drugiego.

— Ty, Timurze, byłeś w Kamooh i znasz radzę, który teraz wtargnął do Augh?

— Znam go.

— To posłuchajcie, co wam teraz powiem! Tutaj leży książę naszego kraju. Był mądry, dobry i sprawiedliwy. Zdradzony przez swych przyjaciół zmarł na skutek ich uderzeń. Jego dusza wzniesie się do Boga Życia i Śmierci, tam będą mu usługiwać duchy jego wrogów na wieki wieków! Pojutrze, kiedy słońce wzejdzie z łona nocy, jego ciało obejmie święty ogień, a z nim pochłonie ciała zdradzieckich Anglików, których dzisiaj straciliśmy, sułtana Symore i radży Kamooh. Czy wiecie, co wam teraz rozkażę?

— Wiemy — odpowiedzieli obydwoj ze spokojem.

— Macie do mnie przyprowadzić sułtana i radzę, żywych albo martwych.

— Przyprowadzimy.

— Phanzegar nie boi się ani męczarni ani śmierci; ale wy jesteście i najlepszymi synami, których nie chciałbym stracić. Weźcie ze sobą tylu braci, ilu wam potrzeba, aby wykonać to zadanie utraty życia!

Oczy tego, który nazywał się Lubah, zabłysły.

— Nie potrzebuję ani jednego brata!

— To idź sam! Wiem, że przyprowadzisz sułtana.

— Daj mi konia!

— Weź najlepszego, jakiego znajdziesz!

— Będę potrzebował tylko najgorszego, bo i tak go stracę.

Lubah odwrócił się i zniknął we wnętrzu świątyni. W niskim, ale obszernym pomieszczeniu znajdowało się dużo zwierząt, z których niektóre były już osiodłane. Wybrał nieosiodłanego konia, wyprowadził na zewnątrz, wsiadł na niego i odjechał.

Zręczność, z jaką wskoczył na konia, a teraz opanował go bez cugli i uzdy, tylko naciskając udami, świadczyła o tym, że był wspaniałym jeźdźcem. Stary kasztan zdawał się być pod nim znowu młody i sprężyste kłusował przed siebie po wąskiej, dzikiej ścieżce.

Polecenie, jakie Phanzegar zlecił obu podwładnym, brzmiało tak niesłychanie, że odniosłem wrażenie, iż wydał go tylko dlatego, aby zyskać moje poważanie. Nie mogłem przecież uwierzyć w powodzenie tego szalonego planu. Jednak w ciągu dwudziestu czterech godzin zostałem wyprowadzony z błędu. O północy wjechał na dziedziniec świątyni jakiś mężczyzna na oblanym potem koniu: Timur. Miał przed sobą jeńca leżącego na siodle — Radzę Kamooh. A dwie godziny później przygalopował Lubah na kosztownie uprzężonym rumaku, godnym księcia. Przywiózł związanego i zakneblowanego sułtana Symore, położonego w poprzek konia. Obydwaj Thagowie wykonali z niebywałą łatwością to, co mnie się wydawało niemożliwe.

O szczegółach, w jaki sposób udał im się ten niespodziewany wypad, dowiedziałem się kilka dni później, gdy już dawno utonął w nurtach Gangesu popiół zamordowanego księcia i Anglików. Strach przed tymi okrutnymi ludźmi mieszał się z przerażeniem, chociaż z ich strony nie groziło mi najmniejsze niebezpieczeństwo. Nie jestem pisarzem, który swoim czytelnikom chciałby odsłonić każdy, nawet najmniejszy szczegół tych emocjonujących wydarzeń, i dlatego zadowolę się opisem przygody Lubaha, którą sułtan Symore przypłacił życiem.

Na wolnej przestrzeni Lubah poruszał się naturalnie znacznie szybciej niż w lesie. Tak pędząc, szybko mógł dotrzeć do Augh jednak zatoczył łuk, aby okrążyć miasto. Miał zamiar przed podjęciem decydującego kroku spenetrować najpierw teren.

Było to pod wieczór tego samego dnia. Sułtan Symore rozbił swoją główną kwaterę w ciągle jeszcze dymiącym mieście i zajął pałac zabitego maharadży dla siebie i swego najbliższego otoczenia. Pałac był w znacznym stopniu zniszczony przez ogień. Sułtan siedział na nienaruszonym tronie, na którym Madpur Singh przyjmował Anglików, a wokół niego stali lub siedzieli dostojnicy jego państwa, którego administrowanie złożył w ręce wezyra, oraz pułkownicy jego armii.

Liczni posłańcy przychodzili i odchodzili, aby przynieść mu wiadomość lub wykonać jego rozkazy. Dla tych, którym były potrzebne konie, stały one na dziedzińcu pałacu.

Przez bramę wszedł mężczyzna, który się zbliżał do tronu. To był Lubah, Phanzegar. Właśnie wykonał zwrot, aby dotrzeć do sułtana, kiedy mały oddział konny skręcił na dziedziniec i zatrzymał się przed schodami sali kolumnowej, w której stał tron. Ich ubiór wojenny świadczył o tym, że są Anglikami. Pułkownik, ich przywódca, zsiadł z konia i zbliżył się do sułtana pewny siebie. Przybierał taką pozę, nawet wobec najwyżej postawionych hinduskich książąt.

Sułtan zmarszczył brwi.

— Ktoś ty? — zawołał gniewnie.

— Brighton, pułkownik Brighton, z wojska Jej Królewskiej Mości, królowej Anglii.

— Czego tu chcesz'?

— Przywożę dwie ważne wiadomości. Naczelnym dowódcą naszej armii, generał lord Haftley zniknął bez śladu wraz z innymi oficerami od czasu bitwy pod Sobrah. Według naszych ustaleń prawdopodobnie wpadł w ręce Thagów.

Chciał mówić dalej, ale sułtan, którego czoło nagle się wygładziło, przerwał mu.

— A druga wiadomość?

— Byłem w obozie maharadży Kamooh, gdzie panuje duże ożywienie. Radza opuścił ze swym wezyrem obóz, aby objechać goj konno. Po pewnym czasie znaleziono martwego wezyra leżącego i ziemi, a radza nie powrócił.

Rysy sułtana przybrały niemal wyraz radości. Z trudnością ukrywał uczucie, towarzyszące mu po usłyszeniu tej wiadomości, iż ci niebezpieczni rywale zniknęli.

— Allah jest wielki! — zawołał. — Zsyła śmierć i życie wedle swego uznania. Co masz mi jeszcze do powiedzenia?

— Przychodzę z polecenia zastępcy dowódcy. Musisz nam pomóc pojmać Thagów i ukarać ich.

Sułtan uśmiechnął się z wyższością.

— Muszę? — spytał ostro. — Ty jesteś chrześcijaninem i nie znasz świętego Koranu. Prorok mówi: Wola człowieka jest jego duszą; a kto swoją wolę oddaje, ten utracił swoją duszę. Sułtan Symore nigdy niczego nie musiał, zawsze robił to, co chciał. Ale wy jesteście moimi przyjaciółmi i dlatego pomogę wam schwytać Thagów. Tylko powiedz mi najpierw, gdzie ich znaleźć!

— Tego nie wiemy, to ty masz ich wyśledzić.

— To twój generał uważa mnie za szpiega? Jesteście obcy w tym kraju i dlatego postąpię tak, jakbym tej zniewagi nie słyszał. Ale wypowiedz ją jeszcze raz, to każę moim sługom zabić cię!

Pułkownik położył rękę na rękojeści szpady.

— Jako wysłannik mojej królowej jestem nietykalny i znajduję się pod ochroną prawa międzynarodowego.

— Mylisz się. Jesteś tylko wysłannikiem twojego generała i tak długo chroni cię wasze prawo międzynarodowe, dopóki mnie nie obrazisz. Zapamiętaj to sobie! Radza Kamooh zniknął. Czy wiesz, w jaki sposób?

— Nie.

— Ja się domyślam!

— Powiedz!

— Nie uczynię tego, w przeciwnym razie was obrażę i wymknę się spod ochrony waszego międzynarodowego prawa.

Wypowiedział te słowa tonem, wskazującym wyraźnie na to, iż to Anglicy doprowadzili do zniknięcia radzy. Pułkownik po raz wtóry położył rękę na szpadzie.

— To zniewaga! Wystarczająco wyraźnie ją wypowiedziałeś.

— Znowu jesteś w błędzie. Niczego nie powiedziałem, ale opowiadano mi o wielu księżętach, którzy zniknęli w waszym pobliżu. Dlatego nie wydaje mi się to dobrym pomysłem, aby przyjść do was.

— No to tym chętniej zastosujesz się do rozkazu, jaki mam ci przekazać.

— Do rozkazu? Któż mógłby się odważyć wydać rozkaz sułtanowi Symore?

— Ja!

— Ty? — sułtan zmierzył postać Anglika spojrzeniem, w którym było tyleż pogardy, co i litości.

— Tak, ja! Z polecenia mojego generała.

— No to w takim razie słońce wypaliło twój mózg i jego także. Wyście obaj oszaleli.

— Ty jesteś wyznawcą nauki Mahometa, a ja wiem, że ta nauka nie gardzi szalonym, lecz go błogosławi. Gdyby tak nie było, to nie udzieliłbym ci mojej odpowiedzi słowami.

— Jaki to rozkaz, który mam przyjąć od ciebie?

— Masz usunąć się z Augh, ponieważ tu chcemy ulokować naszą główną kwaterę.

— Bóg jest wielki, a świat szeroki. Ma miejsce dla was i dla nas. Rozbijcie swoją kwaterę główną tam, gdzie chcecie, ale w Augh jestem ja i pozostanę tutaj tak długo, jak mi się podoba.

— Pamiętaj o twoim podpisie!

— Pamiętajcie o waszym! Ja zostaję.

— Grzeszysz przeciwko warunkom, na jakie przystałeś.

— Wy sami nie dotrzyмалиście tych warunków, ponieważ nie wy zdobyliście Augh, lecz ja!

— Czy wiesz jakie konsekwencje dla ciebie i twoich będzie miała twoja odmowa?

— Spokojnie na nie poczekam.

— I nie pomożesz nam odnaleźć Thagów?

— Powiedz mi, gdzie oni są, a pomogę wam ich złapać i ukarać.

— W takim razie mogę odejść.

— Niech Allah pokieruje twoimi krokami, abyś nie zbłądził!

Oficer wsiadł na konia i opuścił ze swymi towarzyszami dziedziniec.

Lubah słyszał każde słowo rozmowy. Wezyr maharadży Kamooh został zamordowany, a radza zniknął. Więc ten drugi Phanzegar szczęśliwie wykonał swe polecenie. Koniec z wahaniem się. Lubah wszedł schodami do sali, a potem rzucił się na ziemię.

— Ktoś ty? — spytał surowo sułtan.

— Panie, niech twe oczy mnie oświecą, a dojrzysz najbardziej posłusznego i najwierniejszego sługę!

Podniósł nieznacznie głowę, tak że sułtan był w stanie spojrzeć mu w twarz. Władca poznał go teraz.

— Lubah, najlepszy z moich jeźdźców — zawołał. — Myślałem, że nie żyjesz. Dlaczego mnie opuściłeś?

— Nie opuściłem cię panie. Twój wrogi schwytał mnie i uprowadził do kraju Usfeksów. Tam więzili mnie, dopóki nie zabiłem *seyuda*, przywódcy Afgańczyków i uciekłem.

— Jak się tutaj dostałeś?

— Aby dotrzeć do Symore, musiałem przedostać się przez Augh. Tu rozchorowałem się, gdyż podczas niewoli dużo wycierpiałem. Nie mogłem iść dalej, ale moje serce pozostało ci wierne i teraz przybyłem do Augh. Zbliżam się do ciebie, mój panie, aby ci udowodnić, że byłem ci zawsze oddany.

— Jeśli dobrze zrozumiałem, to chcesz mi przekazać jakąś wiadomość?

— Mogę tylko wtedy mówić, jak będą mnie słuchać tylko twoje uszy.

— Wstań i podejdź bliżej!

— Ty jesteś potężny i bogaty, ale maharadża Augh był jeszcze bogatszy od ciebie. A jak bogaty był, to wiem tylko ja.

— Byłeś jego skarbnikiem? — spytał sułtan z drwiną.

— Nie. Nie miał skarbnika, gdyż jego skarby nie potrzebowały ochrony, żaden człowiek poza nim i Begum nie wiedział, gdzie się znajdowały.

— Allah jest wielki, a ty mówisz prawdę. Wszędzie szukałem i niczego nie znalazłem. Ale mów dalej!

— Byłem chory i musiałem się dużo kąpać w rzece, aby wzmocnić moje członki. Najchętniej robiłem to wieczorem, gdyż w upalny dzień ciepło sprawiało ból memu ciału. Pewnego razu leżałem późno, gdzieś koło północy na brzegu, aby odpocząć po pływaniu. Wtedy nadpłynęła duża łódź, i niedaleko mnie przybiła do brzegu. Najpierw wysiadł oficer z kilkoma żołnierzami, a potem sahib z zakwefioną niewiastą. Ten sahib to był Madpur Singh, maharadża Augh, a niewiastą była Rabbadah, Begum.

— *Allah il Allah* — przerwał mu sułtan — ty widziałeś Begum, najpiękniejszą kobietę ziemi, która jest droższa niż wszystkie skarby radży?

— Widziałem ją!

— I naprawdę jest tak piękna, jak opowiadają? — wypytywał sułtan z zaciekawionym.

— Jeszcze tysiackroć piękniejsza! Gdy ujrzałem jej twarz, poczułem się tak, jakbym patrzył w promienie słońca.

— Gdzie ona jest? Jeśli mi to powiesz, nagrodzę cię obficie. Muszę ją mieć w moim haremie; rozumiesz?

— Rozumiem i będziesz ją miał, nawet jeśli nie otrzymam od ciebie żadnych bogactw. Nie potrzebuję ich, gdyż jeżeli tylko zechcę, to wszystkie skarby maharadży Madpur Singha będą natychmiast moje.

— Więc znasz to miejsce, gdzie maharadza je ukrył?

— Znam je tak dokładnie, jak to miejsce, gdzie teraz stoję.

— No gdzie jest? Te skarby są moje. Ja zdobyłem Augh i wszystko, co się w tym kraju znajduje, jest moją własnością.

— Zważ panie, że nie sam jeden przybyłeś do Augh! Są tutaj ludzie z Kamooh i Anglicy też są. A kto jest teraz właścicielem kraju Augh?

— Ja, ponieważ stolica znajduje się w moich rękach.

— Stolica, ale nie skarb; gdyż ten jest ukryty poza miastem.

— Co? Poza miastem? To byłaby wielka nieostrożność ze strony maharadży.

— Czy mam ci dalej opowiadać moją historię?

— Uczynić to!

— Gdy radża wysiadł, udał się z Begum do miejsca, które ci pokażę, a inni podążyli za nim. Mieli ze sobą motyki i łopaty; wykopali kryjówkę, schowali tam dużo skrzyń i innych rzeczy, które były w łodzi. To był skarb króla Augh. Starannie zatarli ślady, a piasek, który się ostał, wrzucili do rzeki. W czasie tej pracy radża udał się sam do łodzi. Leżałem w pobliżu i mogłem go dokładnie obserwować. Zauważyłem iskrę ognia, która na chwilę zabłysła w jego dłoniach, potem powrócił do oficera. Domyślałem się, co zrobił. Oni wiedzieli, gdzie teraz znajdował się skarb i dlatego musieli umrzeć, aby nie móc niczego zdradzić. Chciał ich wysadzić razem z łodzią w powietrze. — Wsiadajcie i płońcie z powrotem! — rozkazał maharadża. Posłuchali, a on został z Begum na brzegu. Ledwie łódź oddaliła się na pewien dystans, zajaśniało na pokładzie, rozległ się potworny huk, a słup ognia wzbił się w górę. Słyszałem, jak kawałki łodzi i rozerwane zwłoki uderzały o wodę. Udało się, maharadża uwierzył, że tylko on i Begum posiadli tę tajemnicę.

— Co chcesz za pokazanie mi kryjówki ze skarbem?

— Panie, jestem twoim sługą i chciałbym żyć tylko z twojej łaski. Daj mi to, co uznasz za stosowne. Nie żądam niczego poza tym, abyś obdarzył mnie przyjaznym spojrzeniem.

— Lubahu, jesteś najwierniejszym spośród wszystkich, którzy mi służą. Będiesz wielkim w krajach Augh i Symore Ale powiedz mi, gdzie jest Begum?

— Uciekła przed twoimi wojownikami. Odważny mężczyzna ją uprowadził. Ale zobaczysz ją i umieścisz w haremie. Ukrywa się u mojego przyjaciela Gurkha, w Nepalu. Rozkaż, o panie, kiedy mam ci pokazać miejsce ukrycia skarbu!

— Jutro, dzisiaj jest już za późno.

— A Anglicy?

— Co masz na myśli?

— Czy nie byli tutaj przed chwilą, aby zażądać od ciebie stolicy? Stawiają te żądania, gdyż wiedzą, że maharadza posiadał nieskończenie wielkie bogactwo i sądzą, że one znajdują się w Augh. Ich posłowie odeszli w gniewie i myślę, że jutro tu będą ich wojownicy, aby odebrać ci miasto!

— Niech zatem przybędą i spróbują!

— Ale w trakcie tej próby możesz stracić skarb. W czasie pokoju nikt go z pewnością nie odkryje.

Sułtan musiał uznać rację.

— Masz słuszość, muszę to miejsce jeszcze dzisiaj odszukać. Czy to daleko stąd?

— Z tego pałacu dojedziesz tam, na szybkim koniu w kwadrans. Wieczór już zapada. Musisz się szybko zdecydować.

— Co mi radzisz? Czy natychmiast przywieźć skarb, czy niech tam leży?

— Myślisz, że tutaj w obozie będzie bezpieczny?

— Nie.

— To niech tam leży! Wystarczy znać miejsce, aby na wypadek walki tak pokierować wrogiem, aby trzymał się od skarbu z daleka.

— Zgadzam się z tobą. Weź konia, natychmiast wyruszamy.

Lubah odwrócił się i udał się do zwierząt. W żaden sposób nie zdradził radości, jaka mu dotąd towarzyszyła w jego niebezpiecznym przedsięwzięciu. Niewierny, zbrodniczy i okropny był ten zamiar, ale to było mu obojętne. Był Phanzegarem, fanatykiem śmierci. Jego zdaniem zamordowanie sułtana nie było niczym innym, jak tylko postępek w okropnej drodze do wiecznego szczęścia.

Po pewnym czasie dosiadł kosztownie osiodłanego rumaka, przywołał skinieniem Lubaha i opuścili dziedziniec. Osłaniał ich mały oddział jeźdźców.

Droga prowadziła najpierw przez kilka ulic miasta, potem w dal przez puste pola. Tymczasem szybko zbliżał się wieczór.

Lubah skierował się w stronę Gangesu. Po kwadransie zatrzymał rumaka. Kilkaset metrów przed nimi przepływały szumiąc majestatyczne fale Gangesu; można było wyraźnie zobaczyć ich migotanie i połyskiwanie i poczuć chłód, spowodowany wilgocią.

— Jesteśmy niemal u celu, panie — objaśnił Phanzegar.

— Dlaczego przystajesz?

— Czy twoją wolą jest, aby żołnierze jadący za nami odkryli tajemnicę, panie?

— Jesteś bardzo ostrożny, Lubahu! Oczywiście, że nie.

Odwrócił się, nakazał swojej świcie zatrzymać się i oczekiwać tu na jego powrót.

Lubah zachowywał się tak, jakby szukał kryjówki, aż odległość między nimi, a *suwarami* stałą się bezpieczna. Ale teraz nadeszła jego chwila.

— Wygląda na to, że nie pamiętasz tego miejsca — zauważył sułtan.

— Znam je tak dokładnie, że znajdę je najciemniejszą nocą.

— No to znajdź go! — rozkazał władca. — Jest noc i Anglicy są w pobliżu. Nie mogę się już dalej oddalać od Augh, jeśli nie chcę wpaść im w ręce.

— Allah! Jesteśmy u celu!

— Och! Gdzie to miejsce?

Lubah wyciągnął rękę w bok.

— Widzisz te skały, panie, które tam na brzegu przeblyskują?

— Nie widzę ich.

— Twoje oczy spoglądają za daleko w prawo. Pozwól, że ci dokładnie pokażę!

Przyparł swego konia do konia sułtana, położył lewą dłoń na tylne siodło tego ostatniego i wyciągnął prawą rękę tak, że o mały włos nie dotknął twarzy władcy, który wyteżał się, aby dojrzeć skały, których nie było.

— Tam.

— Ja ich w ogóle nie widzę. Czy kryjówka jest w pobliżu tych kamieni?

— Tak.

— To czemu tu stoimy? Naprzód, jedźmy na drugą stronę, Lubahu!

— Ja się tam dostanę, ale ty nie.

Podwójny sens tych groźnie wypowiedzianych słów wyjaśnił natychmiast czynem. Sułtan nie dotarł do skał, za to Phanzegar przedostał się ze swego konia na konia księcia. Mówiąc to,

podniósł się w siodle i skoczył, lądując za sułtanem, któremu zarzucił ręce na szyję w taki sposób, że napadnięty nie był w stanie wydać żadnego dźwięku. Ręce i nogi mu zadrżały, zatrzepotały w powietrzu, po czym osunął się i stracił przytomność.

— Dobra robota! — zamruczał Lubah. — Żyje, a ja dokonam wielkiego dzieła, przywożąc go żywego do ruiny. Jego Allah nic mu nie pomoże.

Wziął broń omdlałego, zerwał mu turban z głowy i przywiązał sułtana w poprzek konia tak, że nie był w stanie poruszyć ani rękami ani nogami. Potem wskoczył na siodło za sułtanem i pogalopował przed siebie jak najszybciej.

* * *

Święty Boże! Ale miałem dzisiaj w nocy stracha! Udałem się na spoczynek, zmęczony pracą nad moją łodzią, która jest już bliska ukończenia; spałem może ze dwie godziny, nagle obudziłem się na skutek silnego uderzenia, jakie otrzymałem od spodu. Zdziwiony zerwałem się i przetarłem zaspane oczy. Ale jak opisać moje przerażenie, gdy poczułem, że mi się ziemia pod nogami tak chwieje, iż straciłem równowagę i przewróciłem się na moje łóżko. To było trzęsienie ziemi i to niesłychanie silne. Zerwałem się znowu z łóżka i szukałem po omacku, drzwi, aby wyjść na zewnątrz.

Tu otoczyła mnie ciemność czarna jak smoła. Niebo musiało być pokryte najgęstszymi chmurami, gdyż nie zaznaczał się nawet najślabszy połysk księżyca czy gwiazd. Za to fale ryczały na rafach swą grzmiącą pieśń, podczas gdy od strony lasu dochodził hałas przestraszonego świata ptaków i przenikliwy krzyk małp.

To były najstraszniejsze godziny mojej długiej niewoli jakie przeżyłem na wyspie. Albowiem wydawało mi się, że przerwy między kolejnymi trzęsieniami rozciągają się w godziny, kiedy leżałem pełen trwogi, wstrzymując oddech i nasłuchując tych nigdy dotąd nie słyszanych głosów z wnętrza mej wyspy. W rzeczywistości mogło minąć nie więcej niż dziesięć minut od pierwszego uderzenia, które wytrąciło mnie ze snu, do ostatniego ostrzegającego trzeszczenia ziemi. Zwierzęta już dawno się uspokoiły, a ja długo jeszcze leżałem z drżącymi kolanami przed moją chatą, a gdy się w końcu pozbierałem i wszedłem do środka, nadal byłem pod wrażeniem tego, co się mogło być stać, i te wyobrażenia spędzały mi sen z powiek.

Jak tylko pojawił się pierwszy promyk, opuściłem chatę, aby obejrzeć szkody. Musiałem zadać sobie dużo trudu, aby tego nocnego przerażenia nie uznać za koszmarny sen. Albowiem

nic w zasięgu mojego oka nie zdradzało śladu tego strasznego fenomenu natury. Spokojnie, jak od dwudziestu lat, roztaczała się przede mną plaża. Fale morskie śpiewały swą monotonną pieśń, jak gdyby nic się nie stało, i jakby jeszcze niedawno nie rozbijały piany z huczącą złością o koralowe ławice. Nie było ani jednego wyrwanego z korzeniami drzewa, ani przesuniętej rafy skalnej, niczego, zupełnie niczego, co by wskazywało na to nocne wydarzenie. Nad pasmem pagórków czerwieniło się niebo i zapowiadało jeden z tych wspaniałych ciemnoniebieskich i bezchmurnych dni, dzięki którym moje więzienie wydawało mi się znośniejsze.

Lecz gdy zszedłem do grobu mojej Rabbadah, zobaczyłem że ten nocny wstrząs pozostawił na wyspie pewne ślady. Odłamki skał nawet wielkości głowy ludzkiej, leżały porozrzucone w koło na ziemi. Ściany i sufit mającego trwać wiecznie chodnika miały liczne pęknięcia. Raz nawet musiałem przeskoczyć szczelinę, powstałą w poprzek drogi. Ale to, co zobaczyłem w dole, napełniło mnie zgrozą. Co będzie, gdy trzęsienie ziemi powtórzy się? Co wtedy, gdyby to, czego dzisiejszej nocy nie udało się dokonać potężnym siłom, powiedzie się następnym razem? Po raz pierwszy od dłuższego czasu ogarnął mnie lęk o życie. Czy duch wyspy wyciągnął swe potężne ramię, aby jeńcowi przeszkodzić w ucieczce? Z pewnością ponowi swoją próbę. I postanowiłem przyspieszyć ukończenie mej łodzi. Nie chcę zostać na wyspie ani jednego dnia dłużej, niż to konieczne. Będę się opierał ze wszystkich sił mojemu niewidzialnemu więziennemu dozorczy. Przyszłość pokaże, kto z nas dwu zostanie zwycięzcą.

Wydarzenie ostatniej nocy było tylko potwierdzeniem tego, o czym już dawno wiedziałem, a mianowicie, że wyspa była pierwotnie dużo, dużo większa. A swój obecny kształt zawdzięczała podobnemu kataklizmowi, jak ten, który mnie dzisiejszej nocy przestraszył. Gdy z Rabbadah po raz pierwszy przemierzałem wyspę, znalazłem na plaży liczne niewątpliwe pozostałości dawnych domostw, tak że nabrałem przekonania, iż wyspa musiała być kiedyś większa niż obecnie. Dzisiaj mogłaby wyżywić nie więcej niż dwudziestu mieszkańców. Moje domniemanie potwierdziło się, gdy jakiś czas później na środku najgęściejszego dziewiczego lasu odkryłem resztki świątyni Sziwy. Przypominała mi swym kształtem tę w lesie w Augh, gdzie przez pewien czas znaleźliśmy z Rabbadah schronienie. Dokąd udali się mieszkańcy tej wyspy, ci, którzy wykonali tę budowlę? Nie znalazłem ani jednego szkieletu, który by mi przypominał tamte czasy. Może udało się wyspiarzom wypłynąć łodziami na otwarte morze i uratować się? A może w czasie tej próby pochłonęło ich wszystkich morze? Któż dzisiaj może udzielić odpowiedzi na te pytania? W każdym razie jedno mi się wydaje być pewne, dawni mieszkańcy byli powiązani z mieszkańcami Indii tą samą religią, a prawdopodobnie także, pochodzeniem i językiem. Świątynia Sziwy jest tego dowodem.

* * *

Mistrz Phanzegarów starał się jak mógł uprzyjemnić nam, Rabbadah i mnie, przymusową bezczynność. On sam był stale informowany na bieżąco przez szpiegujących Thagów o wydarzeniach rozgrywających się w Augh i okolicy. Był tak życzliwy, że informował nas natychmiast po otrzymaniu jakiegokolwiek wiadomości.

Anglicy niebawem dowiedzieli się, że zniknęli radża Kamoooh i sułtan Symore, ich dotychczasowi sprzymierzeńcy. Była to doskonała wiadomość — nic nie mogło lepiej współgrać z ich planami. Naczelną komendant postanowił wykorzystać zamieszanie spowodowane zniknięciem sułtana i zająć Augh.

Angielskie siły zbrojne wyruszyły jeszcze tej samej nocy na stolicę kraju. Straż przednią stanowili sami sipajowie, których wróg z łatwością mógł wziąć za swoich. Mieli na czele licznych szpiegów — tubylców, którzy znakomicie znali teren. W pojedynkę wypadali do przodu i meldowali natychmiast o wszystkim, co wzbudziło ich podejrzenie.

W ten sposób udało im się zlikwidować pododdział, który odważył się zbyt daleko oddalić od miasta. W miarę dalszego marszu, otaczano i unieszkodliwiano nawet większe oddziały, a gdy zaczynał się dzień, Anglicy byli tak blisko miasta, że natychmiast mogli przystąpić do ataku.

Wojownicy zatroskani o swego sułtana Symore zdziwili się, gdy nagle angielskie baterie otworzyły ogień, a pod jego osłoną formowały się kolumny do natarcia. Nastąpiło straszne zamieszanie. Każdy chciał rozkazywać, i nikt nie wiedział, kogo ma słuchać. Pożar strawił już miasto; trudno było chodzić po ulicach z powodu gruzu i ruin, a pociski dotychczasowego sojusznika, który tak nagle stał się wrogiem, nie pomagały usunąć zamieszania. Naraz Anglicy uderzyli z taką siłą, jakiej nikt nie był w stanie się oprzeć. Tubylcy uciekali i pozbywali się wszystkiego, co by mogło hamować ucieczkę. Jeszcze dzień nie rozpoczął się na dobre, a już Anglicy byli panami Augh, ich konnica przeganiała pobitych tak skutecznie, iż nie dane im się było ponownie zebrać.

I znowu kwitnący kraj padł ofiarą bezwzględnej polityki kolonialnej.

W kolejną noc zbudził mnie ktoś, potrząsając moim ramienia Phanzegar stał przede mną z lampą.

— Sahibie, masz odwagę?

— Wypróbuj mnie! Wiesz przecież, że nie jestem tchórzem!

Phanzegar przytaknął i mówił dalej:

— Wiesz tak dobrze jak ja, że Anglicy są panami Augh. Zostali nimi poprzez dokonanie szeregu czynów zdradzieckich. Serce mi krwawi, ale co postanowiłem, to wykonam. Dam Anglikom o świcie takie widowiska, że długo je będą pamiętać. Chcesz?

— Chcę. Ale czy nie powiesz mi, na czym one mają polegać?

— Nie pytaj, lecz chodź za mną! Szczegóły poznasz w odpowiednim czasie.

Szybko się ubrałem i zszedłem na dziedziniec za Phanzegari gdzie jeden z Thagów trzymał za uzdę dwa osiodłane konie. Chwilę później jechaliśmy drogą w stronę rzeki i mimo ciemności zauważyłem, iż nie w tym kierunku, skąd przybyliśmy z Rabbadah, lecz bardziej na zachód, tak że według moich obliczeń powinniśmy trzeć do rzeki powyżej stolicy.

Phanzegar jechał milcząco naprzód, zatopiony w swoich myślach, a ja nie śmiałem przeszkodzić mu pytaniem. Minęło wiele godzin, i gdy dotarliśmy do rzeki, niebo, na wschodzie poczerwieniało. W jednej z zatok znajdował się jakiś pojazd. Dostrzegłem nad wodą dziwaczne rusztowanie, na którym wisały liczne postacie ludzkie. Z chrustu i twardych konarów zrobiony był stos, na którym leżały wedle wszelkiego prawdopodobieństwa zwłoki dwóch osób. Właśnie kilku mężczyzn ściągnęło ten pojazd z mielizny i oddaliło się z naszymi końmi, na znak dany im przez Phanzegara. Ten ostatni wskoczył na tratwę i kiwnął, abym poszedł w jego ślady. Już będąc na drugiej stronie przypatrzyłem się uważnie temu pojazdowi. Nieomal włosy stanęły mi dęba z przerażenia, gdy na szubienicy ujrzałem lorda Haftleya, Mericourta i angielskich oficerów, wszyscy ze stryczkiem wokół szyi. Tylko dwie osoby wisały na rzemieniu, przeciągniętym pod pachami. Jeszcze żyły i miały knebel w ustach, aby nie mogły krzyczeć. Byli to radża Kamoooh i sułtan Symore. A wśród zwłok leżących na stosie dostrzegłem martwego maharadzę Augh, mojego nieszczęśliwego przyjaciela Madpur Singha, i jego żonę Aimalę.

I nagle pojąłem, jaki to ma związek z tym dziwnym pojazdem.

Phanzegar chciał swemu władcy odprawić uroczystości żałobne i równocześnie złożyć ofiary. Ofiarami były zwłoki angielskich oficerów i pojmanych zdradzieckich sąsiadów zmarłego maharadży. Przejęła mnie zgroza.

W przedniej i tylnej części tratwy było umocowane wiosło, aby wyznaczać kierunek jazdy, zupełnie według naszych europejskich zasad. Phanzegar podszedł do tylnego wiosła, a mnie zlecił posługiwanie się przednim, potem odwiązał sznury z łyka.

Popłynęliśmy na środek rzeki, gdzie był najsilniejszy prąd i on poniósł nas dość szybko w dół rzeki. Niekiedy rzucałem spojrzenie na szubienicę, na tych wiszących zakneblowanych, którzy oczekiwali na okrutną śmierć. Cały się buntowałem przeciw takiej karze, jednak nie mogłem i nie śmiałem czemukolwiek się sprzeciwić, jeśli nie chciałem stracić przychylności

mojego przewodnika. Lekka mgła wisiała nad rzeką i zasłoniła drugi brzeg. Lecz, kiedy dotarliśmy, w pobliże miasta, Phanzegar skierował czołno w drugą stronę. Jeszcze krótka chwila i mgła rozplynęła się przed naszymi oczami jak welon, co umożliwiło nam ujście drugiego brzegu. Właśnie minęliśmy pierwsze domy leżące w gruzach miasta i wolno posuwaliśmy się obok kolejnych stosów gruzów, gdzie jeszcze kilka dni wcześniej stał wspaniały pałac. Po dalszych piętnastu minutach roztaczał się przed nami park maharadży.

Dotychczas nie zauważyliśmy ani jednej żywej duszy. Widocznie nie uważano za konieczne postawienie straży w tej części miasta. Także park zmarłego Madpur Singha był zupełnie opustoszały. Minęliśmy następne zakole rzeki i pozostawiliśmy miasto za sobą. Jak okiem sięgnąć brzeg był obsiany namiotami, to obóz Anglików. Głęboka cisza panowała między rzędami namiotów, na małym pagórku, wdzierającym się trochę w rzekę, stał mężczyzna, w którym rozpoznałem strażnika z karabinem na plecach. On także nas zauważył, wywnioskowałem to z gwałtownego ruchu, jaki wykonał. Uważnie wpatrywał się w ten dziwny statek, który wolno przepływał obok niego. Chwilę później wystrzał przerwał poranną ciszę i między namiotami zapanowało ożywienie. Żołnierze w dobrze mi znanych mundurach ukazali się na ulicach obozu i setki oczu spoglądało na nas z wyrazem napiętej uwagi.

Dotychczas Phanzegar nie powiedział ani słowa. Z zaciśniętymi wargami i błyszczącymi oczami obserwował bacznie każdy ruch na brzegu. Teraz przerwał milczenie.

— Sahibie, pomóż mi jeszcze przez kwadrans, a będę twoim sługą, jak długo zechcesz.

— A nie chciałbyś mi powiedzieć, co to wszystko ma znaczyć?

— Nie pytaj! — przerwał mi niecierpliwie. — Poczekaj jeszcze kilka chwil! Odpowiedź przyjdzie sama. Popatrz tam!

Spojrzałem w kierunku jego wyciągniętej ręki i zauważyłem na wzgórzu wspaniały namiot, z pewnością namiot dowódcy. Pośrodku kilku oficerów stał człowiek, który miał na sobie mundur generalski, co dostrzegłem mimo odległości. Ktoś w ubraniu tubylca mówił coś do niego i wymachiwał rękami, często wskazując na nas. Teraz odłączył się od pozostałych i pobiegł na dół na brzeg. Nad wodą zrzucił odzież, zanurzył się w falach i zmierzał w naszą stronę, rozdzielając je silnymi ramionami. Phanzegar puścił wiosło i zwrócił się do mnie.

— Sahibie, skieruj trochę na tego człowieka! Posłuchamy, co ma nam do powiedzenia.

Posłuchałem jego rozkazu i nadałem tratwie żądany kierunek. Przy tym nie zauważyłem, co działo się za moimi plecami. Płynący jeszcze do nas nie dotarł, gdy wtem usłyszałem buzowanie. Przestraszony odwróciłem się. Przede mną roztaczał się straszny widok. Phanzegar zapalił pochodnie i rzucił ją na chrust, który natychmiast się zajął. Stos stanął w jasnych

plomieniach. Nie mogłem się powstrzymać, aby nie spojrzeć na szubienicę. Na czole sułtana Symore i radzy Kamooch pojawiły się duże krople potu. Ich oczy jakby chciały wyskoczyć z orbit i biała plama pojawiła się między wargami zamkniętymi kneblem. To było straszne. Nie mogłem znieść dłużej tego widoku i odwróciłem się ze zgrozą. Phanzegar stał, jakby to całe przerażające widowisko go nie obchodziło, w tylnej części tratwy z założonymi rękami i patrzył w stronę płynącego, który był już blisko. Jeszcze tylko kilka silnych uderzeń i dopłynął do nas. W tym momencie Phanzegar zwrócił się do mnie:

— Sahibie, skieruj się znowu na środek rzeki!

Potem nastąpiła rozmowa, która na zawsze utkwiała mi w pamięci. Nie potrafię opisać nastroju, w jakim się znajdowałem. Za mną płonący stos z wykrzywionymi przerażeniem twarzami straconych; przede mną słońce, które podobne do krwawej bogini, właśnie teraz wynurzyło się z fal świętego Gangesu, jakby po to, aby przyjąć ich ofiarę. Na brzegu Anglicy, którzy nie zrozumieli znaczenia stosu; obok mnie ci dwaj mężczyźni, należący do tego samego szczepu, a jednak o zupełnie innym sposobie myślenia.

— Kto cię tu przysłał? — spytał Phanzegar zwiadowcę z ponurą miną.

— Generał Anglików.

— W jakim celu?

— Jako zwiadowcę.

— To znaczy szpiega. — Phanzegar uczynił pogardliwy ruch ręką. — Zdradzasz więc swój kraj, swój naród i swego Boga. Wiedz, nikczemny. Bogowie ukarzą cię ręką Phanzegara!

Ten drugi zaśmiał się z wyższością.

— Nie boję się ani Thaga ani Phanzegara, ale powiedz mi jakie znaczenie ma ta tratwa? Kim jest ten zmarły, którego chcesz złożyć Bogowi Śmierci na ofiarę?

— Powiedz mi wpierw, dlaczego to nie obawiasz się ani Thaga ani Phanzegara?

— Jestem pod ochroną, która jest potężniejsza niż siła wszystkich Phanzegarów.

— Jaką ochronę masz na myśli?

— Przez Anglików.

— Głupcze! Spójrz w górę na ten stos! Ten mężczyzna z jasnymi włosami i podciętym gardłem, to był lord Haftley, potężny *sirdar* i *sirdar*, głównodowodzący Anglików: ten wiszący obok niego nazywał się Mericourt i był jego *subadrem*, pomocnikiem, a ci pozostali po prawej stronie byli wszyscy oficerami Anglików. Ale Phanzegarowie wyprowadzili tych potężnych z samego środka obozu wroga i stracili. Czy nie widzisz, że każdy ma sznit Phanzegara na szyi?

— Człowieku, to ty jesteś Phanzegarem?

— To ty powiedziałaś. Czy nie jestem potężniejszy od tych, których najwyższych mężów spalam? Widzisz tych zmarłych na stosie? To był szlachetny Madpur Singh, maharadża Augh, i jego ukochana żona, których zdrajcy zabili. Przekażę ich duszę Bogu Nieba. A widzisz tych dwóch mężczyzn po lewej stronie obcego *sirdara*! To sułtan Symore i radża Kamooh. Wywabiliśmy obu ze środka ich obozu. Żyją jeszcze, ale ich chwile są policzone. Spójrz, jak płomienie obejmują już ich członki! Łaskawy i sprawiedliwy Madpur Singh został zdradziecko napadnięty i zabity: Phanzegarowie go pomszczą. Złapali przywódców jego wrogów i spalą ich żywych i umarłych nad jego zwłokami. A po to, by cały świat dowiedział się, jak potężny i odważny jest Phanzegar, to sprowadził ten stos tutaj do was. Spójrz na ten nóż! Zabiłbym cię, ponieważ jesteś zdrajcą; ale wysłał cię generał i chcę, abyś mu przekazał, co ci powiedziałem. Zezwalam ci na powrót, ale przysięgam na wszystkie świętości, że w ciągu trzech dni zakosztujesz tego noża, choćbyś się ukrył w niebie, czy też piekle. A teraz idź! Na dziś skończyłem z tobą.

Phanzegar wypowiedział te ostatnie słowa tonem tak rozkazującym i nie znoszącym sprzeciwu, że zwiadowca bez słowa zsunął się do wody i popłynął do brzegu, gdzie, jak zauważyliśmy, czekał na niego generał. Nie mieliśmy czasu, aby zajmować się tym, co się dzieje na brzegu, gdyż nasza sytuacja na tratwie zaczynała być niesympatyczna. Pałący się stos powodował nieznośny upał, który odczuwaliśmy z każdą sekundą coraz bardziej.

— Sahibie, nasze zadanie skończone, możemy wracać do Begum i opowiedzieć jej, jak pomściliśmy śmierć władcy.

— Wracać? W jaki sposób? Na tratwie?

— No, tratwą to niemożliwe, będziemy musieli płynąć. Chyba nie boisz się odrobiny wody?

Nie udzieliłem odpowiedzi na to trochę szydercze pytanie, lecz skoczyłem do rzeki, nie czekając na dalsze wskazówki; Phanzegar za mną. Leżeliśmy na plecach, a rzeka nas niosła w dół, tylko od czasu do czasu lekkim ruchem ręki pomagaliśmy sobie, aby zmierzać w stronę drugiego brzegu, na którym był położony las Koleah. Tratwa ze swym makabrycznym ciężarem trzymała się środka rzeki, a wkrótce zniknęła. Co się z nią stało, nie wiem. Prawdopodobnie zaliczyła jeszcze spory kawałek rzeki, potem ogień strawił sznury z łyka, jakimi były powiązane belki tratwy i woda świętej rzeki przyjęła prochy Madpur Singha, a równocześnie też prochy jego morderców, Anglików i obu zdradzieckich książąt, których zemsta Phanzegara dosięgła szybko i pewnie. Byłem przekonany, że niesamowity nóż przywódcy Thagów po trzech dniach bezbłędnie odnalazł zwiadowcę, którego generał posłał po wiadomość na naszą tratwę.

Przybywszy do brzegu, wyszliśmy z wody. Kąpiel dobrze mi zrobiła po tej piekielnej spiekocie; czułem się jak nowo narodzony. Ledwo stanęliśmy na lądzie, gdy przed nami wyrosło spod ziemi dwóch Thagów, poznałem ich po uzbrojeniu. Trzymali za cugle nasze konie, które niosły nas z ruin nad Ganges. Obydwaj mężczyźni, z rozkazu Phanzegara jechali brzegiem, śledząc tratwę i oczekiwali nas tutaj ze zwierzętami. Phanzegar podszedł do nich i cicho wydał jakiś rozkaz, którego nie zrozumiałem, a oni natychmiast oddalili się w dół rzeki. A my ysjedliśmy na konie i już niedługo potem dotarliśmy do ścieżki, którą przybyłem z Rabbadah do ruin.

Miałem mnóstwo pytań na języku, ale Phanzegar był nieprzystępny i milczący, tak że nie odważyłem się odezwać do niego. Miałem więc czas, aby oddawać się swoim myślom, które naprawdę nie były różowe. Przyszłość rysowała się ciemno i niepewnie. Przy tym mniej myślałem o sobie, niż o Rabbadah, którą los mi zesłał na moją drogę. Kochałem ją całym sercem i ona, co czułem kochała mnie także. Co się z nią stanie? I jakbym mógł, jeśliby zdecydowała się zostać moją żoną, zapewnić jej byt, do jakiego była przyzwyczajona, ja — uciekinier bez ojczyzny i środków do życia? Och, żeby Anglicy tak szybko nie przyszli! Żeby chociaż przez trzy miesiące mógł sprawować mój urząd ministra wojny, to bym tak przyjął Anglików, tych kramarzy, że zaniechaliby myśli o powrocie. Miałbym oparcie w takich ludziach, jak Phanzegar. No, ale teraz wszystko przepadło.

Po przybyciu do ruin, zsiadliśmy z koni. Mistrz wziął mojego za uzdę i oddalił się na wewnętrzny dziedziniec, podczas gdy ja poszedłem na górę, do Rabbadah. Przysłuchiwała się smutna, ale opanowana. Ledwie skończyłem opowiadanie, otworzyły się drzwi i wszedł Phanzegar. Rabbadah podniosła się natychmiast ze swych poduszek i podała mu rękę.

— Dziękuję ci za pogrzeb, jaki urządziłeś mojemu bratu i za wierność, jakiej mi dochowujesz. Nie chciałabym być nigdy twoim wrogiem, ponieważ ty jesteś panem życia i śmierci, i nie musisz rozliczać się przed nikim.

Phanzegar patrzył na nią przez chwilę w zamyśleniu, potem udzielił odpowiedzi:

— Phanzegar jest potężniejszy niż ksiązę, ale chcę ci służyć swoją mocą, dopóki nie uciekniesz Anglikom i nie będziesz bezpieczna.

— Dlaczego uważasz, że mam opuścić Augh i uciekać przed Anglikami?

— Gdyż Augh będzie ich. Zdobędą także Symore i Kamooh. Augh jest stracone dla ciebie na zawsze.

— A co będzie ze mną?

— Będą dążyć do tego, aby dostać cię w swoje ręce.

— Dopóki ja żyję, to im się nie uda! — wtrąciłem.

Thag uśmiechnął się cicho:

— Jak chciałbyś temu zapobiec?

— Ucieknę z nią.

— Dokąd?

— Do jakiegokolwiek posiadłości Holendrów.

— To dobry pomysł, gdyż Anglicy i Holendrzy są wrogami. Ale masz przed sobą długą drogę, która prowadzi przez wszystkie prowincje, w których osiedlili się Anglicy. Wpadłbyś z Begum zaraz w ich ręce.

— To pomóż nam! — poprosiła Rabbadah.

— Uciekniecie jeszcze dzisiaj. Las Koleah, w którym się znajdujemy, leży tak blisko Augh, że Anglicy niedługo się tu pojawią. Wielu z nich padnie, gdyż Phanzegar będzie zaciekle walczył, zanim odda im ruiny świątyni; ale nim rozpocznie się walka, musicie stąd odejść. Mam kontakty z całym krajem. Wystarczy tylko mój jeden ruch, a już statek pojawi się na Gangesie i zawiezie was do Kalkuty. Marynarze są wiernymi ludźmi, na których możecie polegać i zaprowadzą was do pewnego człowieka, który wam zagwarantuje, iż bezpiecznie opuścicie ten kraj i dostaniecie się na statek, który was zawiezie do Holendrów. Czy wykonać ten znak?

— Uczyni to! Ale powiedz mi wpierw, kiedy statek będzie gotowy!

— Dzisiaj w nocy.

— Za wcześniej. Muszę jeszcze dostać się do Augh.

— W jakim celu?

— Znajduje się tam coś, co wolę zniszczyć aniżeli zostawić.

— To, co chcesz zabrać, leży pod twoją altaną i jest dobrze zabezpieczone.

Begum spojrzała na niego zdziwiona, prawie osłupiała.

— Co wiesz o mojej altanie?

— Pod nią ukryte są skarby maharadży Augh.

— Kto ci opowiedział tę bajkę?

— To nie bajka, to prawda. Phanzegar wie wszystko, o czym inni nawet nie śnią.

— No dobrze, przyznaję, że masz rację. Ale dojścia do skarbu nie znasz. I nie znajdziesz go, więc i tak muszę być przy zabieraniu skarbu.

Mistrz uśmiechnął się znowu.

— Czy mam ci jeszcze raz powiedzieć, że Phanzegar wie wszystko? Sądzisz, że nie wiem, iż płytę należy jedynie przycisnąć, aby podstawa altany obróciła się wokół własnej osi i odsłoniła wejście do skarbu? Nie musisz się trudzić osobiście. Potrafię równie dobrze jak ty obrócić

altanę. Często bywałem w tych podziemiach, gdzie złoto błyszczy jak ogień, a diamenty migotają jak gwiazdy.

— Jak to? Więc odważyłeś się podsłuchać naszą tajemnicę i potajemnie wdzierać się do kryjówki? Gdyby Madpur Singh wiedział o tym, byłbyś stracony!

— Nic by mi nie zrobił — odpowiedział Phanzegar dumnie. — Ale powiedz, jak chcecie sami wydobyć ten skarb, aby go ukryć przed Anglikami?

— Poszukalibyśmy wiernych ludzi, którzy by nam pomogli.

— To byłoby bardzo niebezpieczne, gdyż złoto jest potężniejsze niż wierność. Ale czy nie znaleźliście już tych ludzi? Zawierz mi twoje skarby, a ja ci obiecuję, że nie zginie ci nawet najmniejsza rzecz!

— To zadecyduj, co mamy robić, a my będziemy cię słuchać.

— Gotujcie się do odjazdu! Moi jeźdźcy będą wam towarzyszyć i ochraniać przed wszelkimi niebezpieczeństwami. Ganges zatacza tu łuk w kierunku Raalah. Będziecie musieli przeciąć to zakole i poczekać na granicy kraju na mnie i tratwę, na której przywiozę wam skarb maharadży Madpur Singha.

— Niech tak będzie, jak mówisz. Ale co wtedy, jeśli Anglicy nie utrzymają Augh?

— Nigdy go nie utracą. Gdyby tak się jednakże miało stać, to zostaniesz wtedy naszą królową i będziemy ci posłuszni.

— Ale nie wiesz, gdzie będziemy. Jak mnie o tym powiadomisz?

— Zostawcie wiadomość, w Kalkucie u tego człowieka, który załatwi wam statek. Od niego się dowiem wszystkiego i wtedy będę mógł was o wszystkim powiadomić. Muszę iść, aby przygotować się do dzisiejszej nocy, a wy gotujcie się do drogi!

Gdy zelżał skwar, wyruszyliśmy. Towarzyszyło nam dziesięciu Thagów, jadących konno. Podczas jazdy dowiedziałem się od nich, że pięciu ma z nami jechać aż do Kalkuty, aby czuwać nad naszym bezpieczeństwem. Jazda w chłodny wieczór nie była w zasadzie męcząca, zwłaszcza przy boku mojej ukochanej Rabbadah, jednak czułem się zmęczony, gdy w późnych godzinach wieczornych dotarliśmy do celu i Ganges leżał przed nami. Emocje i przeżycia ostatnich dni dały się we znaki.

W zatoczce Gangesu był zakotwiczony wąski statek z masztem i trzema żaglami, *badaya*, taka hinduska bajadera. Na dziobie statku była namalowana, kobieca postać, która tańcząc, powiewała welonem.

Oczekujący nas kapitan małego żaglowca powitał Rabbadah i mnie nadzwyczaj uprzejmie i zaprowadził na tylny pokład, gdzie przygotowano dla nas dwie małe, ale sympatyczne kajuty.

Ponieważ Phanzegara ze skarbem maharadży spodziewaliśmy się dopiero jutro, położyliśmy się natychmiast na spoczynek. Wkrótce zapadłem w głęboki sen.

Obudziłem się, gdyż ktoś dotykał mojego ramienia. Kapitan stał nade mną z glinianą lampą w ręce. Wedle europejskiego czasu mogła być druga w nocy.

— Sahibie, chodź szybko, ponieważ władca będzie tutaj za chwilę.

Ponieważ spałem zgodnie z orientalnym zwyczajem w ubraniu, natychmiast byłem gotów, aby pójść za nim. Gdy wyszedłem na tylny pokład i rzuciłem badawczy wzrok w górę rzeki, zobaczyłem w świetle gwiazd tratwę płynącą w kierunku naszego statku. Była bardzo podobna do tej, na której byłem świadkiem makabrycznych wydarzeń.

Na skutek ciężaru, jaki dźwigała, była głęboko zanurzona, a na pokładzie dostrzegłem tylko dwóch mężczyzn. Natomiast po obu stronach tratwy i za nią zobaczyłem dużo ciemnych punktów, które towarzyszyły pojazdowi. Były to, jak przypuszczałem i jak się później okazało, pływające garnki, jakimi posługują się mieszkańcy nad Indusem, Gangesem i innymi wschodnio — indyjskimi rzekami, aby przy ich pomocy bez wysiłku pokonywać dalekie odległości drogą wodną.

Taki pływający garnek jest szalenie praktyczną rzeczą. Na obu końcach mocnego ale lekkiego kija bambusowego umieszczone jest puste gliniane naczynie. Płynący kładzie się swoim ciałem w poprzek kija i naczynia gliniane utrzymują go wygodnie nad wodą.

Tratwa i towarzyszące jej garnki zbliżyły się. Przybiła do żagłówki od strony rzeki. Pierwszym, który się dostał na pokład, był Phanzegar. Ujrzawszy mnie, podszedł do mnie i zapytał:

— Gdzie jest Begum?

— Śpi. Mam ją obudzić?

— Niech śpi! Mamy skarb maharadży.

— Naprawdę? Jak poszło?

— To nie było trudne. W parku zmarłego władcy nie było prawie ludzi, więc w godzinę uporaliśmy się ze wszystkim.

— Dzięki Bogu! A co teraz?

— Natychmiast przeniesiemy skarb maharadży na pokład. Znajduje się w mocnych i łatwych do przenoszenia workach skórzanych. Potem statek niezwłocznie odpłynie.

— Dokąd?

— Do Kalkuty. Mam tam przyjaciela, który użyje swego poparcia, abyście jak najszybciej mogli popłynąć do Batawii.

— Jak się mam przedstawić twojemu przyjacielowi?

Phanzezar wyciągnął spod swego odzienia torebkę skórzaną i otworzył ją. Zawierała mały, oprawiony w srebro nóż; miał ten sam kształt, co nóż Phanzezara.

— Po przybyciu do Kalkuty przekaz ten nóż, tajemny znak Thagów, kapitanowi tego statku. Jest wtajemniczony we wszystką i możesz mu ufać, jak sobie samemu. Postara się o wszystko, co trzeba. Ale trzymaj ten znak w tajemnicy przed innymi!

— Będę przestrzegał dokładnie twoich wskazówek!

— A teraz nie traćmy czasu! Za godzinę skarb maharadży musi] być na pokładzie. Gdy słońce zacznie swą wędrówkę, *badaya* powinna już płynąć.

Gdyby Phanzezar przeczuł, że obserwowano go podczas nocnego dzieła w parku zmarłego Madpur Singha, i że dwóch śmiałków, zdecydowanych na wszystko, wyruszyło w drogę, aby nam odebrać ten skarb, to nie mówiłby tego tak pewnie. I koleje życia mojego i Rabbadah mogłyby być całkiem inne i chyba nawet miałyby szczęśliwszy przebieg.

* * *

Mój żaglowiec jest już w surowym stanie. Jestem naprawdę dumny ze swego dzieła. Jeszcze nigdy, z wyjątkiem pierwszych lat, gdy Rabbadah była przy mnie nie mijały mi tak szybko dni i godziny. Znowu przekonałem się, jakim wielkim błogosławieństwem jest praca, praca prowadząca do określonego celu. Czuję się jak nowonarodzony, mięśnie ramion naprężyły się, a krew prawie niepostrzeżenie płynęła moimi żyłami.

Zmieniły się również moje poglądy. Nie rozumiałem już mojego dotychczasowego życia. Jakże mogłem przekreślić tyle lat i spędzić je na beczynnej żałobie, ani razu nie próbując zmienić swego losu? Teraz, gdy znowu czuję w sobie dawną energię, uświadamiam sobie, jak wiele sposobności ucieczki z mego więzienia zapraszającym gestem krążyło wokół mnie. A ja unikałem ich tchórzliwie i z zamkniętymi oczami. Czy nie jest już aby za późno? Czy przeznaczenie, którego wołania nie zrozumiałem, nie zmęczyło się już mną i nie każe mi zginąć? Czuję w sobie siłę, aby iść w szranki z moim losem i podjąć z nim walkę. A kiedy stracę panowanie nad sobą, to chcę jednego, zginąć jak mężczyzna, zmagając się oko w oko z tym, co nieuniknione.

Trzęsienie ziemi nie powtórzyło się. Nie było nawet najmniejszego znaku, który by wskazywał na to, iż moce głębi planują jakieś nieszczęście. Wstydzę się, że wtedy tak się bałem i wydaje mi się, że jestem jak dziecko, które wystraszyło się fałszywego alarmu. Czy rzeczywiście stałem się dzieckiem? Niekiedy w to wierzę, bo tak pogodnie i beztrósco

spoglądałam w przyszłość. Ogarnęła mnie jakaś niezachwiana nadzieja, którą muszę określić jako lekkomyślną, jeśli pomyślę o trudnościach piętrzących się przed moim przedsięwzięciem.

Za czternaście dni, mam nadzieję, spuszczę mój stateczek na wodę, a za miesiąc, jak Bóg pozwoli, pozrywam kajdany mego więzienia i jak ptak polecę w dal, do wolności albo ku śmierci.

* * *

Podróż w dół świętej rzeki przebiegała jak sen. Wyobrażałem sobie, że jestem królewiczem z bajki, który ma obudzić Śpiącą Królową do życia w miłości. Nie powiedziałem jeszcze Rabbadah o moich uczuciach. To było zbyteczne, gdyż rozumieliśmy się bez słowa. Było tak, jakby nasze serca leciały do siebie, unoszone przez niewidzialne fale.

W zasadzie podróż nie obfitowała w wydarzenia. A jednak zaraz pierwszego dnia zdarzyło się coś, co zadecydowało o naszej przyszłości: Rabbadah wyznała mi swoją miłość i... jednak nie chcę uprzedzać faktów.

Płynęliśmy tylko dniem. Wieczorem szukaliśmy bezpiecznego miejsca na brzegu, gdzie byliśmy do rana. *Badaya* miała za sobą dobrą podróż, zakotwiczyliśmy się w małej zatoce, gdy zaczęło się ściemniać. Po zakończeniu prac na pokładzie marynarze i nasza składająca się z Thagów ochrona zeszli na brzeg i rozbili obóz przy szybko roznieconym ognisku, przy którym przygotowali sobie posiłek. Rabbadah wycofała się wkrótce do swej kajuty. Ponieważ nie byłem senny, opuściłem statek i przyłączyłem się do siedzących na brzegu, którzy chętnie i z pełnym szacunkiem zrobili mi miejsce przy ognisku. Byli to prości ludzie, z których chyba żaden nie chodził do szkoły, ale znali pełno sag i nie trwało to długo, a opowiadanie było w pełnym toku.

Chętnie poddałem się urokowi ich gadek, opowiadających o obcym świecie; godziny mijały w mgnieniu oka, może w dziesiątej godzinie zbliżyli się do nas dwaj mężczyźni. Sądząc po ich ubiorze, należeli do najbiedniejszej klasy, ale miny mieli poważne i wzbudzające zaufanie. Sprawiali wrażenie pielgrzymów, powracających z dalekiej drogi do swej ojczyzny.

Jeden z siedzących przy ognisku marynarzy podniósł się, gdy podeszli bliżej, i zapytał:

— Przybywacie zapewne z bardzo daleka. Jak się pociecie?

To pozdrowienie jest powszechnie przyjęte w Hindusów, ponieważ w tym gorącym kraju pocenie jest oznaką zdrowia, podczas gdy brak potu oznacza zbliżającą się chorobę.

— Dziękujemy wam, bracia! — odpowiedział starszy. — Pocimy się dobrze i za to chwalimy Boga, gdyż mamy za sobą daleką podróż.

— Skąd przybywacie?

— Ze świętych gór, tam w górze, gdzie słońce nie może zniszczyć lodu.

— Coście tam robili?

— Byliśmy nad sławnym źródłem Ahabar, z którego pije święty Byk Gór. Kto jego wodę skosztuje, temu są odpuszczone wszystkie grzechy. I przebacza się również tym, którzy dzielą z nim swoje łoże i swój ryż. Jak się pociecie?

— Pocimy się bardzo, gdyż mamy kierować tym statkiem.

— Dokąd chcecie płynąć?

— W dół do Kalkuty. A wy, pobożni bracia?

— Też do Kalkuty.

— Tak daleko?

— To nie jest daleko. Państwo *laskarów*, indyjskich marynarzy leży dalej, niż z Kalkuty do Ahabar i z powrotem.

— Jak to, to wy jesteście *laskarami*? Witajcie! Usiądźcie, jedzcie i pijcie z nami! Musicie nam opowiedzieć o swoich religijnych podróżach!

Nie trzeba było drugi raz ich prosić. Usiedli i dostali porcję ryżu. Każdy z nich przyrządził go sobie według hinduskiego sposobu i spożywał, siedząc tak, aby zgodnie z hinduskim obyczajem nikt go nie mógł obserwować.

Podczas gdy ci dwaj jedli, jeden z marynarzy sięgnął w stronę krzaku pieprzu, na którym wisiała jego *raflah*, gliniana lutnia. Nastroił struny i zaśpiewał piosenkę, towarzysząc jej monotonnym brzdąkaniem.

— No, opowiedzcie nam teraz, co widzieliście! — powiedział kapitan, gdy ten skończył.

— Niech zaśpiewa jeszcze jedną piosenkę! Kocham *raflah* i pieśni, a od dłuższego czasu żadnej nie słyszałem. — odezwał się jeden z *laskarów*.

— Ty też pewnie umiesz grać?

— Tak, sahibie.

— To zaśpiewaj nam! Weź *raflah*, a jak mi się spodoba twoja pieśń, to wezmę was za darmo do Kalkuty.

— Twoje serce jest pełne miłosierdzia, sahibie! — odpowiedział ucieszony mężczyzna. — Postaram się spodobać cię i twoim ludziom.

Wziął *raflah*, nastroił struny i śpiewał.

Wszyscy obecni przysłuchiwali się z uwagą, także ja byłem urzeczoney tymi dźwiękami. Były zupełnie inne, niż te, których zwykle słuchałem. Wiedział, że zrobił na nas wrażenie i śpiewał dalej.

Wtem ukazało się na pokładzie przepiękne oblicze kobiety. Rabbadah obudziła się i wyszła z kajuty, aby przysłuchiwać się słodkiemu zawodzeniu tej pieśni. Nie mogłem oderwać wzroku od jej niebiańskich rysów. Śpiewak zakończył pieśń.

Mężczyźni na znak aplauzu uderzali dłońmi po kolanach. Na mnie wywarła ta pieśń nieopisane wrażenie, wywołane nastrojem nocy i bliskością ukochanej. Podniosłem się i zbliżyłem do śpiewaka.

— Kim jesteś? — spytałem.

— Jestem *laskarem*, nazywam się Lidrah, sahibie. A mój towarzysz, to mój brat. Kaldi.

— Śpiewasz i grasz tak, jak jeszcze nigdy nie słyszałem u Hindusa.

— Nauczyłem się tego od pewnego człowieka z kraju Franków.

— Tak myślałem. Znasz jeszcze więcej takich pieśni?

— Tak, sahibie!

— Sahiba, tam na górze z pewnością posłucha jeszcze jednej.

— Jeżeli ona rozkaże, to chętnie będę jej posłuszny.

Wziął ponownie lutnię do ręki i zaczął od kilku chwytów. Widział ciemne oczy Rabbadah skierowane na siebie i śpiewał melancholijnym głosem. Gdy skończył, zebrał takie same brawa, jak poprzednio.

— Jestem z ciebie zadowolony — powiedział kapitan statku. — Pojedziecie z nami do Kalkuty. Jesteście *laskarami*, znacie się więc na żegludze?

— Tak, sahibie.

— Czy w czasie waszej pielgrzymki wolno wam pracować na statku?

— Tak, jeżeli odmówimy tyle modlitw, ile ślubowaliśmy.

— Więc odmawiajcie je. Dostaniecie nawet zapłatę, jeżeli w drodze do Kalkuty pomożecie mi od czasu do czasu postawić żagle.

— Chętnie ci pomożemy, sahibie. Rozkazuj!

Wróciłem na pokład *badai*. Byłem sam z Rabbadah, która siedziała na dziobie i czekała na mnie.

— Czy ten człowiek jest tubylcem?

— Tak.

— Ale śpiewał tak obco i pięknie, tak jak sobie wyobrażałam pieśni Franków według opisu mojego brata.

— Rzeczywiście nauczył się ich od jakiegoś Franka.

— To dziwne, że wy Frankowie, umiecie wszystko lepiej niż my!

— Są tego dwie ważne przyczyny.

— Powiedz mi, co masz na myśli!

— U nas nie ma kast. Każdy może zostać tym, kim chce i rozwijać swe zdolności, jakimi go Bóg obdarzył.

— To u was parias mógłby zostać kapłanem, braminem?

— Tak, ponieważ Bóg stworzył ich obu na swoje podobieństwo. Nie przez urodzenie człowiek nabiera wartości, lecz człowiek jest właśnie tak wysoko lub tak nisko, jak jego myśli, którymi myśli, jak jego uczucia, których doznaje i czyny, których dokonuje.

— To brzmi tak pięknie i prawdziwie, ale nie mogę tego zrozumieć. Może nadejdzie taki czas, kiedy będę wiedziała, co chcesz powiedzieć. A drugi powód?

— U nas niewiasta ma takie same prawa jak mężczyzna. Dziewczynka rodzi się tak samo wolna jak chłopiec; uczy się wszystkiego, czego chce się uczyć. Może sobie wybierać męża i nie jest jego niewolnicą. Uczestniczy w jego radościach i cierpieniach i ma nad dziećmi taką samą władzę jak mężczyzna. Bóg jest wszechmocą i miłością, ale człowiek jest jego odbiciem, a ponieważ człowiek, to i mężczyzna i kobieta, więc mężczyzna ma być odbiciem boskiej wszechmocy, a niewiasta odbiciem boskiej miłości. A gdy wszechmoc i miłość tak blisko współdziałają, to człowiek coraz bardziej upodabnia się do Boga, miłość i sprawiedliwość zstępują z nieba, a narody zbliżają się coraz bardziej do wzniosłości i wspaniałości tego, który dał im życie i byt.

— Tego także nie rozumiem, — stwierdziła — ale chciałabym to kiedyś zrozumieć. Kobieta powinna być odbiciem miłości Bożej — dodała po chwili.

Spojrzenie jej cudownego oka było skierowane ku gwiazdom. Jej twarz była twarzą anioła, który zstąpił z odległych wyżyn. Nie mogłem oderwać od niej wzroku i odważyłem się, porwany czarem, jaki na mnie wywierała, położyć na jej ręce, moją.

— Czy wiesz, co to miłość? — spytałem cichutko.

— Nie.

— Więc nigdy nie kochałaś?

— Kochałam. Czyż nie jest miłością to, czym się obdarza matkę i brata?

— Tak, ale istnieje jeszcze inna miłość, nieskończenie bogatsza i przynosząca szczęście. Miłość, która czyni tę biedną ziemię mieszkaniem szczęśliwych.

— O jakiej miłości myślisz?

— To miłość w sercu mężczyzny i kobiety. Poznałaś ją już?

— Nie. Nie znalazłam żadnego mężczyzny, nie chciałam żadnego mężczyzny, nie kochałam żadnego mężczyzny.

— I nie znasz i nie kochasz teraz żadnego mężczyzny?

— Czy wolno kobiecie, według waszych obyczajów mówić o tym?

— Tak.

— Komu?

— Temu, kogo kocha.

— To wtedy będzie przecież wiedział, że ona go kocha.

— A dlaczego miałby tego nie wiedzieć?

— A jeśli on tej miłości nie odwzajemnia?

— Och, miłość jest wszechmocna i żadne serce nie jest w stanie się jej oprzeć. Kto kocha z głębi serca, ten z pewnością znajdzie miłość.

— Och, żeby to była prawda! — szepnęła zapominając się.

Przyłożyłam jej rękę do mego serca i objąłem ramieniem tę wspaniałą istotę. Mocno przywarła do mojej, z nieopisanego szczęścia, szybko bijącej piersi.

— Moja duszo, mój aniele, moja boginko, czy chcesz zostać moją żoną, chcesz być ze mną teraz i zawsze?

— Teraz i zawsze! — szepnęła, odwzajemniając pocałunek, jaki wycisnąłem na jej wargach.

— Przysięgam ci, że każda chwila mojego życia, każdy oddech mej piersi, każdy puls mego serca będzie należeć jedynie do ciebie, Rabbadah!

Siedzieliśmy mocno objęci obok siebie, gwiazdy błyszczały jak diamenty, Krzyż Południa świecił na nas; jednak gwiazdy, które weszły w moje serce, świeciły dużo jaśniej, niż brylanty tropikalnego nieba.

Tymczasem na dole przy ognisku rozmowa dobiegała końca i czyniono przygotowania, aby udać się na spoczynek. Mężczyźni rozłożyli swe koce w pobliżu ogniska, a dwaj z nich weszli na statek po drabinkach plecionych z włókien palmy, aby w nocy być na warcie. Więc nasza niezmacona cisza już się na dzisiaj skończyła. Podnieśliśmy się, aby iść spać. Przy drzwiach kajuty Rabbadah, pożegnałem się z ukochaną długim, czułym pocałunkiem.

Tej nocy długo sen nie nadchodził. Moje serce było przepojone szczęściem, a moje myśli wybiegały w przyszłość, malując w mojej pobudzonej wyobraźni najcudowniejsze obrazy. O, jakim byłem głupcem! Nie przypuszczałem, że obok nas czyhała zdrada, i że wzbudające szacunek twarze nowo przybyłych były tylko maską, za którą ukryły się najciemniejsze zamiary.

Po kilku tygodniach Badaya dopłynęła do Kalkuty. Obaj *laskarowie* okazali się bardzo przydatnymi ludźmi i wiedzieli jak się przypodobać marynarzom drobnymi przysługami. Wieczorem zakotwiczyliśmy. Kapitan dał rozkaz, aby nikt nie opuszczał statku. On sam natomiast wsiadł do małej łódki i powiosłował, po otrzymaniu ode mnie tajemnego znaku Thagów. Byłem ciekaw, czy wpływ Phanzegara sięga rzeczywiście do serca prowincji, dawno zajętej przez Anglików.

Po upływie mniej więcej godziny otworzyły się drzwi kajuty i wszedł kapitan w towarzystwie mężczyzny, w którym po osobliwym ubraniu rozpoznałem jednego z owych *parsów*, perskich czcicieli ognia, znanych w Indiach ze swych bogactw i szalonej uczciwości. Silnie zbudowany mężczyzna miał wysoką czapkę, a długa, w środku podzielona broda, falowała aż do piersi. Ledwie nieznanomy wszedł, kapitan zamknął za nim drzwi. *Pars* popatrzył na mnie długim, badawczym spojrzeniem i pozdrawiając podniósł rękę.

— Pokój i szczęście niech będzie z tobą! Czy ty wezwałeś Samdhadzę?

— To ja. Siadaj!

Wskazałem gościowi miejsce koło mnie na sofie, podałem mu *hukak* i chciałem podać ogień.

— Pozwól, że ja cię obsłużę.

Pars podał ogień i oparł się wygodnie o poduszkę, oczekując wyjaśnienia, dlaczego został zawezwany na pokład.

— Otrzymałeś znak?

— Tak.

— Powiedziano mi, że wiele dla ciebie znaczy.

— Jest dla mnie rozkazem. Kto go przekazał kapitanowi, ty czy ktoś inny?

— Ja.

— Mów, czego żądasz ode mnie.

— Statku.

— Dokąd?

— Do Batawii.

— Jutro odpływa. Dostaniesz najlepsze miejsce.

— Muszę go mieć dla siebie.

— Musiałbym przepędzić podróżnych, którzy znajdują się na pokładzie.

— To daj mi inny statek!

— Mówisz tak, jakbyś posiadał miliony! Kim ty właściwie jesteś?

— Nazywam się Hugo von Gollwitz i byłem ochotnikiem, podporucznikiem w angielskiej służbie

— A więc nie jesteś Anglikiem?

— Nie. I przyjechałem z generałem lordem Haftleyem do Augh...

— Żeby maharadży zdradziecko ukraść kraj — stwierdził *pars* z błyskającymi gniewnie oczami, a jego czoło pokryło się zmarszczkami.

— Nie mogłem być zdrajcą, gdyż byłem przyjacielem maharadży.

— Ty?

— Tak. Poznałem go tutaj, gdy się tu zatrzymał *incognito*.

— Ach, to ty jesteś owym podporucznikiem, o którym mi opowiadał! Witam cię, gdyż to niemożliwe, abyś był jego przeciwnikiem.

Opowiedziałem wszystkie przeżycia ostatnich dni. Gdy skończyłem, spytał:

— Co się stało z Begum? Czy ją także zamordowali?

— Oto ona.

Rabbadah stała obok drzwi. Była tak czarująca, że *pars*, podniósł się i skłonił zmieszany, aby ucałować rąbek jej sukni.

— Księżno! — zawołał — Rozporządzaj mną i moim życiem! Ono należy do ciebie!

— Nazywasz się Samhadza. Jesteś najstarszym *parsem* w Kalkucie?

— To ja.

— Madpur Singh kochał cię, byłeś jego przyjacielem. Czy chcesz też być moim?

— Chcę być twoim przyjacielem i twoim niewolnikiem.

— Uciekiniarka potrzebuje przyjaciół, niewolników może sobie kupić. Ten mężczyzna będzie moim małżonkiem. Czy zawieziesz nas potajemnie do Batawii?

— Uczynię to. Statek odpłynie skoro świt, nie będzie was to kosztować ani jednej rupii. Powiedz, czy potrzebujesz pieniędzy. Dam ci je.

— Nie potrzebuję ich, bo mam cały skarb z Augh ze sobą. Usiądź proszę i posłuchaj o tym, co smutnego przeżyliśmy!

— Wybacz, księżno, że się oddalę. Ani przez moment nie będziecie w Kalkucie bezpieczni i dlatego jak najszybciej muszę przygotować jeden z moich statków. W kapitanacie muszę usunąć każdą przeszkodę, mogącą opóźnić wasz wyjazd. Będziesz mieć mój najlepszy statek i mego najlepszego kapitana. Tylko zabraknie mi marynarzy. Nawet jeśli wszystkich zbiorę, dwóch będzie brakować.

— Mamy dwóch u nas, na pokładzie — wtrąciła Begum.

— Co to za ludzie?

— *Laskarowie.*

— To są zazwyczaj dzielni i przydatni marynarze. Kiedy przybyli na *badayę*?

— Na granicy Augh.

— Trzymajcie ich w pogotowiu, gdy przyjdę po was. A teraz księżno, muszę się pospieszyć. Będzie czas na opowiadanie na pokładzie trójmasztowca.

To było mniej więcej tydzień później. Żaglowiec „Bahadur” minął Andamany i Nikobary i płynął z Sumatry na południe, aby z pasatem dotrzeć na Jawę. Na pokładzie wszystko było w porządku, co odzwierciedlała radosna twarz kapitana, spacerującego po tylnym pokładzie. Był tak jak ja Niemcem i nic w tym dziwnego, że chętnie przebywaliśmy ze sobą. Kapitan stwierdził właśnie:

— Nasza podróż przebiega dobrze i zrobimy prawdopodobnie tylko jedną, krótką przerwę.

— Jaką?

— Miałem zawsze to rzadkie szczęście, że mogłem być zadowolony z moich ludzi, ale przed moją ostatnią wyprawą dostałem takiego faceta na pokład, który mi przysporzył kłopotów. Aby inni nie brali z niego przykładu, wpadłem na pomysł, by go wysadzić. Dałem mu mnóstwo artykułów spożywczych i zawiozłem na małą wyspę, która mu dostarczy więcej owoców i wody, niż potrzeba dla dziesięciu mężczyzn.

— A więc mała robinsonada?

— Mała i krótka, gdyż ma tam być tylko do czasu, kiedy znowu będę tamtędy przepływał.

— Płyniemy tam teraz?

— Tak. Wyspa leży wprawdzie poza naszym kursem, ale dlatego właśnie nadawała się do tego celu. Wiem, że tylko ja ją znam, więc żaden inny statek nie skróci samotności tego grzesznika.

— Kiedy tam zawiniemy? Kapitan sprawdził olinowanie.

— Przy tym powietrzu należy przypuszczać, że jeszcze dzisiaj przed nocą dotrzemy do tego chwilowego więzienia.

— Czy wyspa jest duża?

Kapitan zaśmiał się.

— Duża? Tak, sądzę, że trochę większa od mojej dłoni.

— Były tam drzewa?

— Tak, widziałem ich dużo, całą masę palm kokosowych.

— A woda też jest?

— Też. Ale czemu pan tak usilnie dopytuje się o tę wyspę? Czy chce pan zabawić się w Robinsona?

— W to akurat nie — zaśmiałem się. — Ale mimo woli wyobraziłem sobie siebie jako Robinsona i dlatego chciałem się dowiedzieć, czy można na tej wyspie wytrzymać.

Gdybym wtedy przypuszczał, że już wkrótce będzie mi sądzone prowadzić życie prawdziwego Robinsona, to chyba nie byłoby mi do śmiechu.

Od tej chwili następowały bardzo szybko wydarzenia, które moim marzeniom o przyszłości zgotowały nędzny koniec. Dwaj *laskarowie* okazali się na pełnym morzu pracowitymi mężczyznami, ale już od kilku dni przestali mi się podobać. Starszy z nich, Lidrah, spoglądał na moją Rabbadah dziwnym wzrokiem, który dawał mi dużo do myślenia. Była wprawdzie zawsze zakwefiona, ale przecież widział jej twarz wtedy, gdy się pojawili. Nic też dziwnego, że jej uroda zrobiła wrażenie na tym prostym człowieku. Ale to nie było to, co mnie zraziło i wywołało moje podejrzenie. W jego oczach można było odczytać nie tylko podziw, ale i pożądanie, namiętne pożądanie. I co dziwnego! Kiedy sądził, że nikt na niego nie patrzył, jego wzrok zawierał tyle wrogości, nawet chęci zabójstwa skierowanej w moją stronę, tak że naprawdę się przestraszyłem. Na ogół spotykałem się z ich pełnym szacunkiem, nawet ze służalczością. Im bardziej dziwiło mnie to spostrzeżenie, tym bardziej stawałem się nieufny. Postanowiłem więc przyjrzeć im się uważnie.

Po południu wiatr ustał i nawet, gdy się pod wieczór trochę ożywił, był tak słaby, że prawie nie odczuwało się, iż statek płynie. Pomimo tego zauważyłem jeszcze przed zapadnięciem zmroku małą wyspę, która wyłoniła się z morskich fal w niezbyt dalekiej odległości. Poszedłem do kapitana.

— Spuści pan łódź, aby go zabrać? — spytałem kapitana obserwującego wyspę przez lornetę.

— Nie. Na tych szerokościach zmierzch zapada tak szybko, że łódź nie zdążyłaby dopłynąć do wyspy i mogłaby się nam zgubić. Latarnia statku ma za słabe światło. Nawet gdyby oświetlono wyspę, to najpierw trzeba tego człowieka poszukać, a przecież nie wiemy, jaki mamy znos i jakie nieprzewidziane wypadki mogą nastąpić.

— Co pan zatem zrobi?

— Popłyniemy w kierunku wyspy, aby przy tym słabym wietrze dotrzeć do niej w nocy. Rankiem łatwo go odnajdziemy i ściągniemy. Zauważył pan, jak się szybko ściemniło? Kolacja jest już gotowa. Chodźmy!

Po kolacji udaliśmy się do kajut. Bardziej z przyzwyczajenia niż « ostrożności zamknąłem za sobą drzwi na klamkę. Nie miałem jeszcze zamiaru położyć się spać, więc usiadłem na krześle. Jednak nie zapaliłem światła, gdyż w ciemności mogłem się lepiej oddawać moim myślom. To właśnie i fakt, że zachowywałem się bardzo spokojnie, uratowało mi życie.

Myśleli, że głęboko śpię, w przeciwnym razie byłbym pierwszym, który padł ofiarą tego morderstwa.

O kim myślałem? Właściwie nie muszę tego mówić. Jeszcze tylko kilka dni, potem Behadur zawinie do Batawii, a ja pod osłoną holenderskiej flagi poprowadzę Rabbadah do ołtarza. Jeszcze tylko kilka dni! A potem? Nie miałem wcale zamiaru pozostać na Jawie i czekać, jak ukształtuje się sytuacja polityczna w Augh. Równie dobrze mogłem czekać w mojej ojczyźnie. Pierwszym holenderskim lub niemieckim żaglowcem, to było moje mocne postanowienie, wsiedlibyśmy na statek do Suderlandii. Ale czy Rabbadah pojedzie ze mną? Jeszcze nie rozmawiałem z nią o tym, ale byłem święcie przekonany, że powie „tak”. Skoro została skazana na wygnanie, to powinno być jej wszystko jedno, czy krajem jej wygnania jest Jawa czy Süderlandia. A gdyby mimo to trudno było jej wyjechać tak daleko od kraju jej ojców, to przecież miłość przewycięży wszystko. Moim najgorętszym pragnieniem jest to, aby zapomniała o przebytych cierpieniach.

Wyrwałem się z mych szczęśliwych myśli, gdyż zdawało mi się, jakbym z drugiej strony, gdzie znajdowała się kajuta kapitana, usłyszał przytłumione wołanie o pomoc. Wstrzymałem oddech i nasłuchiwałem. Znowu! Tym razem wyraźnie zrozumiałem słowo wypowiedziane przez kapitana. Nie zastanawiając się długo, porwałem ze ściany szpadę oraz zawsze naładowany rewolwer i podążyłem w górę na pokład.

Moja kajuta znajdowała się po przeciwległej stronie statku. Żeby dotrzeć do kajuty kapitana, musiałem przemierzyć całą jego długość. Już podniosłem nogę, wtedy otworzyły się drzwi kajuty kapitana i obaj *laskarowie*, poznałem ich natychmiast, gdy w świetle księżyca ukazali się na progu. Także oni spostrzegli mnie i przystanęli.

Czego ci dwaj szukali u kapitana? Teraz o tak późnej porze? Wydawało mi się to podejrzanе. Jeżeli ci dwaj mieli jakieś nieczne zamiary, to nie mogłem pozwolić, aby podeszli do mnie zbyt blisko. Wyciągnąłem więc rewolwer i odbezpieczyłem go.

— Co się dzieje u kapitana? — zawołałem przez pokład. Lidrah szedł wolno w moim kierunku i odpowiedział jak zwykle w służalczym tonie:

— Kapitan musiał śnić, sahibie, ponieważ...

— Stój! — przerwałem mu. — Stój, bo strzelam!

Lidrah zobaczył skierowaną na siebie lufę rewolweru i zatrzymał się mimo woli.

— Sternik! — zawołałem głośno.

Nie usłyszałem odpowiedzi. Sprawa wydała mi się jeszcze bardziej zagadkowa. Rozglądnałem się. Niedaleko mnie zobaczyłem nieruchome ciało jakiegoś człowieka.

— Wszyscy na pokład! — zawołałem teraz na całe gardło.

Ale i to było daremne; nastąpił tylko jeden ruch. Lidrah podniósł rękę. Jego sztylet pomknął w moją stronę i trafił mnie w lewe ramię, ale w tym momencie padł mój strzał i ten człowiek trafiony kulą w głowę, runął na ziemię. Chwilę później stałem przed Kaldim; moja szpada zabłyszczała i cios trafił *laskara* tak głęboko w ramię, że się osunął.

Wtem usłyszałem za mną szelest. Szybko odwróciłem się. Przede mną stała Rabbadah w długiej koszuli nocnej.

— Co tu się dzieje? — zapytała strwożonym głosem.

— Nie przestrasz się, Rabbadah! Wydarzyło się nieszczęście.

— Jakie?

— Zabiłem tych dwóch mężczyzn gdyż chcieli mnie zamordować. Rabbadah, to nie jest widok dla ciebie. Wracaj do kajuty! Tutaj jest coś strasznego. Albo wszyscy zostali wymordowani, albo jest bunt na pokładzie i czekają, aż obnażą swoją słabą stronę.

— Ciebie opuścić? Nigdy! Zostaję z tobą.

— To poczekaj chwilę!

Wróciłem do mojej kajuty i przyniosłem lampę, którą zapaliłem. Potem oświetliłem nią ostrożnie kajutę kapitana. Leżał martwy na podłodze. Nie myliłem się więc i dobrze zrozumiałem krzyk. Jednak nie mogłem sobie tego zajścia wytłumaczyć. Nie mogłem sobie wyobrazić, aby sami *laskarowie*, bez wiedzy innych dokonali tego czynu, który przecież nie przyniósł im żadnych korzyści. Musiało tu chodzić o ogólny bunt. Musiałem pomyśleć o bezpieczeństwie moim i Rabbadah. Rabbadah myślała widać podobnie, gdyż chwyciła mnie za ramię.

— To dla ciebie zbyt niebezpieczne! Chodź szybko do mojej kajuty i poczekaj tam, aż nastanie dzień!

Uwolniłem się od niej delikatnie i powiedziałem:

— Nie, Rabbadah! Może ktoś potrzebuje naszej pomocy i bez nas byłby zgubiony.

Rabbadah przyznała mi rację, ale nie chciała wrócić do kajuty. Przyłgnęła do mnie, gdy teraz ostrożnie obchodziłem cały pokład.

To, co odkryłem, było straszne. Kolo steru leżał sternik z przebitym sercem. Był już prawie zimny. Widocznie był pierwszą ofiarą sztyletu morderców. Poszedłem dalej na bakburkę, ale nie znalazłem nikogo, oprócz człowieka, który mi pierwszy wpadł w oko i który stał zapewne na warcie. Potem z ciężkim sercem poszedłem do luku, prowadzącego do kubryka. Co ja tam znajdę? Gdy popchnąłem drzwi i rzuciłem okiem na sypialnię, słabo oświetloną lampą naftową, włosy mi się zjeżyły na głowie. Całe pomieszczenie pływało we krwi. To był widok, którego Rabbadah nie mogła znieść. Z głośnym okrzykiem przerażenia oderwała się ode mnie i uciekła.

Nie mogłem iść za nią, gdyż najpierw musiałem się upewnić, czy nie mogę przyjść komuś z pomocą.

Badanie nie trwało długo. Mordercy osiągnęły swój cel; nie żył żaden z ośmiu mężczyzn. Widziałem już niejednego straszny obrazek i nawet nie drgnąłem. Ale widok tych ośmiu mężczyzn w tak ohydny sposób pozbawionych życia był zbyt przerażający. Jeszcze dzisiaj myślę o tym ze zgrozą. Zacząłem słabnąć, ale na siłę pozbierałem się, albowiem sytuacja, w jakiej znaleźliśmy się, wymagała silnej woli prawdziwego mężczyzny. Zacząłem się zastanawiać. Jaki cel im przyświecał przy dokonywaniu tej okropnej rzezi? Było to pytanie, na które tylko oni mogliby udzielić odpowiedzi. Ale nie żyli już i nie mogli mówić. Czy naprawdę nie było w nich już życia? Musiałem mieć pewność. Dlatego wróciłem na pokład i podszedłem do Lidraha. Nie żył; jego oczy patrzyły osłupiałe w pustkę. Gdy tak byłem nim zajęty, jakby z boku, gdzie leżał Kaldi, dochodziło rżenie. Szybko odwróciłem się i przyklęknąłem przy nim.

Laskar otrzymał straszny cios, cały bark był jedną wielką otwartą raną i chociaż krótko tu leżał, to jednak upływ krwi był tak znaczny, że pomoc była już niemożliwa. Wyglądało na to, że jest przytomny, gdyż po oczach na mnie skierowanych zobaczyłem, że mnie poznaje. Jeżeli chciałem się czegokolwiek dowiedzieć, to nie wolno mi było tracić ani chwili.

— Nieszczęśliwczycy, coście uczynili?

Ranny podniósł bezsilnym ruchem niezranione ramię i wykrztusił przerywając i bełkocąc:

— Skarb... chcę, a Lidrah... chce... Begum.

A więc to dlatego! Miałem już wyjaśnienie tej wstrząsającej zbrodni. Ale skąd wiedzieli o skarbie maharadży? Skąd wiedzieli, że moją towarzyszką jest Begum? Nikomu nie zdradziłem, kapitanowi też nie, kto jest moją towarzyszką. I mogłem przypuszczać, że także Thagowie płynący z nami do Kalkuty, milczeli. Cień śmierci zaczął się już kłaść nad zniekształconymi rysami umierającego. Urywającymi, coraz słabszymi słowami, wyznał mi wszystko. Było ich niewiele, ale to, czego brakowało, potrafiłem sam łatwo uzupełnić. Obydwaj bracia nie byli *laskarami*, jak podali, lecz pochodzili z Augh. Nocną porą byli świadkami, jak Phanzegar ze swoimi Thagami zabierał skarb z altany w parku maharadży. Dojrzywał w nich plan zawładnięcia skarbem. Potajemnie śledzili tragarzy i gdy odkryli, że paczki zostały wniesione na *badayę*. Ich decyzja zapadła. Wyprzedzili *badayę* krótszą drogą i następnego wieczoru przyłączyli się do nas. W nadziei, że będą mogli wspólnie z nami podróżować na statku, podali się za *laskarów*, nie mających innej ojczyzny, jak pełne morze, i wracających z pielgrzymki. Oszustwo udało im się tym bardziej, że kiedyś faktycznie pływali na morzu i przyswoili sobie konieczne umiejętności. Wieczorem Lidrah zobaczył Rabbadah

bez kwefu i od tego momentu dążył nie tylko do posiadania skarbu, ale i Begum. Na nasze szczęście do tej pory nie nadarzyła im się sposobność, aby urzeczywistnić ten zamiar. Koniecznie chcieli wypłynąć z nami w morze. Ponieważ kapitan żaglowca potrzebował jeszcze kilku silnych ludzi, wynikło to więc samo z siebie, że zostali zaproszeni jako marynarze. Dzisiaj, gdy ukazała się wyspa, chcieli w końcu wykonać swój haniebny plan. Po wymordowaniu całej załogi przybyliby na wyspę, wysadzili na ląd skarb i Begum, wywiercili dziurę w statku, aby zatonął i odczekali jakiś czas, dopóki przepływający przypadkiem statek ich nie zabierze, w ten sposób uratowaliby się, no i część skarbu. Później chcieli wrócić po resztę skarbu, uwolniwszy się wcześniej od Begum, gdyby zaczęła być uciążliwa.

Opowiadanie wyczerpało zranionego. Po chwili stracił przytomność i jego oddech był coraz słabszy. Myślałem, że już nie żyje, gdy wtem podniósł się do pozycji na wpół siedzącej. Jego oczy otwały się szeroko i z gorączkowym blaskiem patrzyły na jeden określony punkt, jakby widział kogoś, kogo ja nie mogłem dostrzec. Ostatkiem sił i łamiącym głosem bełkotał:

— Na wyspę ze skarbem, Begum jest twoja, skarb mój.

Siły go opuściły, opadł martwy do swej poprzedniej pozycji.

Teraz, gdy wiedziałem wszystko, ode mnie zależało, aby zmienioną sytuację wykorzystać na naszą korzyść. Ale najpierw musiałem rozejrzeć się za Rabbadah. Znalazłem ją w kajucie z zasłoniętą głową klęczącą na ziemi. Widok pomordowanych był ponad jej siły. Podszedłem do niej i podniosłem do góry jej głowę.

— Rabbadah!

Obudziła się jakby z głębokiego oszołomienia. Kurczowo objęła moje kolana, gwałtowne drżenie zatrzęsło jej ciałem, gdy wypowiadała szlochając te słowa:

— Mój ukochany! A gdyby i ciebie zabili!

Nawet nie śmiałem pomyśleć o tym, co by się stało, gdyby tym diabłem zamiar powiódł się w całości. Pogłaskałem ją spokojnie po miękkich włosach i pocałowałem jej czoło.

— Bóg mnie uchronił! Ale to jest straszne, przerażające!

— Sam pośród trupów, tu na samotnym dalekim morzu!

— Nie bój się, moja...

Nie byłem w stanie dokończyć tego zdania, gdyż zostałem zniesiony na ziemię z nieodpartą siłą. I równocześnie usłyszałem osobliwie trzaskający i piłujący odgłos, jak gdyby tysiąc rąk było zajętych niszczeniem kadłuba statku. Begum wydała okrzyk trwogi, a ja sobie nagle uprzytomniłem, że dopuściłem się wielkiego grzechu zaniedbania. Zamiast pilnować steru, zmarnowałem cenne minuty przy umierającym, aby wycisnąć z niego rzeczy, których

znajomość nie mogła nam przynieść żadnego pożytku. Statek poszedł sobie tymczasem swoją drogą i rozbił się pewnie na jakiejś rafie w pobliżu wyspy.

Rzuciłem się na pokład. Wielki Boże! Jaki beznadziejny widok ukazał się moim oczom! Akurat przed dziobem statku wznosiła się ciemna, groźna masa skalna, a po obu stronach ciągnęły się skaliste pokłady, tworzące wąski kanał, przez który statek pędził na wyspę. Mieliśmy szczęście, że były słabe wiatry, inaczej statek rozbiłby się natychmiast przy uderzeniu o skałę.

Pospieszyłem do pomieszczenia na dół i znalazłem dziurę, przez którą niepohamowanie wciskała się woda. Była tak duża, że ja, niedoświadczony, nie mogłem jej zatkać. Według moich obliczeń zostało mi mało czasu do rana, aby uratować nas i ukryć na wyspie co nieco z ładunku.

O powodzeniu naszych prac ewakuacyjnych już relacjonowałem i dlatego teraz tylko o tym wspominam. Z tyłu na rufie z trudem spuściłem jolkę na wodę. Najpierw musiałem uratować moją ukochaną i jej własność. Rabbadah pomagała mi wszystko poprzenosić, a ja spuszczałem jak najwięcej pakunków do łodzi i wsiadłem potem z ukochaną, aby wiosłować na ląd. Urwiste, strome wybrzeże wynurzało się z wody. Jednak poszczęściło mi się, i gdy dzień się budził, odkryłem to miejsce, na którym mogliśmy spokojnie wylądować. Potem wróciłem na statek, aby zakończyć ewakuację skarbu i dodać do tego kilka artykułów spożywczych i inne rzeczy, które uważałem za konieczne i potrzebne.

Gdy lądowałem po raz czwarty, ranek trwał już tak długo, że można było różnicować poszczególne przedmioty. Rabbadah stała na brzegu i wskazywała na pobliskie zarośla.

— Popatrz, co to jest? — spytała ze strachem.

— Tam na drzewie?

— Tak.

Ociągając się podszedłem do tego miejsca. I co zobaczyłem? Na gałęzi wisiała głowa ludzka na kawałku liny, a ciało w stanie pół — rozkładu leżało na ziemi. Obok był nóż, zydwestka, kilka drobiazgów i dziennik marynarza. Otworzyłem i przeczytałem zapisane w nim nazwisko.

Stałem przed zwłokami wysadzonego na wyspę młodzieńca, który nie mógł znieść samotności i w ten sposób ją zakończył. Tam statek z trupami, tutaj szczątki samobójcy, ciarki mnie przeszły, gdy pomyślałem o tej delikatnej istocie, która była oprócz mnie narażona na te okropności.

* * *

Wielkie dzieło udało się. Lepiej, niż bym się mógł tego spodziewać. Nie wiem wprawdzie, co powiedziałby na to budowniczy okrętów, ale mnie przepęlnia uczucie, że dobrze wykonałem tę pracę.

Abym mógł lepiej panować nad moją łodzią, wyposażyłem ją tylko w grot i fok. Jestem wprawdzie świadomy tego, że moja podróż jest bardzo dużym ryzykiem, nawet przy korzystnym wietrze, ale trzeba się raz zdobyć na odwagę.

Gdy wczoraj spuściłem moją łódkę na wodę, byłem w uroczystym nastroju. Wprawdzie nie rozbiłem o dziób butelki szampana, jak nakazuje zwyczaj, ale nie sądzę, by jakikolwiek statek z gorętszymi życzeniami błogosławieństwa rozpoczynał swą próbną jazdę, niż moja „Rabbadah”, gdy wypłynąłem nią z małego portu w pobliżu mojej chaty.

Rabbadah! Tylko takie imię mógł otrzymać mój chrześniak. Ponieważ po jej śmierci była moim opiekuńczym duchem, bez którego z pewnością skończyłbym ze sobą. Będzie też moim aniołem stróżem w niebezpieczeństwach czyhających na mnie na pełnym morzu.

Moja pierwsza podróż przebiegła wspaniale. Jednakże trzymałem się przezornie w obrębie koła, jakie tworzyły rafy w odległości pół mili morskiej wokół tej części wyspy. Tak blisko wybrzeża nie mogłem oczywiście użyć żagla, ale ster był posłuszny, nawet najłżejszemu naciskowi mojej ręki, a dziób przecinał fale z łatwością i delikatnie. Tego dnia udałem się na spoczynek pełen radości i wdzięczności wobec Boga.

Dzisiaj rano wiosłowałem poprzez rafy i podniosłem żagiel. Opłynąłem moją wyspę od strony południowej i wschodniej. Wiała sprzyjająca bryza, dobrze mi się płynęło. Po przybyciu na wschodnią stronę zwinąłem żagiel i skierowałem mą łódź w stronę wybrzeża. Gładko i szybko leciała łódź z wiatrem, popychana tylko długimi wiosłami, na wybrane dwie rafy, które wśród licznych raf koralowych są jedynymi, pomiędzy którymi łódka nie mająca znacznego głębokiego zanurzenia może dotrzeć do brzegu. Był to wprawdzie niebezpieczny początek, gdyż wciąż nie byłem pewien mej żagłówki, ale przepłynąłem szczęśliwie. Kilka minut później skręciłem do podziemnej sztolni, prowadzącej w głąb góry, do grobu mojej Rabbadah. Od lat, to znaczy, odkąd jolka z rozbitego Bahadura była dziurawa i zmurszała, dzisiaj po raz pierwszy wpłynąłem do grobu Rabbadah od tej strony.

A teraz nadeszła pora, abym powierzył pamiętnikowi moją tajemnicę. Nie wiem, czy mój zamiar się powiedzie i czy kiedyś będę w stanie zabezpieczyć skarb maharadży. Ale może kiedyś, w jakiś sposób mój pamiętnik dotrze do mojej rodziny, a tylko ona ma prawo posiadać

dziedzictwo Madpur Singha i Rabbadah, które jest równocześnie moim dziedzictwem. Komuś innemu, kto zrobi użytek z tych zapisków, przyniosłoby to nie błogosławieństwo, lecz nieszczęście. Nigdy, przenigdy nie udałoby mu się odnaleźć tych dwóch raf, pomiędzy którymi jest jedyne dojście do skarbu maharadży. Jego łódź rozbiłaby się żałośnie o ostre jak szczyty gór, rafy koralowe.

I przed moim odjazdem postaram się o to, aby dojście do mojej tajemnicy od strony lądu było niemożliwe.

* * *

Dopóki budowałem naszą chatę, nie miałem ani czasu ani ochoty na obejrzenie naszego więzienia. Ale gdy się już urządziliśmy przytulnie, postanowiliśmy obejrzeć nasze małe państwko.

Wyspa nie była duża. Ale mimo to trudno się było na niej zorientować. Wybrzeże jest płaskie tylko od tej strony, gdzie rozbił się nasz Bahadur. Dalej w stronę lądu teren się powoli podnosi, stale pod górę, i pokryty jest gęstą, prawie nie do przebycia dziewiczą puszczą.

W czasie naszej pierwszej wycieczki przystanęliśmy między pusztą a południowym wybrzeżem, które dzikie i z licznymi szczelinami, wznosi się wysoko ku wschodowi. Pomału przedzieraliśmy się przez gmatwaninę powalonych drzew, pnączy i resztek skał. Po dwóch godzinach dotarliśmy na szczyt. Jeszcze kilka kroków... i zatrzymaliśmy się zaskoczeni. U naszych stóp nie rozciągał się jak oczekiwałem ląd, lecz bezkresne morze, leżące pod nami na głębokości być może trzystu metrów. Zaskoczenie było tak nieoczekiwane, że doznaliśmy niemalże zawrotu głowy. Kazałem Rabbadah się cofnąć, a sam zbliżyłem się ostrożnie na skraj uskoku, na którym staliśmy. To, co zobaczyłem, wywołało moje zdziwienie. Gładka jak ściana skała opadała pionowo w morze. Ani jednego miejsca, na którym noga mogłaby się oprzeć! Tylko na górze obok mnie brzeg był trochę zwietrzały i pokruszony, ale już kilka metrów dalej w dół zaczynała się zawrotnie urwista, jakby nożem wygładzona ściana, ciągnąca się bardzo stromo aż do północnego czubka wyspy, zachowując cały czas tę samą wysokość i spadzistość, półkolem wcinała się w ląd. Woda morska w półkolu utworzonym przez tę zatokę była zupełnie spokojna. Ta zatoka była wspinałym portem, gdyby nie atol zaczynający się na jej północnym końcu, a kończący się na południowym, przez co port byłby zupełnie niedostępny.

Po zewnętrznej stronie atolu rozbijały się bałwany z taką siłą, jakiej nigdy nie oglądałem.

W jaki sposób powstało to dziwne ukształtowanie wybrzeża? Znalazłem tylko jedno wytłumaczenie. Nasza wyspa musiała być niegdyś dużo większa, może dwa albo trzy razy większa niż teraz. Potężne trzęsienie ziemi przecięło ją potem jakby nożem w środku, i morze pochłonęło jedną część. Drugi wstrząs sejsmiczny mógł wyłonić z fal atol, który jak łańcuch układał wokół nowo utworzonej zatoki. Nie wiem, czy nauka zgodziłaby się z tym wyjaśnieniem, lecz ja nie znałem i do dzisiaj nie znam żadnego innego.

Dzięki nieoczekiwanemu odkryciu nie chcieliśmy od razu wracać do naszej chatki, lecz kontynuowaliśmy drogę tu na górze, dopóki pojawiła się przeszkoda nie do przebycia. Trzymaliśmy się w bezpiecznej odległości od brzegu przepaści, gdyż nie dowierzałem stabilności ziemi. Tu na górze teren okazał się łatwiejszy do przejścia niż ten na dole; huragany i burze przerzedziły las, dlatego posuwaliśmy się szybko naprzód. Okazało się, że to pionowe urwisko dochodziło rzeczywiście do północnego krańca wyspy. Żadna ludzka istota nie byłaby w stanie zejść tutaj w dół, również najśmielszy alpinista nie odważyłby się wdrapać od dołu na ściany, które gigantyczne siły poukładały warstwami aż do zawrotnej wysokości. Późnym rankiem wyruszyliśmy z naszej chatki i gdy dotarliśmy na północny kraniec wyspy, słońce stało jeszcze wysoko na niebie. Rabbadah tak się zmęczyła, że pozwoliliśmy sobie na godzinę odpoczynku, podczas którego zjedliśmy nasz prowiant. Mieliśmy jeszcze dość czasu, aby powrócić drogą, którą przyszlismy. Ale ponieważ wedle moich obliczeń zejście wzdłuż północnej strony wybrzeża było krótsze, zdecydowaliśmy się na nie. I nie żalowaliśmy tej decyzji. Wprawdzie dość często zatrzymywały nas powalone przez burzę olbrzymie drzewa, całe oplecione pnączami. Ale w dół szło się łatwiej, a słońce jeszcze całkiem nie zaszło, gdy śmiertelnie zmęczeni, jednak weseli i zadowoleni, zobaczyliśmy w zakolu wybrzeża naszą chatę.

Nie przypuszczałem wtedy, że odkrycie tego dnia posłuży moim obecnym planom.

Następnego dnia odważyliśmy się, wyposażeni w kompas, iść do dżungli, aby poznać wnętrze wyspy.

To, co zobaczyliśmy, nie zasługiwało na określenie, dżungla. Już dawno zauważyłem, że ta wyspa była kiedyś zamieszkała. Wypiarze oczywiście nie zostawili lasu w pierwotnym stanie. Ale od tego czasu minęło już wiele, wiele lat, bujne pnącza tak się rozrosły, że dosłownie musiałem sobie torować drogę nożem. Rabbadah szła tuż za mną i skracała mi czas swoim dziecinnym i wesołym opowiadaniem. Tylko połowicznie słuchałem jej słów, gdyż praca pochłaniała całą moją uwagę, a pot spływał mi z czoła dużymi kroplami.

Nagle zatrzymałem się. Usłyszałem coś, czego bym tutaj w tym miejscu nie oczekiwał. Wydawało mi się, jakby ktoś śpiewał w pewnej odległości. Tak, rzeczywiście! Był to śpiew.

Śpiewak dysponował nadzwyczaj silnym głosem. A co śpiewał? Ku mojemu zdziwieniu całą gamę w dół i w górę, i to kilka razy. Ująłem Rabbadah za ramię.

— Posłuchaj, co to jest? A może nie jesteśmy jedynymi ludźmi na tej wyspie?

Rabbadah zaśmiała się wesoło.

— To nie człowiek, to małpa.

— Małpa? Niemożliwe! Małpa nie mogłaby zaśpiewać gamy tak pewnie i bezbłędnie.

— Nie wiem, co to jest gama, ale znam dość dobrze te dźwięki. To małpy unگو. Mój brat przywiózł kiedyś takie zwierzę z Jawy. To była wielka rzadkość, gdyż unگو jest płochliwa i nie da się łatwo złapać. Niestety wkrótce umarła. Nie zniosła niewoli.

Te słowa rozbudziły moją ciekawość w najwyższym stopniu. Chciałem ujrzeć tego osobliwego śpiewaka i przebijałem się jakiś czas przez dość gęste zarośla w tym kierunku, skąd dochodził śpiew. Trud był daremny. Zwierzę musiało nas zauważyć, gdyż cofało się przed nami, jak wywnioskowałem po głosie, i przestało nagle śpiewać, wydając ostry krzyk. A my odeszliśmy z kwitkiem.

Muszę jednak wspomnieć, że później miałem wiele razy sposobność obserwowania tego zwierzęcia. Widywałem czasem całe stada. Unگو osiąga wysokość mniej więcej jednego metra i ma małą okrągłą głowę, obramowaną wieńcem gęstych włosów. Odznacza się niezwykle długimi i smukłymi rękami, które u stojącego prosto zwierzęcia sięgają do ziemi. Często czyniłem próby złapania jednej z tych małp, aby ją poskromić. Nigdy jednak nie udało mi się podejść bliżej, niż na odległość stu kroków.

Nie zobaczyliśmy wtedy unگو, ale dokonaliśmy innego odkrycia. Według moich oszacowań weszliśmy w głąb lasu na trzy mile i miałem tego przedzierania się serdecznie dość, naraz drzewa się rozstały. Las sprawiał w tym miejscu wrażenie, jakby tu kiedyś była polana. Gdy to rozważałem, Rabbadah krzyknęła i wskazała ręką w bok, gdzie w pewnej odległości zobaczyłem wyglądający zza drzew mur. Zaciekawieni zbliżyliśmy się i byliśmy okropnie zaskoczeni, ujrzawszy rozległe pozostałości świątyni, zachowane w dobrym stanie, swoim układem i sposobem budowania uderzająco przypominała świątynię w lesie Augh. To podobieństwo było tak zdumiewające, iż pomyślałem, że za chwilę gdzieś zza rogu wyjdzie Phanzegar. Podobnie czuła się Rabbadah. Chwyła mnie za rękę i rozglądała się trwożliwie na wszystkie strony. Ale żaden Thag z wyciągniętym nożem nie podszedł do nas, żaden dźwięk nie przerwał ciszy lasu.

Gdy Rabbadah pokonała swój strach, zabraliśmy się do przeszukiwania budowli. Weszliśmy przez salę kolumnową do wnętrza świątyni, poświęconej Sziwie. Poznałem to po lindze, symbolu Boga, wyrytym na wielu kolumnach. Całość zrobiła na mnie duże wrażenie z powodu

swej naturalności i osamotnienia, ale jeszcze większe wrażenie na Rabbadah, której myśli były bliższe temu świadectwu dawnej kultury, niż moje.

Tak zapatrzeni posuwaliśmy się coraz dalej do wnętrza świątyni. Ponieważ światło dostawało się tam tylko przez wejście, panował wokół nas głęboki mrok. Doszliśmy właśnie do miejsca, które odpowiadało owemu miejscu w świątyni w Augh, gdzie były ukryte tajemne schody. Bardziej z ciekawości niż z nadzieją na sukces nacisnąłem mocno ręką na płytę kamienną i byłem bardziej przestraszony niż zdziwiony, gdy płyta faktycznie uległa naciskowi. Przed nami zionął ciemny otwór, w którym można było dojrzeć kilka schodów, ale tym razem prowadziły nie do góry lecz na dół.

Ciekawość nakłaniała mnie do zbadania tej zagadki i poznania tajemnicy. Ale oparłem się tej pokusie. Nie mieliśmy lampy, bez której zejście w dół byłoby zbyt ryzykowne. Jak łatwo mogliśmy wpaść w przepaść, gdyż nie byliśmy obeznani w terenie. Przesunęliśmy więc dalsze badanie terenu i wróciliśmy bardzo zadowoleni z dzisiejszego dnia.

Następnego dnia byliśmy na miejscu z latarnią okrętową. Najpierw droga prowadziła stromo w dół. Schody były stosunkowo suche i mało ucierpiały. Wykucie tych stopni musiało być niesamowitą pracą, gdyż według moich obliczeń byliśmy przynajmniej pięćdziesiąt metrów pod ruiną i znajdowaliśmy się prawdopodobnie na tej samej wysokości, co powierzchnia morza. W dole ciągnął się nieskończenie długi korytarz, aż tu nagle rozszerzył się i ujrzelśmy wykutą w skale piwnicę, na której powierzchni zmieściłoby się sto osób.

Do jakiego celu służyło to podziemie? Nie było nawet najmniejszej oznaki, z której można było wywnioskować jego pierwotne przeznaczenie. Ściany były gołe. Po drugiej stronie korytarz ciągnął się w tym samym kierunku, na wschód, jak pokazywał mój kompas.

Przeszliśmy może ze trzy kilometry, powietrze było suche i dobrze się nim oddychało. Teraz jednak poczułem wilgotny powiew powietrza i może po pięciuset krokach koniarz się skończył. Przed nami było jeszcze kilka stopni, a gdy poświeciłem latarnią w dół, połyskiwała woda. Poprosiłem Rabbadah, aby przystanęła, a ja zszedłem ostrożnie aż do brzegu. Był to oczywiście kanał dochodzący z boku do koniarza. Gdy się skłoniłem do przodu i przeleciałem wzrokiem w kierunku kanału, zobaczyłem w dalekiej odległości jasno świecący punkt. Wiedziałem co to było. Ten jasny punkt był najwyraźniej ujściem sztolni. Ale gdzie uchodziła? Oczywiście, nie gdzie indziej, jak tylko na wschodnim wybrzeżu. Gdy przemyślałem drogę, jaka nas przyprowadziła do tego miejsca, to inne wytłumaczenie było niemożliwe.

Wyszedłem z powrotem po schodach i zwróciłem się do Begum:

— Rabbadah, nie możemy iść dalej. Stąd prowadzi kanał prosto do morza.

— Do morza? — zapytała zdziwiona. — Od której strony?

— Wschodniej, widzieliśmy ją przedwczoraj z góry.

— Wschodniej? To niemożliwe. Leży zbyt blisko.

— Mylisz się. Pomyśl, szliśmy przed dwoma dniami pod górę i mijaliśmy wiele przeszkód. To naturalnie wydłuża drogę i łatwo prowadzi do błędnego obliczenia odległości.

— A więc dzisiejsza droga byłaby najkrótszym połączeniem między naszym domem, a wschodnim wybrzeżem?

— Tak. Zakładając, że zaistniałaby taka konieczność, aby częściej przychodzić na wybrzeże.

— Ale jakim celem mógł służyć ten cały obiekt? Ty jesteś przecież zdania, że kanał jest tylko częścią dawnej szerokości, gdyż ta wyspa była dużo większa. Ukończenie tak olbrzymiego obiektu musiało być bardzo żmudną pracą i z pewnością chodziło tu o jakiś ważny cel.

— Też tak uważam. Prawdopodobnie łączyła się ta sprawa z ofiarną służbą kapłanów Sziwy, którzy niezauważenie mogli przez kanał wychodzić i wchodzić. Może służył też do potajemnego usuwania niepożądanych osób, których zniknięcie przypisywano Bogu.

Dalszą zagadką wydawało mi się zjawisko przyrody, które spowodowało zagładę co najmniej pół wyspy. To była przecież dziwna igraszka przyrody, trzęsienie ziemi zmiotło całkowicie jedną połowę, podczas gdy druga nie wykazywała żadnych zauważalnych śladów katastrofy. W całym tunelu nie zauważyłem ani jednej rysy czy uskoku, wskazującego na wstrząs skorupy ziemskiej. To zjawisko musiało podziałać z mocą potężnej siekiery, która jedną część wyspy gładko odrąbuje, a druga pozostaje zupełnie nienaruszona.

Tu w dole nie mieliśmy na razie nic do szukania i wróciliśmy tą samą drogą przez tunel na górę.

W tym właśnie podziemiu po ośmiu latach złożyłem na wieczny spoczynek zwłoki mojej Rabbadah.

Jak szybko nieszczęście spadło na mnie? Nie mam ochoty na rozdrapywanie starych ran, aby na nowo nie zaczęły krwawić. Dlatego powiem krótko: umarła z tęsknoty za ojczyzną. Żadne dowody miłości z mej strony nie pomogły jej zapomnieć żarliwego uroku ojczyzny. Nie żeby jej sympatia do mnie zmalała, albo żeby jej los w porównaniu z poprzednim przepychem, był dla niej nie do zniesienia. Była kwiatem, który dobrze rozwija się tylko na rodzinnej ziemi, a gdzie indziej powoli więdnie.

U stóp Rabbadah złożyłem skarb maharadży, trzykrotnie musiałem obracać łodzią, aby go przewieźć. Niech tutaj pozostanie, dopóki dobry los nie przywiezie doń tego, dla kogo jest przeznaczony, jednego z moich braci. Albo niech zginie razem z wyspą! Żadne obce ludzkie

oko nie powinno go ujrzyć i upajać się jego blaskiem. Ale jeżeli umrę wcześniej, albo wyspa wejdzie w posiadanie obcego państwa? Czy skarb maharadży będzie naprawdę bezpieczny? Od strony lądu tak; gdyż nikt nie dowiedziałby się o kamieniu, prowadzącym do podziemia. Ale czy również od strony wody? W ostatnich tygodniach byłem prawdziwym wilkiem morskim. Ściąłem wiele pędów drzew o grubości ręki, zawiozłem je pod ziemię i połączyłem w małą, ale wytrzymałą tratwę. Opłynąłem nią chyba dziesięć razy zatoczkę na wybrzeżu wschodnim, co nie było niebezpieczne, gdyż woda w obrębie atolu była zupełnie spokojna. Uznałem, że nie może być lepszego strażnika mojego skarbu, jak te rafy i kipiela morska, która wylewa na nie swą białą pianę. Chyba ze sto razy opuszczałem mą tratwę i mierzyłem głębokość wody przy rafach; mierzyłem i badałem każdą skałę od wierzchołka północnego do południowego. Nabrałem przekonania, że tylko w jednym, jedynym miejscu możliwe jest pokonanie topieli i dostanie się do zatoki, i to mianowicie łodzią, mającą słabe zanurzenie. Potem ściągnąłem z mielizny łódkę „Bahadura” i zmusiłem ją do wjechania do zatoki od strony morza. Poszczęściło mi się, chociaż były minuty, w których czułem, że wjeżdżam do piekła. Ale żadna siła świata nie mogła mnie do tego zmusić, abym próbował także w innym miejscu. To by znaczyło kusić los!

W ciągu dwudziestu trzech lat mojej niewoli stałem się zgorzkniałym człowiekiem. Ale zachowałem moją wiarę w niebieskiego kierownika ludzkich losów. I mam przecucie, że łaskawa opatrzność będzie przędła nić, prowadzącą z domu moich ojców na tę samotną zapomnianą wyspę. Niech to, co mam jeszcze do powiedzenia, wystarczy moim bliskim do szczęścia!

Nie mogę określić drogi, która prowadzi przez świątynię do skarbu maharadży. Każdy obcy, któremu moje zapiski wpadłyby w ręce, mógłby się łatwo dostać do skarbu. Prowadzi tylko jedno dojście do podziemi i to mianowicie od strony morza. To od strony lądu nie będzie już istniało po moim wyjeździe, a obie skały, między którymi prowadzi droga do sztolni, może znaleźć tylko ktoś z mojej rodziny.

Ciąży nad moją rodziną jakieś fatum. Nie uważam za słuszne, aby je bliżej opisywać; ci, których to dotyczy, wiedzą, o co chodzi. To nieszczęście wiąże się z pewną liczbą. Wiem, że w rodzinie nigdy się o tym nie mówi, a więc i obcy o tym nie wiedzą. I dlatego jestem przekonany, że informacja, którą teraz przekażę, nie przyda się nikomu, kto nie jest członkiem mojej rodziny.

Gdyby moje zapiski znalazły swoje przeznaczenie, a więc trafiły do rąk jednego z moich braci, to musi zrobić następującą rzecz: od znanej mu liczby niech odejmie trzydzieści sześć, a resztę podzieli przez sto osiemdziesiąt trzy! Wynikła z tego liczba oznacza dokładnie rafę, za

którą, licząc od północnego wierzchołka, można ujarzmić kipieli. Pomyłka nie jest możliwa, gdyż skały tworzą dokładnie matematyczne półkole, którego poszczególne człony odbijają się wyraźnie w oczach w czasie odpływu.

Ta uwaga wystarczy zupełnie temu, kto sam ma dziedziczyć skarb maharadży. Nikt inny niech się nie waży sięgać po te klejnoty. Zakładam się sto do jednego, że topiel go pochłonie.

Tym samym powierzyłem moją tajemnicę dziennikowi, a za osiem dni będę na pełnym morzu.

Kości zostały rzucone, zerwałem kajdany i z cudownym baksztagiem, wiatrem wiejącym mi w plecy, płynąłem na wschód, ku wolności. Mój stateczek sprawdził się wybornie. Jest prawie tak, jakby czytał moje myśli i pragnienia, tak łatwo poddaje się kierowaniu. Wiatr wieje jednostajnie, tak że odważam się przymocować szoty i mam ręce wolne. Wykorzystam więc spokój i zakończę moje notatki.

Wczoraj po raz ostatni stałem przy grobie mojej Rabbadah. Byłem w podniosłym nastroju, ale mimo to pożegnanie nie przyszło mi łatwo: O, Rabbadah, byłaś słońcem mojego życia! O jakże ja cię kochałem! I jakże cię dalej Kocham! Każdy dzień spędzony u twego boku wydawał mi się kosztownym, nie zasłużonym podarunkiem. Ty, Begum, czczona niegdyś przez tysiące i adorowana jak bogini, byłaś tylko moją żoną, oddaną, wierną i uległą. Ale nigdy bardziej pokorną, niż tego dnia, kiedy przytulając się do mnie, powiedziałaś: „Najdroższy, opowiedz mi o swej wierze! Chciałabym ją znać i nauczyć się kochać, jak ty ją znasz i Kochasz!” Potem popatrzyłaś na mnie wyczekująco. O, Rabbadah, pocałunek, który ci wtedy dałem, był tylko niewielką oznaką mojej radości, jaka mnie napawała po usłyszeniu tych słów. I zostałaś cichą i pilną uczennicą. Nigdy żaden misjonarz nie miał bardziej uważnego, chętnego słuchacza. A krzyż, jaki wyryłem nad twoją trumną, jest wprawdzie nieprzyozdobiony i skromny, ale najwystawniejszy pomnik z marmuru, wzniesiony nad grobem niejednego złego chrześcijanina, powinien się pokłonić przed naiwną, pokornie dziecięcą wiarą, z jaką służyłaś Bogu. O moja Rabbadah, olbrzymi bukiet kwiatów, jaki złożyłem na pożegnanie u twych stóp, zwiędnie, jak każdy z tysięcy kwiatów, które zrywałem dla ciebie codziennie, ale nigdy nie przybladnie w moim sercu wspomnienie o tobie: moje myśli będą krążyć wokół twego grobu w każdy dzień, jaki mi Bóg jeszcze podaruje, a moje ostatnie tchnienie będzie dla ciebie błogosławieństwem, ty moja kochana, niezapomniana królowo!

To były moje myśli, zanim ostatnim smutnym spojrzeniem pożegnałem cię mam nadzieję, że nie na zawsze, gdy wróciłem do świątyni. Potem wsypałem do otworu, wydrążonego dzień wcześniej w ścianie tuż obok schodów mój cały, choć niezbyt duży zapas prochu. Po założeniu lontu i podpaleniu, oddaliłem się szybko na zewnątrz. Po huku, jaki się rozległ, mogłem

przypuszczać, że dym się już rozszedł, więc wróciłem. Byłem zadowolony ze zniszczenia, jakiego byłem sprawcą. Zawaliła się cała tylna ściana świątyni i utworzyła ogromną kupę gruzu — dojście do podziemi było zablokowane.

Ostatni raz byłem przy grobie przed świtem, gdyż chciałem wykorzystać świeżą bryzę pierwszych godzin dnia. Gdy zszedłem do łodzi, zakotwiczonej i gotowej do odpłynięcia, właśnie poczerwieniało niebo. Przez wiele dni przygotowywałem wszystko do wyjazdu. Wielki stos orzechów kokosowych i chleba świętojańskiego znalazł dobre miejsce na tylnej stercie, a z przodu sznurem przymocowałem beczkę z pitną wodą, aby jakaś nagła fala nie splukala jej z pokładu. Jeszcze jedno badawcze spojrzenie rzuciłem na okucia, ster i odbiłem od lądu. Do raf posługiwałem się długimi wiosłami. Ale gdy już miałem kipiela za sobą, postawiłem żagiel. Wzdłuż wybrzeża posuwałem się na południe. Moje oczy wlepiłem w każde miejsce wiążące się z jakimś wspomnieniem, a było ich wiele; najdłużej patrzyłem na zbocze góry, na której stała ukryta wśród drzew świątynia Sziwy. Żegnaj, Rabbadah, ukochana żono! I ty żegnaj, moja strażniczko więzienna, ty otoczona morzem wyspo! Zrabowałaś dwadzieścia trzy lata mojego życia, ale będę cię wspominał bez gorczy.

Gdy południowy cypel miałem już za sobą, skręciłem łódź i zwinąłem grot. Wiatr jakby odgadł moje życzenie, wiał dokładnie z zachodu i południowego zachodu. Po dwóch godzinach zniknął ostatni ślad mojej wyspy na morzu, byłem sam, byłem tylko malutkim punkcikiem na nieskończonej powierzchni morza.

Długi czas wahałem się, czy mam zabrać ze sobą pamiątnik, czy zostawić go. Jeśli zatonię wraz ze mną, to razem ze mną zginie, natomiast gdy moje przedsięwzięcie powiedzie się, to nie będzie miał do odegrania ważnej roli. Natomiast jeżeli zostawiłbym go w mojej chacie, to mogłoby się zdarzyć, iż pewnego dnia, nawet po latach, ludzie wejdą na opuszczoną wyspę, znajdą go i będą mogli przekazać mojej rodzinie. Ale w końcu zdecydowałem się, wbrew wszystkim argumentom rozsądku, zabrać go ze sobą. Jakiś wewnętrzny głos poradził mi, że przy mnie znajdzie lepsze schronienie, niż na samotnej wyspie gdzieś na morzu w dalekim świecie. Przyszłość pokaże, czy słusznie postąpiłem idąc za głosem.

Jeśli utrzyma się taki wiatr, jak przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny, to mam nadzieję dotrzeć za cztery dni do jakiegoś punktu na Jawie. A może spotkam wcześniej jakiś statek, który ma przed sobą ten sam cel, co ja, i który poproszę o zabranie mnie. Nie mogę liczyć na to przez pierwsze cztery dni, dopóki nie znajduję się na uczęszczanych wodach.

Skończyłem z przeszłością i moje myśli wybiegają stale ku przyszłości, którą sobie maluję w świetlanych kolorach. Wiozę ze sobą sakiewkę pereł. Wystarczy ich, aby kupić za nie piękny jacht. Więcej nie chciałem zabrać ze skarbu maharadży choćby dlatego, iż niełatwo byłoby mi

ukryć przed wścibskimi oczami. Jeśli szczęście uśmiechnie się do mnie i dotrę do wybrzeża Jawy, pierwsze, co uczynię, to zrobię z siebie cywilizowanego człowieka. Potem rozglądnę się za jakąś odpowiednią łodzią a potem... ale lepiej nie snuć za dużo planów na przyszłość. W ostatnich latach przeżyłem tyle rozczarowań, iż mam powód, aby mało oczekiwać od terażniejszości, a jeszcze mniej od przyszłości.

Wiatr zaczyna się podnosić, kończę więc moje pisanie, gdyż moją uwagę muszę poświęcić innym rzeczom. Szczęść Boże na dalszą podróż, mój dumny stateczku! Leć, moja „Rabbadah” i nieś mnie ku wolności i szczęściu!

* * *

Jak mam to coś strasznego, co się wczoraj wydarzyło, przedstawić w krótkich słowach? Spadłem z nieba moich oczekiwań w okropne piekło i znajduję się w przerażającym położeniu. Całe omasztowanie poszło za burtę, wszystkie moje artykuły spożywcze i beczka z wodą pitną leżą na dnie morza, woda splukała wiosła, ster jest złamany, a wszystko to w ciągu jednej godziny, jestem zgubiony, jeśli nie nadejdzie jakiś nieoczekiwany ratunek.

Jak szybko dziś w południe nadszedł sztorm, tak szybko ucichł. Fale się uspokoiły, a słońce przypieka mocno jak zawsze i odbija się w morzu tysiącem mieniących się obrazków.

Wiatr zmienił kierunek i wieje teraz z południa, z mojego upragnionego kraju. A mój wrak nie zasługuje na inną nazwę, chociaż dziób nie został uszkodzony kołysze się z wiatrem w kierunku północnym. Z mojej ławki zrobiłem prowizoryczny ster, za pomocą którego usiłuję tą łodzią bez steru płynąć razem z wiatrem.

Gdybym nie był sam w tym nieszczęściu! Nie wydarzyłoby się aż tyle złego. Ale pierwsza gwałtowna fala zmiotła mój prowiant i zalała łódź do połowy, w trakcie gdy usiłowałem wydrążonym orzechem kokosowym wylewać wodę, nadeszła druga fala, która splukała z pokładu maszt, z przywiązaną do niego beczką wody. To był cud, że łódź nie przewróciła się do góry dnem, ale wszystko, co nie było przybite gwoździami, zniknęło w falach.

Dlaczego okrutny los nie skończył ze mną? Szybka śmierć w falach byłaby sto razy lepsza, niż dni, jakie mam przed sobą. Łaskawy Boże, jakie masz względem mnie zamiary? Jeśli mam zginąć, dlaczego nie dałeś mi umrzeć, gdy tak często trząsałem się z gorączki w mojej chacie? Czy może za mało wycierpiałem przez te lata, że dajesz mi jeszcze ten kielich, bardziej gorzki, niż wszystko, niż cała moja przeszłość.

Zmęczenie mnie morzy, gdy piszę te słowa na brzegu pokładu. Położę się na godzinkę, ale wcześniej przywiążę ster, aby łódź nie zmieniła kierunku. Wiatr jest spokojny, sądzę, że mogę zaryzykować. A jeśli śmierć mnie zaskoczy, jakie to ma znaczenie? Bez pożywienia i wody nie wytrzymam dłużej niż cztery dni. Ale co potem...?

* * *

Minęły cztery dni, cztery długie jak wieczność okropne dni! Kurs utrzymuje się stale ten sam; na północ, powoli, ale niepowstrzymanie na północ, jak mi mówi mój kompas, który na szczęście noszę jeszcze w kieszeni.

Aby lepiej wykorzystać słabą bryzę, z mojej kurtki i kawałka brzegu burty sporządziłem nowy fok. Dla niezainteresowanego byłby to widok do śmiechu, ale mnie służy dobrze, dopóki wiatr wieje z południa. Albowiem na północy, nawet jeżeli oddalonej jeszcze o setki mil, znajdę wybrzeże Sumatry. Bez obcej pomocy nie dotrę do mej żywy. Możliwe, że dostrzeże mnie jakiś statek, według moich obliczeń już niedługo zbliżę się do uczęszczanych wód.

Jak długo mogę jeszcze wytrzymać? Znajduję się w takim stanie, kiedy głodu się już nie czuje, ponieważ uczucie niszczącego pragnienia wypiera inne. Wszystkimi siłami muszę się bronić przed apatią, jaka chce mną zawładnąć. Moje powieki są jakby z ołowiu, w żyłach pali coś jakby płynna ruda, a gardło jest tak suche, iż nie byłbym w stanie powiedzieć ani słowa. Kiedy raz usiłowałem wypowiedzieć jakąś sylabę, tylko po to, aby stwierdzić, czy mój głos nie zardzewiał, zdawało mi się, jakby ten dźwięk rozrywał mi gardło. Kiedy chcę pomyśleć o rodzicach i braciach w dalekiej ojczyźnie, albo o Rabbadah, albo gdy chcę zebrać moje myśli w modlitwie, nie potrafię — ponieważ mój mózg się gotuje. Dziwię się sobie, że jeszcze potrafię te słowa przelać na papier, chociaż wysiłek powoduje, że krew napływa do oczu, że bolą i odmawiają posłuszeństwa. Tęsknię za nocą, która choć na parę godzin przyniesie mi sen i ulgę. Tęsknię również za inną nocą, po której się już nie obudzę. Jak długo będę jeszcze na nią czekać? Jak długo będę mógł jeszcze odsuwać od siebie widmo oblędu, które wciąga do mego mózgu swe chciwe palce? Boże na niebie, proszę cię tylko o jedną łaskę, jeśli nie chcesz mnie obdarzyć żadną inną. Uchroń mnie od rozpacz!

* * *

Osiem dni, albo dziesięć, stałe na północ... już nie mogę... nie ma statku, ogień w żyłach...
rodzice, bracia... żegnajcie! Boże... Rabbadah!